

J. I. KRASZEWSKI.
POWIEŚCI HISTORYCZNE.
XVI.

S E M K O.
(Czasy bezkrólewia po Ludwiku).
(Jagiełło i Jadwiga).

TOM II.

KRAKÓW.
Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.
Gebethner i Wolff. , Maurycy Orgelbrand,
Michał Glücksberg. | G. Sennewald.
Edward Wende.
1882.

SEM KO.



nr inv. - 622



Kraków.— Drukiem Wł. L. Anczyca i Spółki.

I.

Nazajutrz do dnia zastukano do furty klasztornej i ludzie Hawnula, którzy przywykli byli zaopatrywać w żywność i wszelkie zapasy ojców Franciszkanów, przywieźli czego potrzebowano na stół książęcy.

Pamiętał o tem niemiec, że przyprawy korzenne stanowiły najprzedniejszy przysmak ówczesny, nie brakło więc ani szafranu, ni imbieru, gwoździków, ani tak zwanych rajszych ziarenek, które rybę i mięsiwa osmaczać miały.

Jeden z braciszków był kucharzem, a przyjął podarek z wielką radością, równie jak ojciec piwniczy piwo, miód i tak zwane romańskie wino.

Obawy więc o głód nie było, lecz ani do obiadu, ani po nim Hawnul sam się nie zgłosił, i nie dał znać o sobie.

Sługa nie miał zlecenia żadnego, i nie obiecywał go. Ojciec Paweł zaś twierdził, że Hannul, którego tu różnie: wójtem, starostą i podskarbinu zwano, najczęściej wieczorami dopiero zwykł ich być odwiedzać.

Chwalili go ojcowie, jako człowieka, który więcej miał dla wiary pracować niż dla siebie, a była mu ona już wiele winną.

Chodziły od pewnego czasu pogłoski, o których i w klasztorze wiadano, że Jagiełło miał postanowienie chrześcianinem zostać, że się do tego nawet zobowiązał Krzyżakom, ale chrztem z ich rąk się brzydził. Nielepiej dla nich byli usposobieni i ojcowie Franciszkanie, pomni tego, że zakonu teutoński czasu swych wycieczek na Polskę i Litwę, nie oszczędzał ani kościołów i klasztorów, ni osób duchownych. Było tego przykładów mnogo.

Ojciec Paweł, przełożony, mówił o nich ze zgrozą i politowaniem razem, pojąć nie mogąc, jak się oni zakonem zwać śmieli, żadnej z cnót zakonnych nie mając, a na wszelką rozpasani swawolę. Rozpowiadano o ich łupieżach i morderstwach na Litwie, rzeczy niemal do prawdy niepodobne — gdyby żywi świadkowie i ofiary nie były powszechnie znane.

Temu też przypisywano wielki wstręt Litwy do wiary chrześciańskiej, która z krwią i morderstwy przychodziła.

Przez cały dzień ten do wieczora trwały ciche w izbie gościnnej rozmowy, z których książę wiele się o dworze i osobach, składających go, dowiedział zapoznając z liczną rodziną Jagiełły.

O mroku już niespodzianie przybył Hawnul, jak zazwyczaj, samotrzeć tylko, z dwojgiem czeladzi, którą za furta zostawił. Nie potrzebował on tu przewodnika, był jak w domu.

Radość zabłysła na wszystkich twarzach, gdy go ujrzano, a on też na swą gromadkę poglądał z tą pociechą wewnętrzną, jaką mu dawało przekonanie, iż był jej opiekunem nie słowem tylko, ale czynem.

Semkowi pilno było dowiedzieć się, jak stała sprawa, którą powierzył Hawnutowi.

— Jagiełło w nocy dopiero z łowów powrócił — rzekł Hawnul — otrzymał tu wiadomość o nowym napadzie Krzyżaków na granicy, pomimo rozejmu świeżo zawartego. Sierdzisty był i zagniewany, mówić z nim nie pora była. Stałem się tylko dostać do w. księżnej matki, która teraz jedną myślą jest zajęta wstąpienia do monasteru, dla ukończenia w nim żywota na młotwie, ale wprzód córka z mężem chce wydać. Odwiedzimy ją od obleczenia sukni zakonnych gdyż bez tej pani, która na syna ma wpływ wielki i zbawienny, trudniej nam będzie z nim poczynąć.

Ponieważ w. miłość nie chcesz tu dłuższego czasu spędzić w oczekiwaniu — dodał Hawnul.

— Nie mogę — przerwał Semko wzdychając. — Uczyniłem i tak ofiarę dla Witolda wielką.

— Staralem się właśnie dla pośpiechu — ciągnął Hawnul dalej — mówić dziś z księżną matką i zwierzyłem się jej ze wszystkiego.

Słuchała mnie pobladłszy, zaniemiała, lecz bez gniewu i złej woli. Gdy jej opowiadał o was, siedziała zadumana, słowa nie mówiąc, rozważając com przyniósł. Pani to jest rozumu i powagi wielkiej, ale tak bojaźliwa i nieufna jak syn, gdy o stanowczy krok chodzi. Nierychło więc mi odpowiedziała nawet, od tego poczynając, iż szczerości Witoldowej wiary dać nie było można. Widzi ona korzyści pojednania, lecz ono będzie hasłem nowej a okrutnej, zaciętej wojny z zakonem, który za zdradę mścić się nie omieszka. W chwili, gdy Witold zbieży, potrzeba już stać w gotowości do odparcia napaści Krzyżaków.

Księżna Julianna nie jest przeciwną temu, by Krewa z ojcowizną zwrócić synowi Biruty, lecz przewiduje trudność wielką w ułagodzeniu syna i skłonieniu go do przebaczenia i zgody.

— Wspomnieliście jej o mnie? — zapytał Semko. — Mówiliście kto z tem przybył?

— Oznajmiłem tylko o pośle wiarogodnym od księcia, nie wymieniając imienia waszego — odpowiedział Hawnul. — Potem dopiero gdy powątpiewać zaczęła, czy całe posłannictwo nie jest podstępem krzyżackim i zdradą, musiałem mia-

nować was i o pierścieniu danym na znak powiedzieć.

O Birucie posłyszawszy, zapłakała księżna i łzę otarła.

Jagiełło — mówił dalej Hawnul — jutro znowu w lasy jedzie i nie powróci aż pod noc. Jeżeli chcecie, możemy jutro z południa we dwu, do starej księżnej iść. Nikt wiedzieć nie będzie kto jesteście, a ja do niej wprowadzę.

Po krótkim namyśle Semko się zgodził na to. Chciał o ile możności koniec rokowań przyspieszyć. Opanowywała go obawa, aby dla sprawy Witolda własnej swej nie wyrządził szkody. Bartosz z Odolanowa o posiłki się dopominał, a te bez rozkazu księcia wysłane być nie mogły.

Hawnul na wyprawę dnia następnego zalecił księciu strój przywdziać jak najmniej zwracający oczy, i taki, któryby raczej rusina kazał się domyślać, niż gościa z zachodu. Rusi bowiem było tu wiele, gościli zawsze na dworze kniaziowie i bojarowie, posłańcy od krewnych i powinowatych, a Litwini już z niemi oswojeni byli i niemal za swoich uważali. Z Nowogrodu też, Tweru, Pskowa, ze Smoleńska i od Kijowa przybywali kupcy, młodzi krewni księżnej, język ich i stroje nie raziły nikogo.

Umówiwszy się z Hawnulem, książę spokojniej oczekiwał jutra. Dla większego bezpieczeństwa starosta się obiecywał sam przybyć po Semka,

zawieźć naprzód do swojego domu pod zamkiem, a potem pieszo do dworca w. książęcej przeprowadzić.

Chociaż dzień następny wilgotny był i mglisty, Hawnul stawił się o godzinie naznaczonej, a Semko, dla którego koń stał w pogotowiu, jechał z nim razem do miasta i zamku, który zdala widnym był grubemi mury, dworce i świątynię opasującami.

Długi czas kręcić się musieli uliczkami to piaszczystemi, to błotnistemi, wązkiemi i popłatanemi, nim się do zamku dostali. Tu już kilka znaczniejszych budowli z drzewa i kamienia pod mury chroniących się widać było.

Stał też przy nich obszerny dwór starosty Hawnula, do którego naprzód zajechali. Gospodarz usilnie zapraszał, ażeby ksiązę wstąpił do niego.

Niepozorny zewnątrz dwór Niemca, wewnątrz z wielką wspaniałością i wygodami był urządzony, ale jak owe czasy wymagały, przepych ten był ruchomy, aby na znak najmniejszy, czas niebezpieczeństwa obnażyć z niego było można domostwo i ukryć te skarby.

Znać było na wszystkim człowieka, który zachodnie obyczaje znał i miłował. Ponieważ trafiało się, że książęta, bojarowie i znaczniejsi Litwini zachodzili do starosty, jawnych więc oznak chrześcijańskich nie było, ale Hawnul pochwalał się przed księciem, na klucz zamkniętą kapliczką,

całą świecącą od złota. Tu wiekuista lampka paliła się przed obrazem N. Panny, o którym twierdził Hawnul, że go św. Łukasz malował, nadzwyczajną do niego przywiązując cenę. Ze dworu Hawnula pieszo szli na dolny zamek, który w sobie i świątynię pogańską zawierał, otoczoną nie wielą, ale bardzo staremi drzewy. Samego poganu chramu widać tylko było nieforemną wieżycę z polnych kamieni, przed wieki wzniesioną, i mur również niekształtny, opasujący świątynię, z której unosił się dym gęsty, słupem ogromnym wzbijając się w górę.

Starosta opowiadał, że tam płonął ogień wieczny, który Litwa za święty czcila i nważała, kłaniając mu się i znosząc ofiary.

Zdała nie więcej dojrzeć nie było można, oprócz przesuwających się około murów, między dębami postaci w sukniach długich, z szerokimi pasami białemi, w czapkach, w wieńcach, z laskami krzywymi w rękę.

Mieli to być kapłani i wróżbici, którzy ognia tego dzień i noc strzegli.

W dolinie tej — wedle opowiadań Hawnula — odbył się obrzędem pogańskim, ze wspaniałością wielką, pogrzeb zmarłego Kiejstuta, w tem miejscu, gdzie dawniej ciała wszystkich zmarłych książąt palono.

— Pomoże-li Bóg — dodał cicho. — Spodziewam się, że tu już Jagielly palić nie będą, a po

chrześcijańsku pogrzebiony zostanie, i na miejscu bałwochwalczego ognia wzniesiem ołtarz Bogu prawdziwemu, a nad nim krzyż Pański.

Mówił to Hawnul ze wzruszeniem i łzami w oczach...

W głębi obszernego podwórca ku rzece, parkanami wysokimi oddzielone, stały teremy książecznej Julianny, w których ona z córkami i dworem swym przemieszkiwała. Dworce te w części z kamienia, częścią z drzewa pobudowane, malowane były zewnątrz jaskrawo, a na głównych ścianach około drzwi i wąskich okien, złocenia widać było.

Hawnul ukazując zdala budowy te, mówił i o znajdującej się tu cerkwi ruskiej, na której, jak na kościółku, krzyża nie było, ani żadnej zewnętrznej oznaki.

— Jagiełło szanuje religię matki — mówił starosta — ale się na swoich duchownych oglądać musi, którzy już są niechętni i oburzeni, że tuż obok świątyni cerkiew stoi, i księża chrześcijańscy chodzą koło niej, a szczególnie Nestor, kapelan książecznej, niemiły im, bo zuchwałym się okazuje. Sam Jagiełło napominać go musiał i przestrzegać.

Semko przypatrywał się ciekawie, gdyż to co tu widział, niepodobnem było ani do tego co u Krzyżaków oglądał, ani co się w Polsce i na Mazowszu spotykało.

Jednakże dawał się tu i owdzie dojrzeć wpływ zachodu, a więcej jeszcze Rusi, której znaczna

część należała do litewskich książąt, lub w ścisłych z nimi była stosunkach.

Zbliżali się zwolna ku dworcowi starej księżnej, pominawszy wrota, u których na straży siedział stary odźwierny. Mniejsze podwórze, otaczające go, schludnie było utrzymane, a przed wnijsiem stały ozdobnie wyrzynane słupy i ganki z balasami malowanemi.

— Muszę miłości waszej prosić — odezwał się Hawnul — abyście raczyli tu chwilę pozostać, nim się dowiem, czy u księżnej nie ma kogo z duchownych jej, boby niepotrzebnie zobaczywszy go, mogli rozgadać...

Semko uczuł się trochę tem upokorzony, iż mu oczekiwać kazano, zarumienił się, bo gorąca krew łatwo się w nim poruszała, a nie chcąc stać w miejscu na oczach straży, podszedł dalej w dziedziniec, na który boczne okna dworca wychodziły.

Niewiele tu było do widzenia, bo nawet otwory te przez ostrożność, aby do żeńskiego dworu księżnej, mężka czeladź nie zaglądała, wszystkie były gęstą, zieloną siatką zaciągnięte.

Budynek wyglądał jak więzienie, chociaż pomiędzy oknami na przestrzał umieszczonemi, dostrzedz było można jakichś żwawo się przesuujących postaci.

Były to liczne rusinki i greczyнки w służbie księżnej i córek jej zostające, które około krosien i posług różnych się krzątały.

Wszedłszy kroków kilka w tę stronę, Semko zatrzymał się, jeszcze pod wrażeniem gniewu, który mu trudno przezwyciężyć było. Stał niedaleko tych okien tajemniczych, gdy w jednym z nich uchyliła się siatka zielona, i ciekawa główka niewieścia ukazała.

Książę był w kwiecie młodzieńczego wieku mężczyzną, którego ród szlachezny łatwo było rozpoznać można, domyśleć się go nie tylko z rysów twarzy, ale z dumnej i swobodnej postawy.

Zjawienie się jego tutaj, dziwne, gościa zupełnie nieznanego, musiało młodzieńcze dziewczę zaciekać, bo wielkie, niebieskie oczy wlepiło w niego z zuchwałością dziecięcą.

Semko zobaczył piękną dziewczynę, która zawsze i wszędzie musiałaby na siebie zwrócić oczy każdego mężczyzny.

Jak w księciu można było odgadnąć łatwo ród pański, tak i w tej twarzyczce, śmiało się wpatrującej w niego, każdy się mógł domyśleć nie prostej służebnej, ale dziecięcia domu.

Piękność sama, delikatność rysów, nadzwyczajna płeć białosz istotom w zamknięciu trzymanym właściwa, wyraz oblicza dumny i niemal zuchwały, chociaż wesół i rozpromieniony, na ostatek strój, którego część widzieć się dawała; złoty wianuszek na głowie i kolce bogate, białe pod szyją rąbki, na rękach kręgi złote, sukni bramowanie, wytworne, mówiły, że dziewczę albo

do rodziny książęcej należeć musiało, lub było z nią blisko pokrewne.

Zdumienie nadzwyczajne malowało się na twarzyczce dziewczęcia, zdającego się dziwić zachwalstwu człowieka tak nieopatrzenie podkradającemu się pod te ściany, ku którym pod najśroźszą karą, zbliżyć się nie było wolno nikomu. Zgadywała, że obcym musiał być, ten zabłąkany tu człowiek.

Oczy pięknego dziewczęcia i Semka spotkały się z sobą, wcale niestrwożone: i nie unikając się wzajemnie.

On i ona, jakby się wyzywali, przypatrując sobie, kto pierwszy ustąpi.

Jasnowłosa, niebieskooka nieznajoma, zmarszczyła się bardzo groźnie, nastawiła brwi srogo, podniosła dumnie różowe usteczka, rzuciła główką, sądziła, że się przełęknie zuchwały napastnik.

Semko się tylko zalotnie do niej uśmiechał.

Obyczaj ówczesny wprawdzie oddzielał płcie po klasztorne, zamykał kobiety, ale działał na nie, jak haremy na wschodzie. Ośmielał je gdy się zręczność nadarzała, uniewinniał i napastliwość męczyzn, i prędkie nleganie urokom zakazanego owocu.

Pomiędzy ciekawem dziewczęcim, a niemniej zajętem tem zjawiskiem niespodzianem Semkiem, odegrała się scena niema.

Na uśmiech jego, dziewczę przed chwilą tak

groźne, nasepione strasznie, rozsmiało się odpowiadając, pokazało ząbki białe... ale nie uciekło... Stało jak przyklejone do okna.

Semko uzuchwalony tembardziej jeszcze, położył ręce obie na piersiach, a potem jedną z nich ku oknu wyciągnął.

Dziewczę niby się przestraszyło, niby oburzyło, zasłona opadła, twarzyczka znikła, ale po bardzo króciuchnym przestanku, różek się jej podniósł, błysnęły z za niego oczy, a białe paluszki pogroziły...

Tak była piękną ta swawolnica, że książę zapomniał nawet o swem upokorzeniu, o Hawnulu, bodaj o celu podróży. Zbliżył się ostrożnie. Zasłonę zieloną spuszczone, lecz nieskończyło się na tem jeszcze.

Dziewczę podniosło ją znowu, pokazało się uśmiechnięte wesoło, do pół odkrywszy, z rączkami obiema, któremi żywo dawać zaczęło wyraziste znaki, o jakimś niebezpieczeństwie oznajmujące.

Semko, zapatrzony w śliczny ten obrazek pozostał zupełnie obojętnym, i w zamian za nie posłał od ust całusa.

Zielona siatka opadła szybko bardzo, ale z za różka jej ostrożnie uchylonego, Semko dostrzegł wielkie niebieskie oko, które patrzyło na niego i śmiało się, a młody pan, poruszony do żywego

gotów już był rozbijać okno i mur, aby się zbliżyć do czarownicy...

Miał już podbież do ściany, gdy usłyszał chód, szmer i Hawnula zobaczył przed sobą.

— Chodźmy! chodźmy! — zawołał głosem niespokojnym starosta. — Książę się wkradł w zakazane miejsce... tu u nas jak w klasztorze mniszek, surowo zabroniono zbliżać się nawet mężczyznom...

— Zapomniałem o tem — odpowiedział Semko, jeszcze cały przejęty widzeniem, którego załował — taką tu piękność najrzałem w oknie, że można było dla niej utracić zmysły.

Hawnul syknął, ręką podrzucając.

— A! źle się stało! — To pewnie jedna z naszych księżniczek, a kobiety, jeśli was widziały, będą o tem rozpowiadać, i domyślać się nie wiem czego.

W przedsieni u wchodu do komnat starej księżnej, stała straż ruska. Dwóch ludzi brodatych, w czapkach wysokich, z berdyszami w rękach i mieczami u pasa.

Za sienią mała przedsień dzieliła ją od izby, w której księżna Julianna przyjmować była zwykła. U drzwi zawieszonych ciężkim kobiercem, stało pachole, które zasłonę podniosło.

Komnata była przyciemniona nieco, ale czyniła wrażenie książęcego mieszkania... Ściany jej całe zawieszone były oponami wzorzystymi, podłoga wysłana kobiercami wschodnimi, w kącie

wielki obraz złocisty świecił drogiemi kamieniami. Lampa zawieszona od stropu, gorzała przed nim.

Sprzęty jedwabiami pookrywane, na stołach naczynia złote, emaliami ozdobne, zapach jakichś wschodnich woni, piżma i różanego olejku, przypominały kościół i kadzidła do nabożeństw używane.

Księżna przygotowana na przyjęcie Semka siedziała za stołem, w wielkiem krześle złożonem, ubrana ciemno, ale cała klejnotami okryta.

Na głowie miała strój kamieniami bogato sadzony, od którego pod brodę i na piersi spływały gęste sznury pereł, całą szyję okrywające. Naramienniki też lśniły diamentami, a pas podobny, ręce w pierścieniach całe, nawet obowie było od złota i drogich kamieni.

Wychudła, przeciągnięta, blado-żółta twarz księżnej Julianny, pełna była powagi i majestatu. Oczy jej wielkie, żywe, sprawne pięknie, patrzyły śmiało i pańsko.

Słusznego wzrostu, wyschła, otuloną była tak szatami szerokimi, iż postawy ledwie się domyślać było można.

W drugim końcu izby obszernej stały dwie strojne służebne, nieruchome jak posągi, obie jednakie, obie ze złożonemi podobnie rękami i spuszczonei oczyma.

Później na znak księżnej, jak automaty poruszywszy się, znikły.

Na pokłon księcia, matka Jagiellowa, nie powstając, poruszeniem głowy tylko, i znakiem ręki powitalnym odpowiedziała.

Semko zbliżył się powoli. Majestat tej poważnej matki książęcego rodu, mimowoli onieśmiał go i czynił na nim wrażenie... Szedł z poszanowaniem ku tej, która się królową zwać lubiła.

Hawnul kilku słowami po rusku powiedziałemi, książęcia jej przedstawił.

Juliana przypatrywała mu się długo, bardzo ciekawie. Westchnęła potem.

— Witold was prosił — rzekła — słyszałam o tem od Hawnula. Podjęliście się bardzo ciężkiej sprawy przez miłość dla niego. Jagiełło mocno zagniewany przeciwko niemu, i trudno, aby mógł mu przebaczyć.

Jak tu się jednać, kiedy się lękać potrzeba, aby jutro nie być zdradzonym?

— Zdaje się — rzekł Semko powoli — że gdy książę Witold raz z Krzyżakami zerwie, zdrady z jego strony już się lękać nie można. Nie przebaczą mu nigdy.

Witoldowi cięży sromotna u Krzyżaków niewola, nie żąda on więcej nic, tylko przebaczenia, pojednania i ojcowizny.

Księżna słuchała bacznie, potrząsając głową.

— Żal po stracie ojca, tłumaczy go, że z bólu wielkiego do Niemców się przerzucił — dodał Semko.

— Ale Jagiełło niewinien jest krwi jego — żywo przerwała Julianna. — Na krzyż i Ewangelję poprzysiądz to mogę.

Zemstę za Wojdyłły śmierć samowolnie pełnili jego powinowaci, i ukaranoby ich przykładnie, gdyby — tu księżna spuściła głowę, przerwała i zadumała się.

— Jestem przyjacielem i posłem tylko — począł Semko. — Przychodzę do miłości waszej, jako pośrednik zgody i pokoju. Witold na znak iż mi powierzył tę sprawę, dał ten pierścień i w imię pamięci księżnej Biruty, która go nosiła, do serca się waszego odzywa.

To mówiąc książę schylił się i pierścień zdejmując z palca, przed Julianną położył.

Oczy jej zatrzymały się na nim chwilę, wzięła go w białe, wychudłe ręce, popatrzała smutnie i napowrót Semkowi oddała.

— Uczynię co mogę — rzekła — syna, który mnie kocha, prosić będę, choć nie wiem czy mi Bóg dozwoli wymodlić to przebaczenie.

Trudno obrazy tak wielkiej i zdrady zapomnieć...

— Witold będzie pomocą wielkiemu księciu do pokonania Krzyżaków — dodał Semko. — Miał czas się im przypatrzeć, i zbadać wszystkie ich tajemnice. We dwu z Jagiełłą skruszą potęgę zakonu.

— O! ten zakon! Ci niemcy! — odezwała

się zadumana pani. — Jak ich ten krzyż Pański, Zbawiciela naszego, który świętokradzko na piersi noszą, nie spali! I cierpi to Bóg!

Gdy się tak z wolna bardzo, przerywana przestankami, ciągnęła rozmowa, Semko, pomimo całej zwróconej na nią uwagi, dostrzegł, że zasłona we drzwiach przeciwnych poruszała się, drgała, odchylała ostrożnie i zdawało mu się, że z za niej toż samo oko niebieskie patrzyło, które widział w oknie teremu.

W tejże chwili podniosła się opona i dwoje dziewcząt, w których rysach poznać było można pochodzenie wschodnie, wniosły na złotych misach nalane kubki, które Julianna Semkowi i Hawnulowi podać kazała.

Zmienił się teraz tok rozmowy, poczęła księżna dopytywać o Dawnutę Jannuszową, o jej życie z mężem i rodziną, potem samego Semka o wiek jego, o zajęcia, czy łowy lubił i czy już na wojnę chodził.

Wspomniała potem o ojcu jego Ziemowicie, jak gdyby pragnęła a nie śmiała rozpytywać o smutną a krwawą historię drugiej żony jego, matki Henryka, która wówczas po całym świecie głośną, a różnie była rozpowiadana.

Semko sromając się szerzej mówić o tem, zamilkł znacząco. Julianna też nie nalegała.

Wrócił do pierwszej prośby swej za Witoldem, na co Julianna zadumana, mało co już od-

powiadała... Zarazem Semko własną też z Jagiełłą sprawę polecał, chcąc przyjaźni sąsiedzkiej, i zgody, a zaręczając za to, że dotrzyma wiernie sojuszu.

Już odchodzić zamysłał książę, gdy Julianna zatrzymała go, chcąc się dowiedzieć co w Polsce słychać było, i kogo tam na tron prowadzić chciano. Odpowiadając na to Semko miał zrzeczność napomknąć, że właśnie stan niespokojny Wielkopolski sąsiedniej, zmuszał go do jak najprędszego powrotu.

Nie mu nie przyrzekając, księżna, gdy się jej nisko kłaniał żegnając, odezwała się z cicha.

— Zatrzymajcie się a czekajcie, aż wam dam znać. I ja pragnę zgody i pokoju. Dalby je Bóg.

Ręką pozdrowiła odchodzącego raz jeszcze, łagodniej mu się uśmiechnąwszy, i wyszli razem z Hawnulem, który w sieniach zaraz szepnął księciu, iż z przyjęcia jak najlepiej wróżyć można, gdyż księżna okazała się łagodną i przystepną, a niezawsze taką bywała.

Powrót do domu starosty, musiał być z pewnemi ostrożnościami połączony. Hawnul naprzód do wrót doszedłszy, obejrzał podwórcę, lękając się, aby którego z braci Jagiełłowych, lub starszyzny dworskiej nie spotkali.

Służby wprowadzie kręciło się tu mnóstwo, ruch był na zamku wielki, lecz szczęściem sama czeładź tylko, niewolnicy, parobcy przed wiecz-

rem się krzatali, nosząc drwa do łazien, obroki do stajen i zapasy do kuchen potrzebne.

Wśród tej gawiedzi różnorodnej i różnoplemiennej, Semko z łatwością rozpoznawał niewolnika wszelkiego, Polaków, Niemców, Rusinów, Tatarów. Niektórych po kilku przeprowadzali dozorca zbrojni, na znak zwierzchności białe laski mający w rękę. Inni pookowywani byli w dyby, a ci co w ucieczce zostali pochwytani, z pogolonemi włosami i brodami, skuci byli w łańcuchy.

Wielki przepych i bogactwo łączyło się tu wszędzie z jakąś dzikością i zaniedbaniem. Dworce samego Jagielly, obszerne, na zewnątrz mniej się czysto i strojno stawiały niż starej matki jego.

Dwór też, nawet bliżej stojący osoby pana, odziany był z prosta i niewytwornie.

Przeszedłszy niepostrzeżeni dziedzińce i wrota, zwrócili się znowu do domu starosty, który do siebie księcia na posiłek zapraszał, ofiarując się potem sam przeprowadzić go napowrót do klasztoru.

W małej izbie, na ustroniu, nie chcąc aby ich kto zszedł niespodzianie, przyjął Hawnul gościa, wytwornemi łakociami i wybornem winem.

Pomimo, iż Semko rad być mógł z dnia tego, i nadziei jakie mu Julianna czyniła, przez cały ciąg pobytu u Hawnula pozostał chmurnym i milczącym.

Przyczyniało się może do tego i wspomnienie

dziwnego spotkania z ową piękną twarzą, która na młodym panu uczyniła wielkie wrażenie, namiętność jakąś zbudziła.

Nie wahał się nawet dopytywać o nią starostę, a ten, z opisu wnosząc, domyślał się w nieznajomej, księżniczki Olgi, najmłodszej siostry Jagiellowej.

Wszystko co o dziewczęciu mówił Semko, zgadzało się z tem, co staroście o niej wiadomościem było.

Olga była chrześcianką i Hawnul wiedział, że matka nie inaczej jak za chrześcijańskiego księcia wydać ją chciała.

Po krótkim wypoczynku, gdy się już nazad do klasztoru wybierać mieli, wbiegło pachole pilno szepcząc coś panu swojemu do ucha. Hawnul porwał się z siedzenia.

— Jagiello powrócił i ja muszę do niego — rzekł żywo — racz się książę chwilę zatrzymać, a potem służba moja odprowadzi bezpiecznie do ojców naszych.

Zniknął natychmiast starosta, a po nie długim oczekiwaniu zjawił się milczący Niemiec, pokłonił i dał znak, że jechać mogli.

Wkrótce, przebywszy przedmieścia stanął Semko u furty klasztornej, gdzie go powitał przełożony, dopytując o wrażenie jakie na nim zamek i dwór uczynił.

Młody książę niewiele umiał powiedzieć,

czuł nadewszystko, że mu to jego tajemne posłannictwo, z jego dumą i charakterem niezgodne, ciążyło wielce.

— Ojcie mój — rzekł w końcu ręce podnosząc do góry — niewiele widziałem, a mniej jeszcze rozumiem, co się u was dzieje. Proście Boga za mną, aby czas tej próby ciężkiej skrócił, bo zaprawdę, nie nawykły do skrywania się jak złoczyńca, gdyby to dłużej trwać miało, rzucę wszystko i popędzę do domu. Podjąłem się nie swojej rzeczy. Starszego tu i wytrawniejszego niż ja potrzeba było człowieka.

Do swobodnego rozkazywania w domu nawykły Semko, czuł się niemal więźniem w tej małej zagrodzie i wyrzucał sobie, że się dał zakuć w taką niewolę.

Nazajutrz zrana, poszedł jak zwykle, na mszę świętą, zjadł, leżał na poście, ludzi swoich przywołał, o konie rozpytał i nakazał, aby do drogi na skinienie byli gotowi.

Męczyła go zwłoka i upokarzające oczekiwanie. Niekiedy przychodziły mu na myśl niebieskie oczy wczorajsze, ale zbliżyć się doń nich nie miał już nadziei.

— Choćby i siostrą Jagielly była — mówił sobie — niegorszy jestem od innych książąt, wziąłbym ją mógł, ale któż wie, czy istotnie księżniczka jest, a nie ulubioną jaką starej niewolnicą.

Bawił się dziecinnie myślami temi, aby o istotnym frasunku zapomnieć, gdyż upływające nadaremnie godziny, niecierpliwość i oburzenie zwiększały. Poganin ten śmiał jego, potomka Piastów tak przyjmować, jakby zbiegiem był jakimś, potrzebującym łaski jego!!

Gniew rosł coraz bardziej, gdy z południa nadbiegł Hawnul, żywo i wesoło a głośno dopytując już w podwórzu o księcia. Semko znużony i stęskniony wybiegł na jego spotkanie.

— Księżna Julianna mówiła już z synem — począł Hawnul. — Z początku gniewem się uniósł wielkim, nie chcąc ani słuchać o zdrajcy. Powoli go jednak ułagodziła.

Namyślił się sam i wezwał mnie, naradzał się z braćmi. Skirgiełło i Korygiełło byli przeciw zgodzie, Wigund za nią, Jagiełło też skłania się już do niej. Chce widzieć się i mówić z wami. Dobry to znak.

Jedziemy na zamek. Jagiełło jednak słusznie obawia się, aby was tu widziano i mówiono o waszym pobycie... a zawczasie zdradzono, że się z Witoldem układa. Musimy wszystko w jak największej zachować tajemnicy.

Wejdziemy na zamek przez dom mój, z którego mam kryty chód do dworca Jagiełły.

Na konie czekać długo nie potrzebowali. Semko uradowany, że się chwila wyzwolenia dla niego zbliżała, spieszył. Hawnul, znający dobrze

Jagiellę, zdawał się mieć nadzieję pomyślnego końca.

Szybko przebiegłszy przedmieścia, zsiadli przed domem starosty pod murami. Hawnul wprowadziwszy do wnętrza, ciemną szyją jakąś i ciasnem przejściem, opatrzonem żelaznemi drzwiami, wprost Semka na dworzec w. książęcy wiódł.

Sieni pełne były zbrojnej służby, dziwacznie uzbrojonej i strojonej.

Ustępowała ona widząc Hawnulą, który wszedł potem do komory dużej, przyciemnionej, różnej wcale od izb księżnej matki.

Nie widać tu było nietylko przepychu, ale starania o wygodę, starodawna prostota i zaniedbanie panowało.

Na ścianach powbijane rogi jeleni i łosiów dzwigały poczepiany oręż i myśliwskie przybory, podłoga prosta posypana była jedliną i jałowcem. Okna małe skąpo światło przepuszczały.

Semko dostrzegł nad progiem we wgłębieniu, ustawione dziwaczne bałwanki drewniane, niezgrabne, obudzające wstręt i obawę.

Dla niego było w nich coś szatańskiego.

Drogi od drzwi do drzwi, prostem suknem grubem były powyścielane. Na ławach miasto poduszek i kobierców, wyszarzane, poskładane w kilkoro wisiały wołłoki.

Wszedłszy do izby nie zastali w niej nikogo. Hawnul ostrzegł Semka, aby, gdy wyjdzie Ja-

giełło, zbyt natarczywie nie przybliżał się do niego, gdyż książę obawiał się tego i od wszystkich trzymał zdaleka.

Wpoiono mu od dzieciństwa wiarę w czary i postrach trucizny, która się samem dotknięciem udzielić mogła.

Zostawując księcia samym, Hawnul wyszedł i natychmiast powrócił.

Czekali w milczeniu.

Ze zwróconemi na drzwi oczyma stał książę, za każdym szmerem spodziewając się wejścia Jagiełły, lecz upłynęło czasu dosyć, nim zwolna, ostrożnie zaczęły się uchylać podwoje, a w nich ukazała na pół postać mężczyzny średniego wzrostu, w sile wieku, z twarzą przystojną i czerstwą, która nieco przedłużonym swym kształtem rysy matki przypominała.

Z powierzchowności trudno w nim było poznać możnego władzcę Litwy.

Miał na sobie futerko szarem suknem, bez żadnych ozdób pociągnięte, a prostym pasem rzemiennym ujęte. Szyja była obnażona, spadał na nią bujny włos ciemny.

Silnej budowy, krzepki, zahartowany, Jagiełło miał w twarzy dziwny wyraz męztwa zarazem i siły, a jakiejś obawy i niepewności...

Oczy biegały żywo i niespokojnie, jakby czegoś niespodzianego szukając.

W rysach tych była mieszanina wielu odcieni

trudno godzących się z sobą, powaga, pewność siebie, zabobonna obawa i dobrodusznna łagodność. Tej jednak zdawał się nie chcieć okazywać jawnie, czując się obowiązany swą dostojnością do wrażania trwogi. Zmuszał się do surowości, która mu nieprzystawała.

Wstąpiwszy na próg, miał już wniść, zawrócił się nagle, obrócił parę razy w kółko, rzucił coś z palców zgnieconego na ziemię, drzwi rozłożył szybko i przestąpiwszy próg, na którym się był zatrzymał, pędził iść ku Semkowi, przypatrując mu się pilno, śledząc każdy ruch jego.

Książę Mazowieki pozdrowił go.

Jagielle usta się poruszyły, jakby jakieś szepotał zaklęcie. Hawnul stał z boku.

Uwiadomionym był już Semko, że książę najchętniej i najłatwiej po rusińsku mówił, ale i polską ówczesną mowę łatwo rozumiał.

Czesi, Polacy, Serbowie łączyli i Ruś nie potrzebowali naówczas spotykając się tłumaczów; języki te w prostej mowie ludowej, a innej nie było jeszcze, bliżej były sobie niż dzisiaj.

Jagiello potrzebował widzieć wprzód: wpatrzeć się w gościa swojego i przez wzrok powziąć jakieś wrażenie, które mu charakter odgadnąć pomogło. Nie spuszczał z niego oczu niespokojnych.

Krok za krokiem szedł i stawał...

Na pozdrowienie Semka, nim odpowiedział

Jagiełło, dał wprzód znak Hawnułowi, który się ku drzwiom w głąb cofnął.

Głos którym się odezwał do gościa był pospieszny, niewyraźny, bełkotliwy, tak, że pierwszych kilku słów nie mógł książe zrozumieć.

— Wszystko już wiem, wiem — dodał zabierając miejsce na ławie, i siedzenie w pewnej odległości od siebie wskazując Semkowi — przysła was ten... Wojował ze mną krwawo, niemcom służąc... Spotwarzył mnie przed ludźmi za Kiejstuta... Nieprawda, kłamstwo jest, no, a teraz pokoju chce??

Ale i Krzyżacy mi obiecują przymierze i zgodę, oni szła listy do mnie i do matki. Witold powróci, a jutro zbuntuje się znowu...

Rozpostarł ręce szeroko:

Nie wierzę mu — nie mogę!!

No, i wy mi wrogiem byliście i jesteście. W koło wrogi! Miecza do pochew nie można położyć, nieustannie wojować trzeba a wojować i bronić się. Dopiero pobiwszy, pokój mieć będę.

— Ale do wojowania sprzymierzeńców potrzeba — rzekł Senko.

— Przymierze! — zawołał Jagiełło — a komuż wierzyć? Piszą, pieczętują, przysięgają, byle się zręczność nadała zdradzą.

— Wojowaliśmy z sobą o granice i o graniczne napaści — odczytał się Semko, choć ufam,

że więcej tego nie będzie, nie możecie mi jednak zarzucić zdrady?

Jagiello popatrzał nań i nieco się uśmiechnął.

— Wy? — odparł — wyście jeszcze czasu nie mieli na to.

W ten sposób ogólnikami zagajona rozmowa, nadzwyczaj szła powoli, końca jej przewidywać było trudno.

Jagiello wahał się i mierzył słowa ostrożnie. Czasem nagle wtrącał pytania zupełnie obce sprawie, o którą chodziło. Zaczął Semka badać o Krzyżaków, czy co o ich zamiarach nie wiedział; można-li było na zachowanie przez nich rozejm rachować? wielki-li był zjazd obcych gości? czy się nie zbierali za jaką wycieczkę?

Sąsiedztwo Mazowsza z Krzyżakami usprawiedliwiała te pytania, a Semko nie taił się z tem, że u Krzyżaków był, gdzie się z Witoldem spotkał. Na przygotowaniach tych dosyć stracono czasu.

Na stole przygotowane już wcześniej stało wino i woda. Jagiello zaprosił Semka, nie pijąc do niego i tłumacząc się tem, iż nigdy nie używał oprócz wody.

Młody gość do tego napoju ochoty nie miał.

Zdawało się potem, że się tak próżno rozejdą nie nie uczyniwszy, gdy Jagiello, na którym widocznie dobre jakieś wrażenie czynił Semko, swą otwartością i obyczajem rycerskim, nagle zmienił

ton, poweselał, zmiękł, zbliżył się do niego i przeszedł niespodzianie do przyjacielskiej poufałości. Ta zmiana nagle mogła być tylko zrozumiałą dla tych, którzy lepiej Jagiełłę znali, broniącego się pierwszym wrażeniom, a mającego serce miękkie i potrzebujące sobie jednać ludzi.

Starał się poznać Semka, polubił go, przestał się lękać i stał się łatwym a przystępnym.

Rzuciwszy na bok wstępne wszelkie omówienia, Jagiełło zaczął mówić otwarcie.

— Prosiła mnie matka za Witoldem, wy także za nim mówicie. Niechże się stanie jak żąda, ale on zdradzi mnie znowu! Zobaczycie!...

Spróbować potrzeba, wszyscy mnie do tego popychacie. Niechże wraca, dam Krewa i ojcowiznę, dam!...

A kto za niego zaręczy?

— Mieć go sami będziecie w ręku — odparł Semko uradowany.

Wielki książę poruszył się, nie odpowiadając, i uśmiechnął. Twarz mu się wypogadzała.

— Witold prosi, aby kogoś do niego posłać na Żmudź, on tam zjedzie dla umówienia się o szczegóły — dodał Semko.

— Dobrze, pošlę do niego Hawnula — odpowiedział Jagiełło. — Jemu jednemu wierzę. Tajemnicę trzeba zachować.

— Oznajmię mn więc łaskę waszą! — zawołał dziękując Semko.

Skinął tylko głową milezący Jagiełło, a po chwili namysłu, rażno porwał się z ławy.

— Wpadniemy razem na tych łotrów Krzyżaków — zawołał — wówczas gdy się najmniej będą spodziewali! Zadamy im klęskę! pomścim się! pomścim! Jest za co szukać odwetu!

Westchnął, oczyma potoczywszy dokoła.

— No, i ja dla siebie i brata o pokój was proszę — dodał Semko. — Uraz sobie zapomnijmy wzajemnych.

— Tak — rozśmiał się Jagiełło — a gdy my padniemy na Krzyżaków i wy z nami!... wy z nami!...

Semko głową dał znak przyzwalający, że i na toby był gotów.

— Czyjej oni ziemi nie powydzierali — mówił żywo w. książę — mojej, waszej, polskiej naokół schwycili, co mogli, na cudzem siedzą, na naszym. Napłynęło ich jak szarańczy, gorsi od Tatarów, bo rozumniejsi od nich. Wszystkie sztuki złe znają, wszelki duch nieczysty im pomaga.

Ożywiał się i ostygł na przemiany, mówiąc Jagiełło. Pierwsza nieufność względem Semka, ustępowała, młode chłopię pociągało go ku sobie... Chytrości i kłamstwa w niem nie czuł.

Tak w chwili, gdy się może najmniej dobrego skutku poselstwa swojego spodziewał Semko, ujrzał u celu swych życzeń.

Wszystko zdawało się skończone, ale w. książę nie odpuszczał go od siebie. Raz otworzywszy się przed nim, potrzebował wynurzać; zaczął znowu na Witolda się uskarżać i wyliczać straty poniesione z jego powodu.

Semko mało co mówił. Zaczynało robić się późno, i korzystając z pierwszego zwrotu rozmowy, książę mazowiecki żalił się, iż mu tak pilno było powracać nazad, dla doniesienia Witoldowi, aby się on przygotował już do wspólnego wystąpienia przeciw Krzyżakom. Chwili nie było teraz do stracenia.

Skarżył się też, że własna sprawa jego na rozruchy wielkopolskie baczny być kazala.

Jagiello już był zawiadomiony o tem, co się w Polsce działo, a szczególnie w Wielkopolsce.

— Myślicie i wy tam pójść wojować? — zapytał. — Niemca Polacy podobno nie chcą?

Semko do starań o koronę nie myślał się przyznawać, tłumaczył się tem, że granic trzeba było pilnować.

— Pozwolicie mi więc — dodał w końcu — abym jutro wybrał się z powrotem.

Zawahał się nieco i popatrzał Jagiello...

— Jutro? — Ja myślałem wziąć was na łowy z Wigundem. Wy takiego zwierza u siebie nie macie.

— Pilnicjsze łowy czekają na mnie — rzekł Semko — a i ukazywać się tu mi nie godzi, gdyż

Krzyżacy wszędzie szpiegów mają. Spieszyć mi potrzeba.

Nie sprzeciwiał się Jagiełło, ale powołał Hawnula, bo Semko choć drobny jaki znak mieć żądał i dowód, że poselstwo spełnił.

Umówiono się więc o pismo bez pieczęci, dwuznaczne, któreby tylko Witoldowi zrozumiałem było. Starosta przygotować je obiecywał.

Wielki książę zaś dla pośpiechu Semkowi ofiarował pewnych ludzi orszak, mający go wprost do granicy przeprowadzić. Spuścić się na ich wiarę i milczenie było można, bo głowy i życia ręczyły.

W chwili rozstania znikły wszelkie ślady nieufności. Jagiełło stał się ożywionym, dobrodusznym, serdecznym. Semkowi w przyszłości braterską przyjaźń przyrzekał i chciał jej od niego.

Już byli u drzwi, gdy Jagiełło matkę swą przypomniał i Semka zatrzymał.

— Nie może to być, kniaziu — odezwał się — abyście odjechali bez pożegnania, i w. księżnie Juliannie się nie pokłonili. Jej my winniśmy zgodę... Bez niejby mi serce dla Witolda nie zmiękło. Idźcie, a pozdrówcie ją.

Przystał książę na to słuszne żądanie, przyszło mu na myśl, że może znowu swą niebieskooką zobaczy. Młodość przy najważniejszych sprawach, nigdy o sobie nie zapomina.

Hawnul jednak porę znalazł niewłaściwą...

— Jutro — rzekł po wyjściu z dworca, i prowadząc Semka do siebie — nie będziemy się już potrzebowali tak bardzo z sobą ukrywać. Nikt nie wie kto jesteście, a książąt obcych tu zawsze pełno. W biały dzień pójdziemy do księżnej.

Obiecywał tymczasem Hawnul podróżny orszak przygotować i szepnął, że podarki ma rozkaz wydać, pod które kilka koni także pójść musi.

Nie mógł się tem obrazić, ani dziwić Semko, gdyż podarki takie zwyczajem były, ale mu przykrem było, że on ich przywieść z sobą nie zdołał.

Hawnul rozumiał dobrze, iż tajemnie jadąc, obarczać się niemi nie było podobna.

Dar Jagiełły składał się z kilku naczyń i mis srebrnych, sukna szkarłatnego i sobolów. Gdy Semko za nie dziękował, starosta przerwał.

— Mała to rzecz, i gdyby nie to, że was obciążać się nie godzi, Jagiełło wspanialszymby się okazał. Nie znam pana, któryby ochotniej dawał, a obojętniejszym był na to, co mu ludzie przynoszą.

Bogactw siła mamy, a książę nasz dla siebie nie potrzebuje ich wcale. Jak go dziś widzieliście, takim zawsze jest, prostego obyczaju i życia. Najmniejszy z dworzan jego więcej potrzebuje i wymaga.

Nie pije nic oprócz wody, je toż samo co czeladź jego, na łowach nieustannych przywykł

do niewygód wszelkich, w sukniach wspaniałych się nie kocha. Najmilszem mu, gdy koło siebie wesołemi widzi tych, którym dobrze uczynił. Zaprawdę godzien chrześcianinem być ten, który już ma wrodzone chrześciańskie cnoty! O gdybyście go jak ja znali!

Semko milczał. Rad był wierzyć temu co słyszał; ale przypominając sobie pierwsze ukazanie się Jagielly i początek rozmowy, późniejszej dobroduszości i wylania się zrozumieć nie mógł.

— Tak — dokończył Hawnul — aby go miłować jak ja, znać go jak ja znam, potrzeba.

II

Nazajutrz do dnia w kościółku ojców Franciszkanów, ksiądz Paweł przełożony, mszę świętą dziękczynną odprawił, klęczał słuchając ją Semko, winszując sobie, dziękując Bogu, że go z lekkomyślnego przedsięwzięcia wyzwolił szczęśliwie.

— Bracie Antoniuszu — rzekł wychodząc z nim razem po nabożeństwie — przygotujcie się. Bodaj nam dziś jeszcze wieczorem napowrót wyruszyć wypadnie.

— Czyż miłość wasza tak bardzo mnie teraz potrzebujecie? — odpowiedział z wahaniem i obawą staruszek. — Tutaj braci naszej maluczko, jeden niedawno rozstał się z tym światem, przenosząc do lepszego. Nierychło się doczekają posilku nowego, a ludzi im potrzeba. Proszą mnie bardzo, abym pozostał z nimi. Po Wielkiej Polsce teraz za jałmużną chodzić próżno, gdzie ziemianom samym kawałka chleba brak.

— Więc chcielibyście pozostać? wy? — zapytał zdumiony książę.

— Ojciec Paweł życzy sobie tego. W kościółku mu zakrystyana brak, w klasztorze rąk. Jam, dzięki Bogu, silny jeszcze.

Semko zwrócił się ku przełożonemu, który stał milczący.

— Brat Antoniusz chce mnie opuścić! — rzekł.

— Ale tylko za przyzwoleniem miłości waszej i zgodą — odparł przełożony. — Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyśmy go pozyskać mogli. Młodszej braci przy nim rańniejby szło, bo to żywy przykład klasztornej cnoty.

— A! a! ojcze! niedołęga jestem! — wtrącił skromnie Antoniusz.

Semko nie sprzeciwiał się żądaniu, pomyślał tylko, że gdy mu Kankis i Wiżunas równie się upomną o obiecaną swobodę, z powrotem w drodze kierować się ciężko będzie.

Za to Jagiełło dawał przewód swoich ludzi do granicy.

Do południa z zamku nie nadeszła wiadomość żadna, aż nadjechał Hawnul, a z nim dwu konnych, którzy podarki W. książęce wieźli.

Wspaniałe były i kosztowne, i za nie godziło się podziękować.

Ale Jagiełło dodnia już był na łowy do Miednik wyjechał, nie żeby podziękowań uniknąć,

ale dla tej namiętności, jaką miał do łowów, do lasów, do życia w polu, gdzie mu zawsze milej niż z ludźmi było.

Śmiejąc się począł żalić Semko przed starostą, iż mu przyjdzie wracać samemu, bo go towarzysze opuszczają.

Hawnul ucieszył się nowiną, iż szczupłej gromadce ojców jego przybędzie pomocnik nowy, którego już przed nim przełożony wychwalał.

Co do Kaukisa i Wiżunasa, tych natychmiast przywołano, aby wiedzieć czy na nich rachować było można.

Przez czas pobytu swojego na Litwie, wyuczył się był Hawnul języka, który tu razem z rusińskim był urzędowym. Mówił nim łatwo. Gdy Litwini przyszli i padłszy na ziemię, bili czołem księciu i jemu, począł ich pytać czy chcą z panem powracać, wiernie mu służąc, lub, jako oswobodzeni pozostać. W takim razie innych w ich miejsce dać obiecywał.

Spojrzeli po sobie wyzwoleni, jakby się wzrokiem naradzali, a po chwili krótkiej wabania, oświadczył Kaukis za obu, iż do Płocka księcia odprowadzą.

Nie przyznał się z nich żaden, że choć własny kraj ten do serca im mówił, po długich latach niewoli, już się w nim obcemi czuli.

Oprócz nich, przez Jagiełłę wyznaczeni, dobrze z drogami obeznani Litwini i Rusini, do gra-

nicy Semka prowadzić mieli, nie było więc obawy o powrót bezpieczny.

Jechali z pożegnaniem na zamek do starej księżnej.

Tu znaleźli wszystko w tym samym porządku jak pierwszym razem, ale niebytność Jagielly trochę podwórce opustoszyła. Semko przechodząc dziedziniec wielką miał ciekawość zobaczenia pogańskiej świątyni, której mury tylko i wieżę zdala widać było. Hawnul na zbliżenie się nawet do niej dozwolić nie chciał.

— Mieszkamy wprawdzie na zamku razem z najstarszym ich kapłanem Krewekrewejtą i jego duchowieństwem, mamy pod bokiem główną ich świątynię, ale pomiędzy nią a dworem oddawna już zaszczepiona nieufność, od czasu jak cerkiew stała dla księżnej a pop Nestor przy niej mieszka, podejrzewają książąt kapłani, lękają się ich, czując wiary swej koniec blizki. Nikogo też do swojego ognia i ołtarzy obcego nie przepuszczają. Na najmniejsze podejrzenie, gotowi są na gwałt uderzyć, a tłumy i gmin mają za sobą, szczególnież lud prosty, który na zawołanie Wejdałotów gotów chrześcian mordować, nie oszczędzając nikogo.

Sam Jagiello lęka się Krewekrewejty, obdarma go i łagodzić się stara, aby mu gminu nie burzył, bojąc się nawet chodzić do cerkwi matczynej.

Świątynia jest pilno dzień i noc strzeżona przez sługi Krewy, a przystęp do niej trudny.

Niema też tam do widzenia nic, oprócz kamiennego ołtarza, na którym ogień się pali, i brzydkich bożyszc ich z drzewa, z żelaza, a nawet z prostych dzikich kamieni, za bogi czczonych...

Skarby, jakio mają w sklepach, pod świątynią się nkrywają.

Pytał Semko, czy prawdą było, że dziewczęta wejdałotki ogień wieczny obsługiwały, co Hawnul potwierdził, dodając, że surowo ich strzeżono.

W stronę świątyni wiodła ubita ścieżka, ale wielkiego zbiegowiska ludu widać na niej nie było. Stała o tej godzinie pustą prawie dolina Swentoroha, dym tylko ciągle podsycany ponad mur gęstym słupem się unosił.

Zbliżając się ku teremowi księżnej Julianny, Semko postrzegł stojącą z boku w dziedzińcu gromadkę dziewcząt, która, jakby świadoma ich przybycia, czekać się tam zdawała. Ale wszystkie one miały tak osłonięte twarze, iż rozpoznać ich nie było można. Na widok nadchodzących, krótką chwilę tylko postawszy w miejscu, pospiesznie, przepłoszone pierzeliwały.

Z za słupów wychyliło się potem jeszcze parę głów biało okrytych, aby się przypatrzeć obcemu, a Hawnul, udający że tego nie widzi, spiesznie księcia wprowadził do sieni.

W sieniach powtórzyło się toż samo.

Straż stała przy drzwiach, a w lewo szło obejście dworzec otaczające, rodzaj korytarza małemi oknami oświeconego.

Tu znowu znalazła się kupka kobiet ciekawych, która równie prędko, przestraszona uciekła w głąb domu.

Księżna Julianna, jak pierwszym razem spodziewająca się tych odwiedzin, nie chciała przed gościami dwa razy pokazać się w jednym stroju i klejnotach. Wdziała więc na głowę inne czółko, niemniej bogato, wielkiemi, krągło szlifowanemi rubinami i smaragdami wysadzone, w kształcie korony, i pierścionie na ręce kosztowniejsze jeszcze i łańcuchy złote zamiast pereł. Suknia też ciemna była przetykaną złotem, a obówie na kształt sandałów świeciło kamieniami. Długa zasłona biała spadała od czółka na ramiona.

Nie bez myśli też zapewne księżna tym razem, wielki krzyż złoty na piersiach zawiesiła.

Na stole przed nią przygotowane już stały w złotych czarkach i rogach wina słodzone, na miskach podobnych przysmaki różne, owoce w miodzie i małe placuszki.

Weselszą twarzą powitała teraz Semka, który zbliżywszy się dziękował jej za skuteczne orędownictwo u syna, przyznając mu wszystko.

Słuchała Julianna z uśmiechem smutnym na ustach i dumą, dając poznać, że jej to miłym było.

— Powiedzcież Witoldowi, albo nakażcie do niego — odpowiedziała — że ja to uczyniłam dla pamięci matki jego, a zaklinam go na miłość dla niej, aby syna mojego najmilszego nie zdradził, szanował go i był mu posłusznym.

Dał się Jagiełło skłonić prośbom moim, ale mnie tu wkrótce nie stanie, a przemówić nie będzie komu. Czekam tylko, abym córki z domu oddała, aby do monasteru wstąpić, za którym tęskni dusza moja.

Świat ten już nie dla mnie, Bogu służyć chcę resztę życia.

Staruszka mówiła powoli, pilno się przypatrując Semkowi. Spytała go potem o lata, znajdując bardzo młodym. Zagadnęła, czy już o małżeństwie nie myślał, a miał jaką narzeczoną?

Książę zarumieniwszy się odparł, że czasy były niespokojne, i więcej do wojny niż do wesela gotować mu się należało.

Dziwnie trochę potem księżna odezwała się, że dla córek swych, książąt chrześcijańskich, bogobojnych a statecznych trudno jej znaleźć było, a Jagiełło sióstr za lada kogo wydawać nie myślał. Wyglądało to trochę na swaty lub na coś podobnego, dając Semkowi do myślenia. Ale teraz mu o ożenku nie godziło się mówić, ani je osnuwać...

Musiał potem książę kubek za zdrowie księżnej wychylić i słodyczy pokosztować.

Właśnie gdy książę do stołu przystąpił, a księżna zwróconą była ku niemu, Hawnul zaś stał tak, iż w głębi znajdujących się drzwi widzieć nie mógł, zasłona w nich naprzód się nieco odchyliła, potem nagle, szybko podniosła i oczom Semka na chwilę ukazała się w całym blasku młodości swej niebieskooka dziewczyna, o której nie mógł zapomnieć.

Okryta jasno zieloną suknią jedwabną, oszywaną paskami złotymi, z wianuszkiem złotym we włosach, widocznie zjawiała się tylko dla niego, wybrawszy chwilę, gdy matka jej zobaczyć nie mogła, ani starosta, który zresztą byłby jej nie zdradził.

Uśmiech wesoły zaigrał na jej ustach, główką dała znak powitania czy pożegnania i zasłona spadła, ukrywając ją znowu.

Oprócz Semka, który stał osłupiały i zachwycony, nie postrzegł jej nikt więcej. Zuchwałe to wystąpienie dziewczęcia dowodziło, że więcej być musiała niż służką, córką domu i zapewne ulubienicą matki.

Na twarzy młodego księcia odmalowało się takie zdumienie, że łatwo go zdradzić mogło. Jakoż Hawnul domyślając się czegoś, niespokojnie odwrócił się ku drzwiom, ale tu już nie było nikogo, drżała tylko zasłona.

Księżna Julianna tymczasem zdawała się badać twarz Semka i chcieć odgadnąć charakter.

To co słyszano o ojcu, mogło wpłynąć na sąd o synu. Ziemowit słyszał z okrucieństwa i popędlowości. Na młodej i pięknej Semka twarzy, trudno było wyczytać, co się kryło w jego duszy, chociaż śmiałe i bystre spojrzenie, usta mające wyraz dumny i nakazujący, spadek krwi w nim zapowiadać się zdawały.

Nie raziło to naówczas, gdy energia i siła były warunkiem panowania najgłówniejszym i zwycięstwa w uicustającej walce.

Semko wzruszony widokiem, który go tak niespodzianie przerzucił w inny świat marzeń jakichś, nie mógł już tu długo pozostać, i zaczął żegnać księżną a dziękować jej, na co ona z macierzyńską jakąś odpowiedziała czułością i pobłogosławiła na drogę.

Semko po zrobieniu bliższej znajomości z Jagiellą, z matką jego, i jak się domyślał, z córką, czuł się do tego domu i rodziny pociągniętym...

Hawuni uważał, że i księżna okazała się dla obcego przybysza czulszą niż dla innych być zwykła. Wszyscy co ją bliżej znali, opowiadali o jej surowości i wstręcie do obcoplemiennych.

Dla księcia mazowieckiego okazała się prawie serdeczną. Zapytała go jeszcze o drogę, jaką miał przebywać, o bezpieczeństwo w podróży, o orszak towarzyszący i po błogosławieństwie zdjawszy z palca pierścień z rubinem wielkim, podała go uśmiechając się księciu.

— Przyjmijcie go, proszę, odemnie z błogosławieństwem — rzekła — a nie oddawajcie nikomu chyba przy zrękowinach przyszłej waszej niewieście.

Tak się rozstali i Semko wyszedł dziwnie zmieszany, a Hawnul musiał to sobie wytłumaczyć wielką uprzejmością starej księżnej, której dziwił się zarazem i winał mu.

Semko chciał tegoż dnia jeszcze wybrać się w drogę, musiał więc spieścić nazad do klasztoru, chociaż Hawnul puszczenie się przeciw nocy odradzał, jeżeliby książę nie chciał do Trok dociągnąć, na zamku nocować.

Na wszystko godził się już Semko, byle nazad do Płocka podążyć, gdyż sprawy wielkopolskie i słowo dane Bartoszowi, nagliły do powrotu.

Pożegnawszy więc starostę, brata Antoniusza, który już suknię zakonną wdział i ochoczo się krzątał około klasztoru i kościoła, obdarzywszy ojców, pomimo zbliżającego się wieczora, Semko z dodanemi mu ludźmi i własną czeladzią, gościńcem ku drogom wyruszył...

Podróż ta obiecywała się być daleko spieszniejsza, gdyż dodany przewód, złożony z ludzi doskonale z krajem obeznanych, świadomych dróg, oszczędzał czasu wiele. Semko też ani siebie, ani towarzyszy swych nie szczędził, a koniom da-

wał ledwie tyle wytechnienia, ile było potrzeba, aby go do Płocka doniosły...

Popasano krótko, z noclegów ruszano do dnia, omijano osady, a Jagiełłowa straż doskonale umiała wszędzie potrzebne znaleźć zapasy do życia.

Brakło Semkowi w drodze milczącego lub modlącego się zakonnika, do którego czasem mógł przemówić słów kilka, albo z nim razem się pomodlić, ale miał teraz myśleć o czem, a w miarę zbliżania się do granicy, niecierpliwość rosła.

Na kraju litewskich borów rozstali się z nim Litwini, Kaukis objął znowu dalszy przewód. Kaukisowi, Wiżunasowi i czeladzi pod garłem nakazano, aby o podróży mówić nie śmieli nikomu.

Groźba ta starczyła, aby im zamknąć usta. Znano surowość książąt i Semka, gdy był dzieckiem popędliwość.

Rankiem mroźnym, przebiegłszy pędem uliczki miasta, Semko nagle, piorunem wpadł znowu na swój zamek Płocki, jak gdyby z łowów powracał.

Z bramy już rzuciwszy okiem wewnątrz podwórców, znalazł je wcale innemi niż porzucił. Pełno tu było obcych ludzi, koni i wozów, gwar i ruch panował wielki. Poznał dworzan i czeladź mazowiecką brata Janusza, i orszak zbrojny wiel-

kopolań Bartosza z Odolanowa. Oczekiwano tu na niego.

Pierwszy, który go przy zsiadaniu z konia pochwycił, był brat Henryk, tak dziwacznie jak zawsze ustrojony, pół po duchownemu, na pół po świecku.

— Semko! co się z tobą stało! — krzyknął cisnąc się ku niemu. — Wszyscy o ciebie w trwodze wielkiej. Posłano w lasy szukać i trąbić! myśleliśmy już, że cię dzikie bestye zdrapały gdzie, albo Litwa w niewolę uprowadziła.

Coś ty robił?... gdzieś bywał?...

— Alboż nie jestem wolen robić co chcę? — odparł szorstko Semko — zbywając się natrętnego chłopca, który szedł za nim.

— W progu izby gościnnej zastąpili mu drogę Janusz, mierzący go oczyma niespokojnemi i cały rozogniony Bartosz z Odolanowa.

— Nabawiłeś nas, miłość wasza, trwogą straszną — poczał ostatni. — W takiej chwili, gdy każda godzina droga, gdy radzić trzeba i czuwać, was nam zabrakło, miłościwy książę. Wolelibyśmy sto kopij stracić!

Semko w czasie podróży już ułożył był sobie baśń dla wytłumaczenia niebytności swojej. Ludzie do niej zastosować się mieli. Kłamstwo stało się nieuchronnem, gdyż przyznać się do celu podróży nie mógł w żaden sposób i przed nikim. Janusz milczący mierzyl go ciągle oczyma nieufnemi.

— Niepojętym sposobem obłąkałem się na łowach, zapędziwszy aż na samą litewską granicę — odezwał się Semko. — Ja i ludzie potraciliśmy głowy, śnieg drogi i ślady pozawiewał. Mogliśmy z głodu umrzeć, gdyby człowiek, któregośmy w puszczy spotkali, szczęściem na drogę nas nie wyprowadził. Smutno się łowy skończyć mogły!

Bartosz słuchał opowiadania milczący, Janusz także, ale po obu poznać było można, iż powieści tej niewielką dawali wiarę, chociaż musieli ją przyjąć jak była. Badać go nie śmiał nikt. On sam, opowiadanie chcąc prawdopodobniejszem uczynić, plątał się w niem coraz niezręczniejsze.

Henryk słuchający też z boku, a mniej mający względów dla brata, z dziecinną zarozumiałością, ramionami poruszał i śmiał się.

Oglądał się na stojących blisko i szeptał.

— Kłamie!

Po kilkakroć przerywanem i na nowo zaczynanem opowiadaniu księcia, które milczeniem przyjęto, Bartosz się pierwszy odezwał.

— Miłościwy książę, wiem, że sami się z nami nie ruszycie, ale ludzi zbrojnych waszych nam potrzeba, na Boga miłego, aby Kalisza dostać.

Domarat sam jeden ze swoim rodem trzyma się Luksemburczyka, inni o nim słyszeć nie chcą, Krakowianie go za granicę wyprowadzili, ale zamku mu ani powąchać nie dali. Musimy z czasu korzystać. Wielkopolska Piasta woła.

Semko słuchał marszcząc się. Wiedział jak brat był przeciwnym wszelkiemu mieszaniu się w polskie sprawy, zamiast odpowiedzi, odwrócił się ku niemu, jakby wyzywał do objawienia zdania.

Janusz, który już siadł był za stół, podparł się i milczał.

— Słyszycie! — rzekł do niego Semko.

— Od wczoraj tylko tego słucham — chłodno odpowiedział Janusz — ale przy swem stoje. Niech Wielkopoleanie robią co chcą, nie nasza to rzecz. Nie pora się mieszać. Kto ma ochotę w kości grać, niech za kubek bierze, a ja kosterstwa ani życzę, ani do niego należeć nie myślę.

— Nie namawiamy was — wtrącił Bartosz — choć brat królem, złą dla was rzeczą nie będzie.

Janusz usta wydał i ręką zamachnął... Nie miał wiary w obiecane królestwo.

Zbyt wiele osób otaczało ich i słuchało rozmowy, aby ktokolwiek chciał się otworzyć z tem co myślał. Jeden Bartosz nie taił się z tem co czynił.

Semko szczególnie zwracał uwagę na brata, w którym już teraz pewne zobojętnienie i oswowienie się z myślą o koronie dostrzegał.

Odolanowski pan, cały przejęty i rozgorączkowany, ciągnął dalej.

— Zechcecie czy nie, okoliczności was zmuszą przyjąć osieroconą koronę, do której nikt prawa

nad was większego nie ma. Oczyszczymy wam pole. Nie żądamy, abyście się sami mieszcali do sporów i naszych waśni, ale posiłków na gwałt potrzeba i tych nam odmówić nie możecie.

Semko jeszcze milczał, dał znak Bartoszewi tylko, że nie pora o tem rozprawiać. Dwór zwolna rozchodzić się zaczął, zastawiono stół, rozmowa wzięła się o sprawach obojętnych. Henryk, nie mogąc doczekać, czego sobie życzył, zniecierpliwiony wybiegł. Bartosz milczał zmuszony, lecz widać było, że czekał tylko chwili, aby powrócić do tego z czem przybył.

Zostali wreszcie sami, książęta dwaj, Odolanowski pan i stary Socha. Natychmiast okiem po izbie powiódłszy, Bartosz począł.

— Miłościwy książę, po ludzi przybyłem... Wojewoda bez was dać mi ich nie chce, a ja pilno potrzebuję.

Semko spojrział na Janusza, zachmurzonego i milczącego, potem na Sochę.

— Ludzi mam gotowych — odezwał się wojewoda — ale tych bez rozkazania pańskiego dać nie mogłem...

Młody książę poruszył ramionami.

— Zaprawdę — rzekł — gdybym ja od Bartosza zażądał posiłku, pewnoby mi go nie odmówił. Sąsiedzka to sprawa. Nie widzę, dlaczegobym nie miał przyjść w pomoc staroście...

Sam mięszać się nie mogę, ani też żądają tego po mnie.

Janusz z uwagą wielką słuchał brata i twarzą wyjaśniającą się potwierdzał słowa jego.

Bartosz obrócił się do Sochy.

— Panie wojewodo, słyszeliście? macie ludzi pogotowiu?

— Znajdą się — odparł Socha.

— Rychło?

— Choćby jutro — rzekł stary chłodno.

— Na rany pańskie i dziś jeszcze byłbym im rad — zawołał Bartosz.

Kalisza dobyć potrzeba.

Nie chcąc już czynnie należeć do układów z Bartoszem, Semko się zbliżył do brata i cichą rozpoczął z nim rozmowę.

W izbie gwar powstał, gdyż w tejże chwili na pomoc Bartoszewi wtargnęli dwaj z nim przybyli powinowaci jego Nałęcz, krwi gorącej ludzie, a Sosze chorąży nadszedł na odsiecz.

Wzięły się więc rozprawy, w których ani Janusz, ni Semko udziału nie mieli, odpierając milczeniem, gdy się do nich odwoływano.

Natomiast Henryk, który znowu się wcisnął do izby i stanął przy Bartoszu, oświadczał się z gotowością rzucenia natychmiast sutanny za płot i siadania na koń. Pozbywano się go milczeniem, co go jeszcze bardziej niecierpliwiło.

W parę godzin po przybyciu Semka, Socha

zmuszony do posiłkowania Bartoszowi, musiał już wydać rozkazy. Ludzie się rozbiegli ściągając oddziały przygotowane, a na zamku tłumno było i gwarno, że się przecisnąć ledwie mógł, kto z miasteczka przychodził.

Na to potrzeba było zręczności, gibkości i wprawy Bobrka, który wszędzie i zawsze wcisnąć się umiał, nawet tam, gdzie już dla nikogo miejsca nie było. Właśnie w chwili, gdy ludzie z Semkiem powracający, z końmi do szop ciągnęli, klecha, powracający z miasteczka, znalazł się we wrotach, jednym wejrzeniem rozpoznał, co się tu działo, i zamiast do izby kanclerza, dokąd był powinien, rącho się ku stajniom posunął.

Podróż księcia, której celu dotąd się nie mógł dobać, była dla niego teraz zadaniem najważniejszym do rozwiązania. W czasie niebytności jego tropił po wszystkich kątach, szukając o niej wiadomości jakiejś, skazówki najmniejszej, ale nie zdobyć nie mógł.

Najszacowniejszem źródłem dla wyciągnięcia czegoś, zdawała mu się bliższa znajomość, zawiązana z Błachową i Uliną. Stara była bardzo pobożna, wziął ją na lep wielce skutecznych modlitw i zaklęć, przeciw wszelkim sprawom złego ducha, których umiejętnością się szczycił. Przy niej przybierał tak skruszoną i namaszczoną postawę, tak miodowemi do niej przemawiał sło-

wami, tak pochlebiał zrećźnie, iż Błachowa widziała w nim niemal świętego człowieka.

Starał się razem przypodobać pięknej Ulince, ale tu mu się nie powiodło. Instynkt jakiś budził w niej odrazę do tego człowieka, który jej śmierdział kłamstwem.

Były chwile, gdy i ona się zasluchiwała, gdy opowiadał o świętych mężach i niewiastach, o cudach i przygodach cudownych, lecz lada nuta fałszywa, wejrzenie kose, zdradzało jej człowieka niebezpiecznego.

Ostrzegała o nim matkę, która oburzała się przeciw podejrzliwości i mówić nawet nie nie dawała na świątobliwego klechę.

Przyjmowała go stara wieczorami, z poszanowaniem sukni należnem. Karmiła, poila i słuchała, dziwiąc się córce, która jak najdalej siadała w kącie, i ani słówkiem do pobożnej nie mieszała się rozmowy.

Od nieopatrznej starej dowiedział się Bobrek bardzo wielu rzeczy drobnych, małego na pozór znaczenia, z których wnioski pewne wyciągnąć umiał.

Próbował czy i o podróży tej Semka nie da się co wybadać, będąc przekonany, że cel jej dla niewiast nie był tajemnicą, ale Błachowa z groźnego wejrzenia córki zmiarkowała, iż się nie godziło pisać ani słowa.

Bobrek kilka modlitewkami przeciw różnym

chorobom, do noszenia na sobie przysłużywszy się, ofiarował i cztery ewangelie do zawieszenia w izbie i paciorki, jakoby z ziemi świętej przywiezione, za co łaski wielkie pozyskał. Ulinki jednak niczem sobie zjednać nie mógł, brzydziła się nim. Obawiając się tylko gadatliwości matki, stała zawsze na straży, gdy przychodził. Ciekawość jego była jej podejrzaną.

Z tego, co Błachowa opowiadała czasem o młodości księcia, jego podobieństwie do ojca, porywczości, korzystał klecha, by sobie stworzyć pewne wyobrażenie o charakterze.

Zabranie w drogę Kaukisa i Wiżunasa, rodziło w nim podejrzenie, iż podróż mogła prowadzić ku Litwie, jakkolwiek przypuszczenie mało prawdopodobnem się zdawało.

Spostrzegłszy powracających ludzi księcia, Bobrek podkradł się pod stajnie. Trafił wprawdzie jak się spodziewał, na pytania czeladzi, gdzie byli, co się z niemi działo itp., lecz odpowiedzi były tak krótkie i niewyraźne, iż z nich nie się wyciągnąć nie dawało.

Musiał więc w pomoc wezwać oczy, przypatrując się przyjezdnym, aby z tego co wieźli z sobą, coś wynioskować. Zdejmowano właśnie z koni wory z futrem i podarkami Jagiellowemi, które do skarbcza odwieźć miano.

Bobrek zapamiętał to sobie.

Dostrzegł także, iż do liczby koni, które wy-

szły z księciem, przybyło dwa małe, wołochate, krępe, podobne bardzo do tych, jakie w Malborgu widywał, przypędzane ze Żmudzi i Litwy.

Wszystko to dla niego miało znaczenie wielkie, choć pewności nie dawało.

Ze stajni z tą zdobyczą pobiegł co żywiej do izby kanclerskiej i zasiadł do pisania, obiecując sobie dobrze uszy nastawiać.

Księża kanclerza tu nie było, a chłopak od usług nie wiedział nic, krom tego, że książę wrócił, że się był w lasach obłąkał, i o mało tam nie umarł z zimna i głodu.

Bobrek słuchając, uśmiechał się sam do siebie, rękawem twarz zakrywwszy.

Długo zwieszony nad papierem, skrobiąc po nim, czekać musiał na powrót kanclerza. Spodziewał się, że i ten może się z czem wygada.

— Dzięki Bogu — odezwał się zwracając do wchodzącego — że książę pan zdrowo i cało powrócił. Modliłem się codzień na intencję jego.

— Obłąkał się, słyszę, na tych łowach, bez których oni żyć nie mogą — rzekł kanclerz.

— I staruszką zakonniką, który księciu towarzyszył, gdzieś po drodze zgubili, bo go nie ma — rzekł Bobrek.

— Co znowu? — bystro spoglądając na niego odparł kanclerz — braciszek do klasztoru powrócił dawno.

Klecha zaczął pisać znowu, lecz dnia tego

przed oknem tyle się osób coraz nowych przesuwalo, tyle miał do podsłuchiwania i wypatrywania, że niedaleko się posunął w rozpoczętym paragrafie.

Dotrwał jednak, dla niepoznaki, aż do mroku nad pulpitem, spodziewając się zawsze pochwycić jakie niebacznie wymykające się słowo. Złożywszy wreszcie przyrząd swój pisarski i pożegnawszy pokornie kanclerza ucałowaniem ręki, zamiast powrócić do Pelcza na miasto; Bobrek zaszedł do Blachowej, aby i jej powinszować szczęśliwego księcia powrotu.

Zastał ją samą. Ulinka czego się domyśleć łatwo, była u księcia. Stara u ognia siedziała zamyślona, smutna, drzemiąca.

— Niech będzie pan Bóg pochwalony, za to że nam drogiego księcia powrócił — odezwał się do starej — takeście się o niego troskali!

Blachowa ogień poprawiła.

— Albo to my nim długo cieszyć się będziemy? — rzekła cicho. — Czekali już tu na niego... Żeby tylko nie skusili na wojnę... Wojewoda, słyszę, po ludzi na wszystkie rozesłał strony, a Bartosz czeka!! Tam słyszę w Wielkiej Polsce i na Kujawach, gotuje się jak w garnku.

— No, to co? — zaśmiał się Bobrek — może mu koronę uwarzą! Wszyscy jej życzą, wszyscy mu ją przepowiadają... A i to dobry znak, że

Krzyżaków nie będzie miał przeciw sobie, bo wiadomo, że pieniądze dali księciu na tę wojnę.

Błachowa zmilczała. Nie rozumiała ona wiele, a obawiała się wszystkiego.

— At! — przebaknęła biorąc kądziel. — Gdyby rozum miał, siedziałby spokojnie doma jak nieboszczyk ojciec i brat, darmoby się nie zrywał. Koronę jak koronę, a guza złapie pewnie, i jeszcze, Boże uchwaj, na nasze Mazowsze Niemcy najadą.

Bobrek niezgrabnie skręcił rozmowę, bo mu pilno było, skorzystać z niej, nim Ulinka powróci.

— Co to tam ludziska plotą — rzekł — jakoby się książę na puszczy obłąkał, i tyle czasu głodem marł. Toć to baśnie być muszą.

Stara popatrzyła niespokojnie, nie nie mówiąc.

— Niechbym ja, albo taki drugi klecha, co się z lasem nie zna, puścił się bez drogi, juści by go pewnie wiley zjadły albo zbójcy zamordowali, ale księcia z tylu ludźmi!!

Śmiał się Bobrek... Ośmielało go to, że był sam na sam ze starą.

— Oczewista rzecz — dodał — że miłościwy sobie jeździł kędy mu było potrzeba, o czem ludzie wiedzieć nie powinni, więc teraz plotą Bóg wie co, ale ktoby temu wierzył!

Błachowa schyliła się do ognia.

— To tam — rzekła sucho — nie moja sprawa...

Klecha głową tylko kiwnął, usiadł na ławce w kątku, nie rozpaczał jeszcze, że ze staruszki coś dobędzie.

— Wyście już pewnie swojego Siemaszka widzieli — ciągnął dalej — bo on was jak matkę miłuje i szanuje.

-- Jam mu też tak jak matką była — odparła stara wzdychając — a no, mówię zawsze, moja dola taka, żem wychowała z czego się cieszyć nie będę... Ludzie mi go odbierają!

Domawiała tych słów, gdy Ulinka wpadła z twarzą zarumienioną, oczyma jasnymi, weale inna niż ją Bobrek, w czasie niebytności księcia widywał. Spostrzegła gościa, który na widok jej prędko z ławy powstał. Twarzyczka się zachmurzyła.

— Przyszedłem powrotu księcia wam powinszować — rzekł wstając.

Dziewczę nic mu nie odpowiadając, szepnęło coś na ucho matec, spojrzalo z ukosa na natręta, i poszło do okna, dając mu uczuć, że mógłby sobie precz iść.

Błachowa już na wychodnem ulitowała się nad zbiedzonym chudziną, i dała mu miodu kubeczek, kiecha wypił go, pokłonił się i poszedł.

— Dziewczysko jakby księżniczką była, ani chce na ludzi patrzeć, a prosta chłopianka.

W dziedzińcu Bobrek miał szczęście spotkać się z księciem Henrykiem, u którego był w łaskach. Przy nim on dworował teraz wcale inaczej, gdy ludzie na nich nie patrzyli, pobożnego nie udawał, uczył go piosnek swawolnych, prawił powieści, których się u Krzyżaków nauczył, o niewiastach, i o szerokim świecie, pomagał mu do śmiechu. Pewien rodzaj poufałości zrodził się z tych stosunków, chociaż klecha z Henrykiem ostrożnym być musiał, bo w żartach popędliwym bywał i okrutnym, a parę razy go okrwawił.

Skłoniwszy się księciu w sposób błazeński, że czapkę aż po ziemi powlókł, Bobrek zawołał.

— Chwalić Boga, mamy księcia z powrotem. Ale kędy bywał!! sza! Prawią, że się w lesie obłąkał i głodem marł, niech zdrów wierzy kto chce.

— A ty co myślisz? trutniu? — rozśmiał się Henryk.

— A cóż ja wymyśleć mogę, kiedy nitki pochwycić trudno. Gdyby niteczka choć mała, doszłoby się do kłębuszka.

Młode ksiązątko wtórowało mu śmiechem.

— Patrzaj tylko, gdy nitkę schwycisz, aby się z niej sznurek nie skręcił, na którymbyś mógł wisieć — zawołał.

Bobrek pochwycił się za szyję i głowę skrył w ramiona, a książę mówił dalej.

— To prawda, że Semko nas okłamuje, ale ja dojdę, gdzie on bywał.

Towarzyszył klecha młodemu panu aż do drzwi probostwa, lecz Henryk już na niego ani spojrzał, i Bobrek od progu zawrócił się do miasta.

Gdy nazajutrz o zwykłej godzinie na zamek przyszedł, długo musiał stać we wrotach. Wyciągali właśnie kopijnicy, jechał chorąży, szły wozy z przyborami obozowymi.

W podwórzach tylko resztką starszyny i mały oddział doborniejszych ludzi się znajdował, a dwór księcia Janusza.

Czerski i warszawski książę siedział z bratem za stołem, tak chmurny jak wczoraj.

— Nie chcesz mi się przyznać, że cię tam ochota wielka ciągnie — mówił do brata — ale ja widzę i czuję, że Bartosz głowę ci zawrócił. Daj Boże szczęście, tylko uchowaj biedy, ja ratować nie mogę i nie będę.

— Widzisz przecie, że nie czynię nic — odparł Semko — a za to co ludzie robią, jam nie odpowiedzialny...

Wstrzymywać trudno, kiedy serce mają do mnie...

— Serce? — rozśmiał się Janusz — bodajesz tak zdrów był! Oni serce mają do kogo? Ty w to wierzysz, młoda duszo! Im potrzeba chorągwi,

nie więcej, a znajdzie się lepsza, cisną w kąt naszą...

Zamilkli, bo Semko, nadawszy się, nie odpowiedział nic.

— Dwu nas na świecie jest — dołożył po chwili Janusz — niechże choć jeden rozum ma, a ocaleje.

— Nie liczysz Henryka — wtrącił Semko.

— Bo nie ma go co do rodu liczyć, kiedy księdzem ma być — rzekł Janusz.

— Prawda, ale mu sutanna bardzo cięży, choć głowy jeszcze nie wygolono — rzekł Semko.

— Dzieciak! Wyszumi się to — odparł Janusz.

Semko głową potrząsał.

— To mu ją włożemy gwałtem — rzekł zimno Janusz. Ojca wola święta, ja nie dam się jej przeciwieć. Księdzem musi być.

Stanowczo i silnie wyrzekł te słowa Janusz i zamilkł. W człowieku tym na pozór bardzo spokojnym i łagodnym, czuć było wolę żelazną.

Siedzieli znowu milczący, spoglądając na siebie. Janusz pomrukiwać zaczął.

— Nie poszedłeś sam, aleś ludzi dał. Nie kiem to pałką. Jużes palca umoczył. Wola twoja, chciałem wstrzymać a nie mogłem. Teraz gdyś już poczał, Semku, nie rzucze tak lekko jak chwyciles!

Semko obrażony się rzucił.

— Za lekkiego mnie masz?

Starszy powolnie wzrok zwrócił na brata.

— Nie wiem jeszcze jakim jesteś — rzekł. — Kiedy baba garnek na targu kupuje, dzwoni w niego palcami, dzwoni, patrzy, ogląda czy wypalony, ale póki w nim wody nie zagotuje, nie jest nigdy pewną czy garnek wytrzyma. W tobie Semku, też woda się jeszcze nie gotowała w ogniuś nie był.

Dumną postawę przybrawszy, młodszy nie odpowiedział. Janusz wstał, aby się pożegnać.

— Bóg szczęść — rzekł poważnie. — Pomnij tylko com mówił, w nieszczęściu ratować cię nie będę mógł, bo obu nam przepadać nie można.

— Ależ przy pomocy Bożej — wybuchnął młody — ja wcale ginąć nie myślę, ale chorągiew naszą o dwu orłach podnieść wysoko!

Dziwnie uśmiechnął się Janusz.

— Pamiętaj tylko — dodał — że tam przy orłach dwu, siedzą też na chorągwi dwa puha-cze. Nie radbym, ażeby orłowie ulecieli, a puha-cze nam zostały, bo to ptacy, co krzykiem swym nieszczęście wróżą.

Wyszli razem do przedsieni, gdzie starszego pana, jak go tu zwano, zgromadzili się żegnać wszyscy urzędnicy dworu i dowódcy. Przybiegł też Henryk z miną zuchwałą i niewiele uszanowania okazującą. Raził oczy jego strój niezgadający się z powołaniem i postawa żołnierska. Spojrzał nań Janusz z ukosa.

— Ty — rzekł zwracając się powoli do niego — módl się za nas wszystkich, to twoja powinność.

— Za młody jestem do tego! — żwawo odparł Henryk — to starszych rzemiosło. Tymczasem wołałbym w pole ciągnąć.

— Z procesyą chyba — rzekł Janusz surowo. — Wiesz dobrze do czego cię ojciec przeznaczył, ja teraz miejsce jego zastępuję, i wolę poszanować potrafię.

Ostatnie wyrazy zwolna, dobitnie dopowiedziawszy, dalszej rozmowy już unikając, Janusz konia dosiadł, ręką skinął zgromadzonym i ruszył ku bramie.

Po odjeździe Janusza, to co przy nim ukrywać się starano, wyszło na jaw. Semka od potajemnego niby uczestniczenia w wyprawie na Kalisz, nie było sposobu wstrzymać. Udział jego miał być tajemnicą, lecz wszyscy o nim wiedzieli. Nie ukrywał się z tem Semko...

Ludzie otaczający księcia sądzili o tem różnie. Zdania były podzielone. Cieszyli się ci, co nie do stracenia nie mieli, a coś zyskać na tem mogli, lecz znaczna część starych frasośliwą była.

Mazowsze przez czas długi używało spokoju i nawykło do niego, narażało się mieszając do wojny na najazd nieprzyjaciela; od Domarata obawiać się tego nie było można, lecz w pomoc jemu, mogli nadciągnąć Węgrowie, Czechy, a słu-

chy chodziły o namówionych Sasach i Brandeburczykach. Nie można też było ręczyć za Krzyżaków, choć na tę wojnę pieniędzy dali, ażeby z niej nie korzystali.

Na wielu twarzach malowała się trwoga, Semko tylko, gdy raz się ważył na krok śmiały, wesoło i całem sercem brał się do dzieła.

Tyle było do czynienia w Płocku, dla jego bezpieczeństwa, że znaczna część dnia upłynęła, a Semko nie był gotów jeszcze. Bartosz niecierpliwy przynaglał.

Wszedł wreszcie Semko do sypialni zbroję wdziewać i zastał tu Błachowę i Ulinę, które z oczyma czerwonymi od płaczu, skóry z posłania zdejmowały, oddając je czeladzi na drogę.

Raźnie, ochoczo, z piosenką na ustach wpadł młody pan, spojrzał na kobiety, ludzi rozpędził i do Uliny się naprzód obrócił.

— Nie psujcież mi serca! — zawołał — nie szlochajcie i nie płaczcie. Idę z dobrą myślą i nadzieją, powrócę da Bóg ze zdobyczą...

— Jam od pochodu nie odradzała i nie odwodziła — odezwała się Ulina — ale teraz nie dziw, że matce i siostrze smutno a straszno. Jak tu nie zapłakać, myśląc o wojnie!

Zbliżyła się do niego i ręką pogładziła długie jego włosy. Semko nawzajem rękę położył na jej ramieniu.

— Kądział prząść — rzekł — piosenki zawodzić, a czas przejdzie rychło!

W tem Błachowa płaczem wybuchła.

— Sokole mój — zawołała — weźmij krzyżyk ten pod zbroję, a jadąc do kościoła wstąp i niech Bóg cię strzeże.

Wojownika nie wstrzymać.

Semko siadł zbroję wdziewać, Ulina zbliżyła się pomagając mu ją zapinać, ale ręce jej drżały. Sam on przypasał sobie miecz i mieczyk wziął do pasa, a hełm w ręce. Przystąpił do dziewczęcia i pocałował je w czoło, próżno chcąc utaić wzruszenie.

Ulina ręce zarzuciła mu na szyję, stara schwyła dłoń jego okrytą żelazną rękawicą, chcąc ją pocałować raz jeszcze, ale Semko wyrwał się nagle i drzwi zamknął, za któremi płacz słychać było.

W wielkiej izbie czekali nań wszyscy, i ci co mieli zostać i co mu towarzyszyli. Stał i Henryk, któremu stanowczo wzbroniono udziału w wyprawie, namarszczony i gniewny.

Gdy Semko zbliżył się do niego, aby go pożegnać, chłopię przybrało minę dumną i posępną, nie przemówiwszy ani słowa.

U ganku stały konie i ludzie, lecz książę nie siadł, wskazując na kościół, do którego poszedł pieszo.

Wszyscy mu towarzyszyli tłumnie, oprócz Henryka.

Ten, w boki się wzięwszy, pozostał u ganku, jak gdyby kościół, któremu go mimo jego woli chciano poświęcić, wstręt w nim obudzał.

W progu czekało na Semka duchowieństwo z krzyżem i wodą święconą, ze śpiewem i modlitwą. Chwila była uroczystą, wszyscy pochylili głowy. Młody książę czuł jedno to, że powrócić z niczem srom będzie, a ta korona, którą mu obiecywano, tak wysoko jeszcze unosiła się w obłokach.

Z ganku na cały ten obrzęd, zazdrosnemi oczyma, patrzył Henryk; z wieży, na którą pobiegła Błazowa i Ułina, we dwie siadły płacząc patrzeć na gościniec, którym Semko w świat na boje miał ciągnąć.

Widać już było na nim idące poczty zbrojne i wozy. Konnych, wojsko doganiających. W stronie, ku której dążyli ciemna chmura leżała, daleki zasłaniając widnokrąg.

Przed mieszkaniem kanclerza stał zadumany Bobrek, spoglądając to na Henryka, to po podwórzach opustoszałych. Myślał już czy warto było tu pozostać dłużej, lub do Torunia powracać, aby z nowemi poleceniami w inną wyruszyć stronę, gdzieby więcej było do czynienia.

Przepisywanie długie nudziło go bardzo, siedzenie w miejscu dokuczyło, a piękną Anchen ojciec tak pilnował i zamykał, że się do niej zbliżyć nie było sposobu. Szło o to tylko jak się

ztałd wymknąć, w sposób przyzwoity, aby móżdż w potrzebie powrócić.

Bobrek po namyśle dobył z kieszeni nożyka, ukłuł się mocno w palec prawej ręki, zakrwawił szmatkę, grubo nią obwiązał niby skaleczony palec, twarz uczynił smutną i bolejącą i poszedł piskliwym głosem prosić kanclerza o czasowe uwolnienie od skryptury dla bardzo zarżniętej ręki. Nazajutrz rano był już na drodze do Torunia, wioząc tam doniesienie o tajemniczej księcia wyprawie.

III.

! W oktawę Trzech Króli, w obozie Wicka z Kępy i Bartosza z Odolanowa, dowodzących wielkopolskiej szlachcie, ruszano się żywo i zamasyście, przygotowywano do zdobywania miasta i zamku Pyzdr, pod którymi szeroko rozłożone obozem stały pozbierane zewsząd oddziały Nałęczów.

Warta i Prośna, któreby w innej porze broniły nieco przystępu do stojącego na wzgórzu grodu, murem opasanego, ścięte mrozami, nie przeszkadzały wojewodzie do osaczenia dokoła. Ale zamek, który król Kazimierz niedawno był wznosił na nowo i silnie obwarował, i miasto, opasane ścianami grubemi, z basztami potężnemi, bronić się chciały i ani słuchały wezwania, aby się poddały.

Wiedziano tu, że Kalisz oparł się napaści

Bartosza z Odolanowa, załoga i mieszczenie mieli nadzieję, że i oni potrafią go odeprzeć.

Oba wojska oblegające, choć liczne i czynne, a śmiałe, niepodobne były wcale do tych zastępów w żelazo okutych, strasznemi kopijami uzbrojonych, których się najwięcej obawiano.

Była to zbierana drużyna, różnobarwna, opatrzona w oręż najrozmaitszy, nie zbyt sforna, nie zastrasżająca groźną postawą.

Około wojewody tylko i Bartosza, kopijników parę secin lepiej wyposażonych i karniejszych się znajdowało. Resztę tłumu stanowiła szlachta, ubodzy panosze, rycerstwo koźuchowe, które nad obuch i ładajaki kord, często nie miało nic więcej. Niektórzy blachą piersi jako tako przykrywali, rzadko się który całą zbroją mógł pochwalić. Ale szło to wszystko hałaśliwie, mężnie, z gorącością wielką.

Wszyscy rozumieli to, iż walczyli, aby się Niemców pozbyć i ich druhów, a wobec Krakowian okazać z taką siłą, ażeby Wielkopolskę i wolę jej poszanować musieli.

Domarat z Grymałami znaczył tyle, co poddanie się nienawistnemu Luksemburczykowi i przewództwu panów krakowskich.

Wojewoda Poznański Wicek z Kepy, Bartosz z Odolanowa, Sędziwój Świdwa z Piotrkowie, prowadzili te zastępy, które własnego pana, swo-

ich praw i starego obyczaju polskiego się domagały.

O Semku chodziły tylko wieści głuche. Był wszędzie, a wistocie nigdzie go widać nie było. Czasem ukazywano sobie z przyłbicą zapuszczonego rycerza, zapewniając, że to był własny książę Mazowiecki, a nazajutrz słyszano o nim o mil dziesięć ztamtąd. Tam i tu z największą pewnością mieć go chciano, lecz w oczy nikt go jeszcze nie spotkał.

Mazurowie tu i owdzie spotykali się kupkami, lecz chorągiew ich nie powiewała nigdzie.

Pomimo to o Semku i Piaście była mowa ciągle i wszędzie. W synu surowego Ziemowita, chciano mieć pana, któryby nic obcego nie cierpiał na tej ziemi, a wszystko stare, wpływem cudzoziemskim zepsute, do dawnego przywrócił stanu.

Spodziewano się, że nowe niemieckie swobody, nadane miastom, osadom i osadnikom miały precz pójść, a drobna szlachta odzyskać siłę i moc dawną, rządzenia sobą, wybierania pana i gospodarzenia w domu.

Z Domaratem szli mieszczenie po większej części i co trzymało z Niemcami, z nowym światem i prawem nowem. Tu też zaciągano cudzoziemców, powoływano w pomoc Brandeburgów, Sasów, Czechów, odzywano się do Węgrów, bodaj nawet do Krzyżaków, byle na swoim postawić,

gdy w obozie wojewody Poznańskiego nie było nikogo, oprócz wielkopolskiej szlachty i Mazurów.

Mężny to był lud, ale do karności wojskowej nie wdrożony i w garsć go ująć nawet wojewodzie i Bartoszewi bardzo było trudno.

Każdy tu rozkazywać był rad, a słuchać mało kto. Mówiono dużo, krzyczano głośno, ale się wszystko rozpręgało łatwo. Prawda, że gdy się to wojsko raz bić zaczęło, walczyło zapamiętale, wściekle, choć bez porządku, a głos wodza nie wiele tu ważył.

Obóz pod Pyzdrami, spojrzawszy nań, opowiadał o tem, z czego się składał. Począwszy od szkarłatem bramowanego namiotu wojewody, do szatry i szałas z gałęzi, do budki płóciennej na kołach, do podartej szmaty szarej, na dwu kijach rozwieszanej, wszystko tam widzieć było można, nawet najmniej spodziewane w obozie. Pułków i oddziałów rozeznąć było trudno, a choć gdzieś stały małe chorągiewki dowódców, niewiele się przyczyniały do porządnego rozkładu obozowiska.

Było to pierwszego zaraz dnia po przyciągnięciu i rozłożeniu się pod Pyzdrami, które wrota zamknąwszy, zapowiadały upartą obronę. Wszyscy mieli najlepszego ducha i szli z tą nadzieją, że się raz tylko rzucą gwałtownie ku murom, a mieszczuchy o łaskę prosić będą musiały. Na zamku zaś wiedzano, że ludu zbrojnego nie dużo było.

Jądrem a sercem obozu był namiot wojewody, obok którego skromniejszy Bartosza się znajdował. Tu się skupiali dowódcy, ztąd rozkazy wychodzić miały.

Wicek z Kępy, wojewoda poznański, różnił się wielce od dziarskiego, a niespokojnego ducha, Bartosza z Odolanowa. Rycerski mąż, jak on, wodzem się czuł więcej niż żołnierzem, gdy Bartosz wolał się bić sam niż drugich prowadzić.

Miał też Wicek z Kępy postawę jakby stworzoną, aby tłumowi wrażyć poszanowanie, umiejętność rozkazywania i energią do niej potrzebną. Zdala mógł się lada warchoł oprzeć jego woli, zajrzawszy w oczy, nikt odezwać się nie śmiał.

Objąwszy dowództwo nad zbiegającą się ze wsząd szlachtą, już samem imieniem swem i powagą urzędu wojewodzińskiego, na stronę Semka i panoszków dobrze szalę przechylił. Wszystko co lekko trzymało się Domarata, odpadło od niego.

Nie wiedziano, że ci co mu się oprą, ciężko odpokutować będą musieli.

Średnich lat, posiwiały, skromniej powierzchowności, nie błyszczał niczem wojewoda, lecz gdy w kogo oczy wlepił, a na niedorzeczne pytanie długiem odpowiadał milczeniem; każdy i najmężniejszy zastygiał od tego wzroku.

Takiego właśnie dowódcy potrzeba było temu zbiorowisku i bystry Bartosz z Odolanowa wie-

dział dlaczego uprosił go, zmusił niemal do przyjęcia naczelnego dowództwa, z urzędu mu należnego.

Wicek z Kępy długo do wojny domowej mieszać się nie chciał, a krwi braterskiej przelewać. Potrzeba było usilnych a przekonywających nalegań Bartosza, aby się dał skłonić do wystąpienia.

Raz dowództwo objąwszy, nie cierpiał warcholstwa i trzymał je w żelaznej dłoni.

A miał do czynienia z najniesforniejszym w świecie żywiołem, z drobną szlachtą wielkiej dumy pełną, czującą się tu panią, stanowiącą siłę i nierozumiejącą posłuszeństwa.

Obok niego stał Sędziwój Świdwa, mąż odwagi wielkiej i rozumu niepośledniego; ale duchem i rącością do Bartosza więcej niż do wojewody zbliżony. Młodszy od wojewody, jak on nieprzyjaciel Domarata, Niemców i panowania obcego, Świdwa, był umysłu przedsiębiorczego, ochoczego, a wojnę lubił dla wojny,

Tu zaś ona mu się wydawała sprawiedliwą, bo oburzało to, że Domarat obcych przeciw swoim zwoływał.

— Wszystko temu łotrowi z Pierzelna przebaczyć można; rabunki, rzeź i pożogi, lecz żeby on, nasz, bratem się wczoraj zowiący, na nas, na braci, na krew własną Niemców, Czechów, Brandeburgów, Sasów i wszelakich żołdaków ścigał, za to przebaczenia nie ma. Na pierwszej ga-

łączy bym go, bez sądu, razem z krwawym diabłem powiesił.

Świdwa, wojewoda, Bartosz we trzech jedno myśleli, wszyscy sprzyjali Semkowi, a stanowili siłę wielką.

Książę Mazowiecki bez nich ani się mógł pokusić o koronę, z nimi przewidywano, że Wielkopolskę opanuje.

U szlachty wysoko noszone imię Semka, w zniemczonych miastach i u tych co trzymali z Niemcami, wrażało nieopisaną trwogę. Cień ojea Ziemowita, słynącego z surowości, przywiązanie książąt do starego obyczaju, unosiły się nad niem.

Lękano się go, jak piorunu! — mówi kronikarz współczesny — lecz znaczniejsza część kraju wzywała go jak zesłańca Bożego, pogromcę tego żywiołu, który groził zalewem i wynaturzeniem całej Polsee.

Spotkać ją mógł ten los, jakiego już doznał Szlązk oderwany, zniemczony, na którym rzadko ocalała, niewytrzebiona szlachta drobna, języka już swojego i rodu zapominała.

Panosze gotowi byli zbytku, rzemiosł i handlu, i co życie osładzało — a lżejszem je czyniło, wyrzec się, byle skóry swej na niemiecką niezmieniać, a prawu teutońskiemu, które ich z łada przybłędami równało, nie ulegać.

Co żyło więc ruszało się, kupy i gromady

ciągnęły do obozu pod Pyzdry, pod chorągwie wojewody, Świdwy i Bartosza.

Odolanowski pan, który może jeden z pierwszych ruch ten rozpoczął i dał mu mazowieckie hasło, a był w początku jego duszą; który rad był, że niesprawiedliwość jakiej się na nim dopuszczono pomści, kraj uratuje i do rycerskich popisów plac znajdzie szeroki; teraz spoglądając na obóz i żołnierza co go składał, milczał trochę rozczarowany.

Bartosz, choć narodowej służył sprawie, był wychowalcem zachodniej rycerskiej szkoły, niepospolitym zapaśnikiem w turniejach, znawcą obyczajów nowych z Francyi i Niemiec przynoszonych. Był to mąż na swój wiek wykształcony, który między panami i książętą najświetniejszych dworów mógł wystąpić i iść z nimi o lepszą.

Towarzystwo, jakie go tu otaczało, bardzo mu do smaku przypadać nie mogło.

Łatwiej je było znosić nawykłemu do niego wojewodzie i Sędziwojowi Świdwie.

Wicek z Kępy zaledwie namiot jego rozbito i chorągiew Nałęczów wywieszono, nim się miał czas w położeniu rozpatrzyć, nim obmyślił co pocznie około miasta obleżonego, już sam został obleżonym przez szlachtę, tłumnie nabiegającą z radami i żądaniami.

Nie było sposobu zamknąć się przed nią, mimo straży u opłotków, ani uprosić o cierpli-

wość. Wszystkim Nałęczom i ich sprzymierzeńcom pilno było okazać gorliwość swą, męstwo i przebiegłość.

Jeden przychodził z doniesiem, że Pyzdry znał jak własną wieś, że furtę wiedział w murze i miejsce kędy ściany były pogruchotane i słabe.

Inny ofiarował się wkraść potajemnie, dostać do OO. Franciszkanów, a przez nich mieszczańskie skłonić do poddania bez krwi rozlewu.

— Miłościwi panowie a bracia, — odpowiadał wojewoda — na rany pańskie, zostawcie wodzom dowództwo, a gdy przyjdzie do szturmów rąk nie żałujcie. Bez gąb się obejdziemy.

Z drugiej strony kupy wołały i domagały się, aby im wojewoda dozwolił się tylko rzucić na miasto, a w oka mgnieniu je zdobędą i gród poddać się będzie musiał.

Zadanie to, gdy śmiejąc się mówili o niem, zdawało się łatwem jak orzech zgryźć.

Tymczasem zebrani na naradę w namiocie wojewody, on, Świdwa i Bartosz, który już był miasto ze wszech stron objechał, wcale go za tak łatwą zdobycz nie uważali.

Mury były grube i mocne, mieszczańskie wiodocześnie przygotowani do odpierania oblegających, chociaż ich siła przemagała. Sama obawa rabunku i zniszczenia, dodawała im rozpaczliwego męstwa. Machin do burzenia murów nie miano, sporzą-

dzenie ich długiego potrzebowało czasu, szturm mógł wiele ludzi kosztować.

Wojewoda gotów był, ścisnąwszy Pyzdry do koła, dobywać je głodem i pragnieniem. Bartosz był za szturmem i ufał, że jeśli nie pierwszy, to drugi lub trzeci bramy otworzy.

Świdwie pilno było tu skończyć, bo o Poznani chciał się upewnić, i Kalisza też wyrzec się nie myślał...

Dnia tego niepodobna było przypuszczać szturm do miasta. Szlachta potrzebowała wypoczynku i po pochodzie była jeszcze nadto rozproszona.

Wiadomości od Domarata i Grzymałów nie pozwalały wątpić, iż przewagą Nałęczów ustraszyc się nie da, i do ostatka walczyć będzie nie poddając.

Wojna ta braterska, oprócz innych trudności i tem zastraszala, że na polu bitwy nieprzyjaciela od swoich niepodobna było odróżnić. Nałęczowie zawiązywali sobie na znak białe chusty, lecz to nie starczyło.

Hasło bojowe było jedno. Z obu stron wołano Marya!! Tylko Domaratowi chcieli Maryi z Luksemburczykiem, a wojewodzińscy Maryi z Piastem, Semkiem...

Noc zapadła, gdy jeszcze mury, wrota i wały a baszty opatrywano. Na wezwanie pierwsze

wojewody do poddania się, nie nie odpowiesziano. Posłowie oczekiwani, nie przybyli.

Nazajutrz jak dzień obóz się poruszał jak mrówisko, szlachty utrzymać nie było podobna.

Bez rozkazów, niektórzy na własną rękę drabiny przystawiali, próbując się drapać na mury, ale opór silny znajdowali wszędzie. Rzucano kamienie, spuszczano kłody.

Jakby na żart za odgródki wzięcia głodem, w jednym miejscu wrzącem podpiwką oblaną spinających się na mury.

Wojewoda widząc, że dłużej stracie ludzi daremnej zapobiec nie potrafi, wyruszył sam dając trąbami znak do szturm.

Pierwsza ta chwila gdy co żyło runęło z ogromnym okrzykiem na ściany, zdawała się od razu rozstrzygać o losie miasta, z takim mężstwem rzucili się wszyscy, rąbiąc bramy, prąc się na mury, strzelając do ukazujących się na nich mieszczan.

Dziki wrzask ani rozkazów, ani odgłosu trąb, ani nawoływania wodzów nie dawał słyszeć. Szalonym tym wybuchem mężstwa pokierować nie było można. Każdy na przedzie chciał być, tłoczono się niepotrzebnie, obalano i duszono.

Korzystając z tego mieszczanie, przypuścili oblegających niemal do blanków, a dopiero wówczas nagotowane kłody, koła zębate, kamienie, smołę i ukrop rzucać i lać zaczęli.

Pierwszy zastęp napastników zgnieciono łatwo. Z jękiem walili się ludzie na kupy pod murami, inni odskoczyli.

Odparty szturm na krótko tylko popłoch sprawił, wściekły szal i pragnienie zemsty ogarnęło szlachtę. Ci co pozostali, drugim nawrotem rzucili się po trupach i rannych na mury...

Mieszczanie skryci bezpiecznie za niemi, nie podniósłszy strat prawie żadnych, oprócz kilku lekko postrzelonych, stali w miejscu. Zapasów do odpierania szturmu nie brakło.

Ruszyły więc znowu głazy, gruz, drzewo, i strzały gęste z kusz, które wielu raniły.

Przy wrotach bój był najzaciętszy, lano ukrop i smołę na rąbiących i dobijających się do nich; tak że utrzymać się nie mogli, mimo tarczy, którymi się osłaniali.

Druga napaść została odpartą jak pierwsza. Chociaż wrzawa, krzykami z obu stron podsycana nie ustawała, wojewoda na gwałt kazał trąbić do odwrotu. Ludzi mu było szkoda.

Należało obmyśleć środki, aby ich nie tracić darmo.

Zużyci kilkogodzienną walką, cofnęli się powoli, ale rozwściekani niepowodzeniem, wołając do Pyzdrzan ukazujących się na murach, że kamień na kamieniu nie pozostawia mszcząc krew swoją.

Obrona murów daleko była łatwiejszą od sztur-

mowania do nich. Tam się lada kto mógł przydać, bab nie wyjmując, które ukrop gotowały i lały; przyznać jednak musiano, że się mieszczaństwo dzielnie odcinało, do czego mu z gródka wysłani żołnierze załogi, dopomagali.

Dnia tego już o ponowieniu napadu myśleć nie było można. Potłuczonych i ranionych znajdowało się wielu, a i na trupach nie zbywało.

Musiano wywlekać z pod murów, jednych dla pogrzebu, drugich dla opatrywania.

Okolo wojewody, Świdwy i Bartosza, który sam przy szturmie był i zawdzięczał twardej zbroi, że rany nie miał, zbiegł się znowu tłum z radami, żałami, narzekaniem. Winę jedni na drugich zwalali.

Bujak Nałęcz, który wyszedł cało, dowodził głośno i zapamiętale, że gdyby tak wczoraj zniecka zaraz na mury się byli rzucili i do bram, mieszczenie nieprzygotowani, przy pierwszym popłochu byliby się poddać musieli. Przez noc mieli czas naściagać kamieni i drzewa, a odparty szturm męstwa dodać musiał.

Wojewoda z zimną krwią słuchał, zalecając karność i posłuszeństwo, dwie cnoty, których potrzeby nikt nie uznawał.

— Jutro my ich nauczemy! — wołano.

Zaczęli jedni kobylice budować, drudzy mocne drabiny wiązać, inni się zmawiali na pewne miejsca, które słabszemi się wydawały.

Przebieglejsi chcieli w nocy ubiedz jaką furta podkradłszy się, i jak w Kaliszu piły na niej spróbować.

Nie rychło po tej klęsce w obozie się uspokoiło. Nocą próbowali śmiałkowie dopełznąć do wrót, ale czujni mieszczanie spędzili ich raz i drugi.

Nazajutrz około południa, ostrożniej podsunęto kobylice, zaczęto się dobijać znowu, ale Pyzdranie też nocą nie spali. Bliższe murów szopy i budowle porozbierali, drzewa stosy powciągali na górę, kamieni nanieśli kupy.

Nie dali się znowu. Ranionych było wielu, zabitych mniej, ale wysiłek ten żadnej nie przyniósł korzyści. Mieszczanie o poddaniu się słuchać nie chcieli.

Nie odjęło to męztwa oblegającym.

Trzeciego dnia niedano też spoczynku Pyzdrzanom, a wszyscy dowódcy zgodni byli, że bądź co bądź, miasto zdobyć potrzeba, bo po próżnem pokuszeniu się o Kalisz, odstąpienie od Pyzdr, sprawę by popsuło i szlachcie odjęło serce.

Czwartego dnia znalazły się już tarany do wywalania wrót i kobylice kryte, a szlachta rozumiała lepiej, że głosu dowódców słuchać było potrzeba.

Bartosz ze Świdwą poszli sami kierować zdobywaniem głównej bramy. Taran zatoczony

przed nią napróżno starano się zgruchotać. Stał on w takim oddaleniu, że zrzucane belki go nie dosięgały, a ogromny ciężar wahadła lada czem zgruchotać go nie dopuszczał.

Trzask wrót oznajmywał, że wkrótce paść musiały, gdy białą płachtę i gałąź zieloną wywiesili mieszczanie.

Tymczasem zewsząd na mury drapali się oblegający. Zatrąbiono, aby walkę wstrzymać, co z trudnością dokonać się dało. Potrzeba było czasu aby roznamiętniony tłum pohamować. Na wyżkach nad wrotami ukazał się mąż z siwą głową odkrytą. Oczyma szukał dowodzących. Wojewoda podniósł rękę, w której żelazną trzymał rękawicę.

— Poddawajcie się bez zwłoki! — zawołał.

— Poddamy się miłości waszej, — począł wołać wysłany — ale nie mścijcie się na nas, miastu krzywdy nie czynicie. Niewinni jesteśmy. Otwarlibyśmy byli wrota dnia pierwszego, gdyby nie załoga zamkowa... Zmuszono nas! przysięgamy!

Wojewoda spojrzał na swoich, wszyscy byli znuzeni, czasu stracono dużo.

— Otwierać wrota! — powtórzył wojewoda.

— Słowo wasze, że nam krzywdy nie uczynicie!

Ogromna kupa szlachty zbiegła się do koła

dowódców, przysłuchując ciekawie rozmowie. Niektórzy krzyczeli.

— Kamienia na kamieniu nie zostawić! Pa-
dło dosyć naszych!

— Myśmy niewinni! — wołał stary wycią-
gając ręce. — Nie zechcecie nam uczynić miło-
sierdzia, to, dziej się wola Boża, bronić się bę-
dziemy do zdechu. Słowo wasze! panie wo-
jewodo!

Tłum warczał i odgrażał się.

Wicek z Kępy dał znak ręką, aby milczano.
Uciszyło się jakoś.

— Załoga zamkowa siedziała nam na kar-
kach! Niewinniśmy! — powtarzano z murów. —
Ulitujcie się.

Świdwa pierwszy zawołał do wojewody.

— Miasta szkoda, czasu szkoda, dać im pokój.

Bartoszewi pilno było zamku dobyć. Porozu-
mieli się wszyscy. Wojewoda naprzód odwrócił
się do swojej szlachty.

— Miasto oszczędzić trzeba. Damy im spokój...

Chociaż mrucono, wojewoda nie czekał, rękę
podniósł.

— Macie słowo! otwierać wrota!

— Przysięgnijcież! — zawołał stary.

— Moje słowo tyle waży co przysięga! —
dumnie odparł wojewoda. — Wrota otwierać!

Nastąpiła cisza. Zwołano dowódców, zalecono
porządek. Sworniejszym tylko ludziom, którzy do

zdobywania zamku byli potrzebni, dozwolono wniknąć do miasta.

Odsunięto tarany i kobylice, otworzyły się wrota na pół już rozbite, starszyna miejska wyszła z głowami odkrytymi. Nie naciskano się zbyt do miasta; szlachta musiała szanować słowo pana wojewody.

Ci tylko, którym języki świerzbiały, podeszli do wrót ucierać się na słowa z mieszczanami, łajając ich i przezywając. Koniec końców czeladź wytoczyła piwa beczek kilka, a przy nich zaczęto skłaniać się ku zgodzie i krotochwilne prawić żarty.

Starszyna miejska, wójt, ławnicy, zaprzysięgali się, że ani myśleli opierać się wojewodzie, ale Spytek Grad dowodzący na zamku, gwałtem ich do tego zmusił.

— Odpokutuje za to! — odgrążali się odpoczywający.

Gdy się to działo, w gromadce otaczającej wojewodę, stał z przyłbicą spuszczoną mężczyzna, którego widziano czynnym w czasie szturmów, i pokazywano go sobie jako Semka, gdy drudzy, co tu na ostatku przyciągnęli, zaklinali się, że go widzieli z oddziałem w okolicach Kalisza.

Widziano go tak wszędzie.

Ku zamkowi na górze, co najlepszego żołnierza wzięwszy, pojechali natychmiast Bartosz,

Swidwa i wojewoda. Znaleziono go zamkniętym, a na murach strażę. Obieżono dokoła. Ściany okrutne, grube, wysokie, daleko sposobniejsze były do obrony od miejskich, a ludzi do nich tylu nie potrzebowano.

Bądź co bądź, wziąć było potrzeba.

Szczęściem tu opasać mogli łatwo, tak że głodem obleżonych wziąć się spodziewano, bo starszyzna miejska, pod wielką tajemnicą wygadała się, że zapasu żywności nie było wielkiego i studnia wyschła.

— Natychmiast żołnierza ściągnięto pod mury.

— Kto będzie miał ochotę zabawiać się tu nikomu nie zbronno — rzekł wojewoda — ale wysiłków wielkich czynić niema potrzeby. Poddąć się muszą niebawem.

Zatrąbiono do załogi.

Wyszedł człek cały w żelazo zakuty, podniósł przyłbicę nieco i rzekł hardo.

— Nie poddamy się.

Bartoszowi zakipiało w piersi.

— To już sprawa nie z babami, warto poprobować.

Nie czekając tarany i kobylice toczyć kazano na wzgórzu pod zamek.

Z murów załoga patrzyła na te przygotowania...

Nazajutrz Bartosz swoich ludzi z kuszami postawił przeciw zamku na dachach bliższych do-

mostw, a sam szturmem zarządził. Ludzie ukazujący się na murach dla obrony, od zręcznych łuczników kilka postrzałów dostali. Tymczasem główne wrota wybijano.

Drugiego dnia gdy więcej ludzi pod zamek przybyło, szczupłej załodze jawnie rąk zaczęło braknąć, aby się dokoła opędzać mogła.

Na zagrożone więcej miejsca, zbiegali się ludzie, ale inne stały opuszczone. Bartosz umiał z tego korzystać zręcznie. Zamek był zagrożony. Gdyby nie nadchodząca noc, wrota spodziewano się opanować.

W nocy oblężeni mieli czas je na nowo popodpierać i wzmocnić.

Dnia następnego spodziewano się na pewno zamku dobyć, gdy z nad bramy zatrąbiono i Spytek Grad pokazał się na wyżkach.

Nie przyznał się do tego, że już jęść prawie nie mieli co, a żądał, gdyby zamek oddał, aby mu cało z ludźmi, końmi, orężem i taborem wyjść dozwolono, nie napastując go.

Bartosz, który go znał, napróżno usiłował na stronę swą przeciągnąć, uparty Grzymalczyk, przy swej chorągwi chciał stać wiernie.

Wojewodzie chodziło wiele o zyskanie na czasie, a obsadzenie co najwięcej zamków, on, Bartosz, wszyscy się w końcu zgodzili, aby załogę wypuścić. Szlachcie też zdobycie Pызdr

z zamkiem pochlebiało, a kupkę ludzi tych mało sobie ważyła.

Około południa więc otworzyły się wrota i Spytek Grad na czele swojego oddziału, który i dwóchset ludzi z czeladzią nie liczył, obstawwszy niemi wozy, na które zabrał co tylko mógł, wyruszył z zamku w porządku, między dwoma szeregami ciekawych, przypatrujących się i zaczepiających słowami. Ale na nie nie odpowiadano, aby od słów do pięści nie przyszło.

Bartosz natychmiast na pusty gród wprowadził załogę nową.

Nie jeden to był tryumf dnia tego, bo zaledwie w namiocie wojewody rada się zebrała, dokąd z miasta przyszli z podarkami ławnicy, gdy oznajmiono o nadciągających posłach z Poznania. Do nich przyłączyli się mieszczenie kilku znaczniejszych gródków, spieszący z oznajmieniem wojewodzie, iż się poddają jemu, a Domarata chcą rzucić.

Obawa szturmów i spustoszenia w razie oporu, wieści o znacznych siłach szlachty, gromadzącej się pod chorągwie wojewody, zmuszały miasta do tego kroku.

Choć powszechnie obawiano się Semka i jego sprzymierzeńców, przemagająca siła skłaniała do poddania się.

Starszyzna miejska poznańska i innych osad na niemieckiem prawie, wśród których Niemców

i pół-niemców było wielu; żądała od wojewody, aby natychmiast zajmował je i od zemsty Grzymałów bronił.

Niespodziane to powodzenie, które więcej powaga urzędu wojewody niż mężstwo szlachty wywołało, wbiło ją w dumę i dodała ducha.

— Trzymać się tylko kupą! — wołano a dobra nasza będzie.

Wzięcie Pyzdr i nadchodzące poselstwa wszystkim serca rozgrzały. Bartosz z oddziałem pobiegł zaraz, jak się zdawało, dać o tem wiedzieć Semkowi... W istocie bowiem w obozie wojewody nie było go, a gdzie się znajdował, zachowywano w tajemnicy.

Sam wojewoda spodziewał się teraz, iż rychło zupełne zwycięstwo nad Domaratem i Grzymalami odniosą.

Nie zwlekając, porywczy Świdwa z silnym oddziałem ruszył razem z posłami poznańskimi, zająć miasto opuszczone przez Domarata.

Zamek trzymał jeszcze wielkorządca, ale drewniany dwór na górze, po nad nim, miasto oddawało wojewodzie.

Zbyt wszakże łatwem wyobrażano sobie złamanie Grzymałów, którzy wcale o poddaniu się nie myśleli. Domarat poprzysiągł do ostatniej krwi kropli się bronić. Miał jeszcze w rękach obronne gródki Wielen, Międzychód, Międzyrzecz, Zbąszyń, Kieplowo; a przy nim stali pokrewni Grzy-

mała z Oleśnicy, Jędrzej ze Swierzadowa, Wierzbietka ze Smogulca, Cedro z Morgonina, ludzie tak zapamiętali jak on. Ci także klęli się, że gotowi w popiół obrócić wszystko, a broni nie złożą.

Dla strwożenia Nałęczów, gdziekolwiek spotykali osady ich, dwory, żony, dzieci, grabili, odzierali, zabijali.

Wojna wrzała zajadlejsza niż kiedy była, okrutna, zbójcka, nielitościwa, wzmagająca się z obu stron zemstą za każdą łupież, mord i napaść.

Gdy Świdwa dwór wielki górny nad zamkiem i miasto zajmował, zamku samego nie mogąc tak otoczyć, aby przystępu do niego nie dopuścić, — Domarat wyruszył z Poznania zbierać ludzi, robić zaciągi, aby przedłużyć wojnę.

Spodziewał się utrzymawszy czas jakiś pomocy z Węgier od Luksemburczyka. Siły jego tymczasem, jak niegdyś Białego księcia, zwiększały się temi wszystkimi, co samopas rozbójstwem się parali, a teraz na zawołanie do bezpieczniejszych szli rozbojów. Oprócz tego od Sasów i Brandeburczyków ludzi trochę mu przybyło, a z Grzymałów co żyło szło, bo w domu wysiedzieć nie mogło...

Z Pomorza, z Kaszub, ludu też swawolnego zgromadził Domarat siła.

Zaledwie Świdwa zaciągnął na górny dworzec w Poznaniu, i miał się czas cośkolwiek roz-

patrzeć, gdy mu oznajmiono, że w Piotrkowicach jego, około Szamotuł, Domarat zasiadłszy w domostwie pańskim, dokoła włości pustoszy.

Świdwa porywczy z natury, walkę i rycerskie sprawy lubił dla nich samych.

Byłby się bez innych pobudek, tak jak Bartosz rzucił w ten wir, torując drogę Piastowi, królowi z ich ramienia, przy którym i oni się królować spodziewali, a teraz, teraz osobista zemsta dodawała bodźca nowego.

Domarata i jego żołdaków trzeba było znieść koniecznie; osaczyć go znaczną siłą i jednym pokonać zamachem. Świdwa Domaratowej zbieraniny, złożonej z obcych, za tak bardzo groźną nie liczył. Łatwo jest zebrać takie wojsko, ale się ono łatwiej jeszcze rozbiega...

Gdzie był Semko?? pod Kaliszem, w okolicy Pyzdr, u siebie w domu? nie wiedział nikt. Nie pokazywał się jeszcze, nie chciał z tem wydawać, że był czynnym. Kopijnicy jego, Socha, Choraży pokazywali się posiłkując wojewodę i Bartosza, on trzymał się w ukryciu. Kalisz nie poddał się był jeszcze, mówiono, że czekał w bliskości, aby go zająć, gdy się podda.

Wojewoda i starosta czuwali nad swym Piastem, zakrywając go, aby na wypadek klęski, nie odjęła mu ona uroku.

Skazany na bezczynność prawie, Semko się

zżymał i niecierpliwił, chciał mieć udział w walkach, odkładano z dnia na dzień.

Bartosz w końcu godził się na to, ażeby książę szedł przeciwko Niemcom, gdyby oni wtargnęli, ale nie przeciwko tym, którym miał kiedyś panować.

— Krwi poddanych swych nie powinienesz książę przelewać — mówił wojewoda hamując — oczyszcimy pole, warcholów rozpędzimy, przyjdzie pora, wystąpić.

Sprawa nie szła tak gładko, jak się zrazu spodziewano. Kalisz, o który szło wielce, nie poddawał się.

Książę skazany na bezczynność, odbierał codzień sprzeczne wieści tak, że jednego dnia i niepomrotnie się cieszyć i smucić musiał, gdyż mu i zwycięstwa i klęski zwiastowano.

Przybiegali ludzie z rozproszonych przez Grzymałów oddziałów, to posłańcy od Bartosza, od wojewody. Jednego dnia wyprowadzony z pola bitwy od Szamotuł goniec, zwiastował zwycięstwo odniesione nad Domaratem, którego Świdwa zniecka naszedł z wojewodą i Bartoszem, nim ludzie jego rano mieli się czas uzbroić, których rozproszono i rozbito.

Domarat więcej rozpaczliwego męztwa niż oględności okazawszy, wystąpił z na pół ledwie uzbrojonemi, rozespanemi ludźmi, i straszną poność klęskę.

Książę się uradował niezmiernie, zwiastowało

to koniec walce, gdy w kilka godzin ledwie drugi goniec przybiegł, zwiastując zwrot wcale niespodziewany. Po pierwszej utarczce, dla Domarata nieszczęśliwej, nadciągnął Wierzbęta ze Smogulca, Grzymała, stojący niedaleko ztamtąd obozem, ze stu kopijnikami i kilkuset piechoty; wpadł na rozbiegające się wojsko Świdwy, które goniło rozproszonych, i pobił nawzajem. Zwycięstwo było zupełne. Sam mężny Świdwa, przed tą siłą świeżą i przemagającą musiał się schronić do Ostroroga, zameczku Grocholi.

Zmienił się więc pierwszy tryumf w nową niepewność, wszystko zostało zachwiane.

Zbieg z pola bitwy, który był jej świadkiem, opowiadał ze zgrozą, jak wśród wielkiego zamieszania czasu walki, swoi swoich, niepoznając, mordowali, a jedni i drudzy krzyczeli:

— Za Maryą!!

Domarat chcąc się pomścić na Świdwie, obległ zameczek w Ostrorogu z całą swą siłą, lecz drugiego dnia już, ulękłszy się odsieczy, która z Poznania nadciągać miała, odstąpił od niego.

Uzuchwaliło Domarata zwycięstwo, i zaciągi jego, a Grzymałowie rozpostarli się około Poznania, Buku, Wronek po Wartę, niszcząc włości i mszcząc się na Nałęczach.

Wojnie tej końca już widać nie było, bo szlachta znękana, o Domaracie i o Luksemburczyku ani słyszeć nie chciała.

Spustoszenia szły na rachunek Niemca i jego stronników, Semko widział i czuł, że mimo klęsk stronnictwo jego rosło i zwiększało się. Głośno wykrzykiwano, że na tron prowadzić go będą.

Burza ta, która srożyła się nad nieszczęśliwą Wielkopolską i Krakowianom groziła, bo pókiby ona nie ustała, na przyszłość nic nie można było trwałego uradzić i postanowić.

Semko strzeżony pilno, naprzemiany karmiony nadziejami, zrażany niepowodzeniem, znękany i znużony, domagał się, by być czynnym i czekać musiał ciągle.

Po wieściach o bitwie u Szamotuł, przyszła wiadomość o zjeździe w Sieradziu Wielkopolan i Krakowian, z którego wyprawiono do królowej posłów, naglących, aby jedną z córek dała Polakom, dla którejby oni męża, a króla wybrali sobie.

Z odpowiedzią wyprawieni Węgrowie, oznajmili, iż w miejscu Maryi i Luksemburczyka, naznaczyła Elżbieta dla Polaków drugą córkę Jadwigę, przyrzeczoną Wilhelmowi austriackiemu.

Zjazdom tym w Sieradziu, naradom, poselstwom, końca nie było. Zgadzałi się już wszyscy na przyjęcie Jadwigi, aby raz koniec położyć niepewności i rozerwaniu.

Wielkopolanie niezważając na to, że Wilhelmowi była przyrzeczoną, mężem jej chcieli mieć Piastą, to jest Semka.

Doszło i to uszu jego. W ciągłej trzymany obawie zmian i przewrotów. Semko zaczynał wątpić o swej przyszłości, nie dawał tego znać po sobie, chcąc wytrwać do końca, lecz w duszy słusność przyznawał Januszowi. Cofnąć się teraz nie było można.

Semko jeszcze błdził ze swym oddziałem, uwodzony nadziejami coraz nowemi, gdy mu przyniesiono oznajmienie, że królowa dla uspokojenia kraju i położenia końca wojnie braterskiej, wyprawiła pośredników do Poznania i Kalisza, wojewodę krakowskiego i kaliskiego z Mikołajem Bogoryą i innemi.

Było to dla niego znakiem, iż nie mógł się już spodziewać czynnie wystąpić, i że miecza z pochwą nie dobywszy, musiał powrócić do Płocka.

Milczący, zamknięty w sobie, nakazał odwrót, ale z goryczą w sercu i żalem przeciwko tym, którzy go w pole wywiedli.

Słyszał wprawdzie dokoła siebie, że teraz dopiero droga do tronu otwartą jest i nikogo innego na nim mieć nie chcą, prócz Piasta, prócz niego, ale od Krakowa milczano.

Pierwsza wyprawa młodzieńcza, na którą szedł pełen zapału, zawiodła go boleśnie. Nie był zwyciężonym, lecz został bezczynnym, co stanowiło także klęskę.

Z brwiami namarszczonemi, co według Sochy bardzo go do ojca czyniło podobnym, Semko je-

chał tak upokorzony, iż po dniu nie chciał przybywać do swojej stolicy. Zdawało mu się, że każde wejrzenie, które spotka, uragać mu się będzie. Sama niepewność jutra stawiała się brzemieniem okrutnem.

Późną nocą zatętniało na zwodzonym moście, w podworcu ukazały się pochodnie, otwierano wrota wewnętrzne, podnoszono brony. Semko wjechał z przyłbicą spuszczoną.

U drzwi z konia zeskoczył, nie spojrzawszy na nikogo ze swojego dworu, i wprost wpadł do sypialni.

Jeszcze do drzwi jej nie doszedł, gdy Henryk, który na przybycie jego czatował, ze śmiechem szyderskim pospieszył go powitać.

Semko zmierzył go takim wzrokiem strasznym, iż chłopię nie śmiało przystąpić do niego.

W sypialni czekała już Błachowa, z za drzwi wyglądała Ułina; obu im dał znak ręką, że chciał sam pozostać. Żałował się swem upokorzeniem i wstydem, pałał niemal zemstą ku tym, co go wyciągnęli na plac boju, chociaż sam on właściwie, wyrwał się przedwcześnie.

Widzieć się z nikim, mówić nie chciał; jeden tylko kanclerz, który przyszedł go pozdrowić, został wpuszczony.

Przed nim, jak przed ojcem swym duchownym, Semko wylał się z całym żalem i boleścią.

— Na pośmiewisko mnie wydali ludzie nie-

sworni — zawołał. — Musiałem bezczynny patrzeć, jak się zarzynali i pastwili nawzajem na sobie, obiecując codzień zwycięstwo i koniec walce, a nazajutrz rozpoczynały się na nowo morderstwa i spustoszenia.

Kanclerz przerwał:

— Miłościwy książę, o ile ja wiem, nie stanowczego nie zaszło, nic jeszcze nie jest straconem. Wszyscy zgodnie na tron chcą was powołać.

W końcu Marca nowy zjazd do Sieradzia zwołany.

Semko gorzko się rozśmiał.

— Ile już zjazdów było w Sieradziu? — zapytał. — Co na nich postanowiono?

Zjeżdżają się tam, aby nowy zjazd zwołać.

— Na ostatnim królowa Elżbieta przyrzekła przysłać Jadwigę — przerwał kanclerz. — Będą dla niej wybierać męża i chcą was nim mieć.

— Jadwiga od dziecka jest zaślubioną Wilhelmowi austriackiemu — zawołał Semko. — Jakże może być, aby jej innego męża dawano?

— Nie zaślubioną była, ale przyrzeczoną — odezwał się kanclerz — zaślubin dzieci kościół nie zna. Prawo świeckie może takie umowy przyjmować za dobre, ale kościelne za ważne ich nie ma...

Książę zamilkł nieco uspokojony.

— Korona nie przychodzi łatwo — dodał

kanclerz — zdobywać ją potrzeba, czekać na nią, i wytrwać. Głos powszechny jest za wami.

Dnia tego i następnych kilka, Semko się nie pokazywał i nikogo nie dopuszczał do siebie. Siedział jeszcze zbolący, sam ze swym gniewem i żalem.

Takim go zastał przybywający Bartosz z Odołanowa. Odprawić go, nie widząc się z nim, książę nie mógł, znał przywiązanie i ofiary, jakie poniósł dla jego sprawy.

Bartosz przybywał niemal wesół, najlepsze wioząc wiadomości.

W Wielkiej Polsce stanął rozejm pomiędzy wojującymi, Domarat musiał nań przystać. Przeznaczenie Jadwigi dla Polski łamało wszystkie jego plany. Szło mu już nie o Luksemburczyka, ale o bezkarne wydobycie się z zawichrzenia którego upór jego stał się przyczyną.

— Nigdy sprawa miłości waszej nie stała lepiej — wołał Bartosz — wszyscy jesteśmy z wami, wszyscy za wami. W Sieradziu musicie być, mamy nadzieję, że was tam królem obwołamy!

Bodzanta arcybiskup dał się nawrócić, jesteśmy go pewni! Pójdzie i on z nami!

— Bodzanta? — przerwał Semko — nie zwodzicie mnie?

— Mamy arcybiskupa w ręku — rzekł Bartosz — nie oprze się głosowi powszechnemu.

— A Małopolskanie? a Kraków?

— O ileśmy ich wyrozumieć mogli, nie będą przeciwni. Gdy raz arcybiskup, arcykapłan powagą swą na tron was powoła, muszą przyjąć króla, lub państwo się rozłame na dwoje. My nie ustąpimy.

Książę milcząc podał mu rękę, wstępowała nadzieja do serca.

— Bartoszu — odezwał się powolnie. — Proszę was, bądźcie baczni, nie łudźcie mnie i samych siebie. Winni będziecie całego mojego żywota zatraceniu i sponiewieraniu. Po takiej klęsce w młodości, człowiekowi ledwie ochota do życia zostać może.

Bartosz pewien siebie, głośno zakrzyknął:

— Miłościwy panie! Wszystko zależy od was samych! Arcybiskup i my obwołamy was, to nie ulega wątpliwości, lecz stać powinniście przy tej koronie i z nami wspólnie jej bronić.

— Życie dam chętnie — rzekł Semko krótko i stanowczo.

— Kraj znużony, bezkrólewie trwało zbyt długo, zniszczenie i zubożenie jest straszne, ku wam oczy wszystkich są skierowane, jak ku zbawcy! Obcy panujący dość się nam dali we znaki, zakosztowaliśmy owoców bezpańskiego życia, gdzie każdy warchoł chciał być panem, a w miejscu jednego monarchy mieliśmy stu łupieżców.

Zamyślony książę rzucił jeszcze pytanie o Bodzantę.

— Arcybiskupa pewni być możecie — począł Bartosz. — Mamy go i strzedz będziemy, nadto dobrze czuje przy kim jest przewaga i siła, ażeby się zwrócił gdzieindziej.

Musicie jechać do Sieradzia... Wydane rozkazy, Wielkopolanie ściagną się gromadnie. Jeśli by jaki głos odezwał się przekorny, zagłuszam go. Przeciwno Jadwidze nie mamy nic, przyjmujemy ją dla was. Młodą jest, cudnej piękności i przynosi wam nowe prawo do tronu.

Semko żadnego znaku przyzwolenia ani wstrętu nie dawał. Słuchał pilno.

Kilkanaście dni dzieliło jeszcze od naznaczonego na zjazd dwudziestego ósmego Marca.

Bartosz oznajmiwszy księciu, iż stawić się był powinien, nazajutrz biegł do Wielkiejpoli powoływać, naglić, wypędzać do Sieradzia i umawiać się w jaki sposób Semka okrzyknąć miano królem, aby Bodzanta zmnszony głosem powszechnym, powagą swą potwierdził wybór i ogłosił Semka.

Słuchając rozognionego i przejętego tem Bartosza, książę zdawał się być dobrej nadziei i myśli, ale po odjeździe jego, zostawszy sam, znowu wpadł w zwątpienie.

Jątrzył go nielitościwy Henryk, który inaczej nazywać brata nie chciał, jak jego królewską miłością.

Kłaniał mu się do stóp, okazywał poszanowanie przesadzone, a im groźniejszy wzrok spotykał, im czuł, że go drażni więcej, tem z większą się nad nim pastwił rozkoszą.

IV.

Oddawna stary zamek w Sieradziu, tylu co teraz zjazdów tłumnych i narad nie był świadkiem. Stał on długo pustkami nim się tego do-
czekał, że go sobie Wielkopolanie z Krakowianami dla wspólnych porozumień za najdogodniejsze miejsce obrali.

Z Wielko- i Małopolski dojechać tu było najłatwiej. Czasu bezkrólewia zbierano się często. Miasteczko jako tako mnogich lecz niewymagających przybyśzów mogło ugościć, na zamku starym izby przestronne, puste do obrad się nadawały, w potrzebie służył i kościół zgromadzeniom.

Naówczas już było w obyczaju narady o losach kraju odbywać w domach bożych, co im i pewną uroczystość nadawało i wstrzymywało od krwawych wybryków.

Wygód w tym Sieradziu panowie przybywa-

jący nie mieli żadnych, ale też nie rachowali na nie. Dosyć im było dachu nad głową, ścian od wiatru i zacisznego kąta.

Dla znaczniejszych, duchownych, książąt, urzędników i pisarzów izb było podostatkiem. Wprawdzie okna nie miały jeszcze błon szklanych, a na dole nie wszędzie się znalazły podłogi, ale ław starczyło wszystkim.

Ludzie byli do niewygód nawykli, obyczajów miękkość zaledwie się czuć dawała, przez obcych przynoszona.

Naród cały obozował jeszcze, jak za tych czasów, gdy od najazdów musiał się bronić i czuwać a od tych i teraz nie był bezpiecznym.

Marzec w tym roku kończył się dosyć suchemi i nie zbyt mroźnemi dniami. Drogi już były oschły, wiosna się blizka obiecywała. Rzeki płynęły jeszcze wezbrane, błota stały jak stawy ogromne, ale na łąkach gdziekolwiek zieloność się pokazywała.

Na zamku już się przygotowywano na przyjęcie gości, sposobiąc drwa do kominów, izby oczyszczając po troszę, gdy na dwa dni przed oznaczonym, wprost do wrót ciągnący ukazał się dwór panski, zdaleka już kogoś znacznego obiecujący.

Służba zamkowa, przypatrująca mu się ze wzgórze, z pozoru starała się odgadnąć, kto to być mógł, godząc się na to jedno, iż przyjezdni na Niemców wyglądali.

Można ich było wziąć za przybylców zdaleka, gdyż ani jeden z orszaku nie miał na sobie ni stroju, ni broni, jakich powszechnie w kraju używano.

Dwór to był okazały, a sam pan, konno jadący, którego łatwo odróżnić było, wyglądał książęco i świetnie.

Lekka zbroiczka podróżna, hełm z podniesioną przyłbicą, pawimi piórami nasadzony szeroko, bogaty pas rycerski, oręż błyszczący, okrycie konia w złote wzory szyte, ozdoby rzędu, twarz dumna, głowa do góry podniesiona, wejrzenie śmiałe, okazywały męża, czującego siłę swą i znaczenie.

On i jego drużyna z niemiecka przystrojona i uzbrojona, wjeżdżali na zamek jak do domu.

Straż też nie śmiała im drogi zapierać, choć nikt nie znał tego pana.

Domyślano się jakiegoś księcia.

Oprócz Niemców, gdy cały dwór w podwórzu się znalazł, rozpoznąć w nim było można Węgrów i Rusinów, ale polskiej twarzy ni mowy nigdzie.

Sądzili więc zamkowi ludzic, że jeden z zapowiedzianych posłów królowej Elżbiety przybywał, dla których tu gospoda naznaczoną była.

A był to książę Władysław Opolski, przez jednych „Rusinem“ zwany, przez drugich „Węgierskim wojewodą.“ Starego Ziemowita mazowieckiego szwagier, wuj młodego Semka, mąż

wielkiego znaczenia na dworze nieboszczyka króla Loisa, rozumny i wykształcony, ale w którym już nie polskiego nie było, oprócz wspomnienia rodu Piastów.

Do wojny nieskory, wiekiem już ostygły, zobojętniały na ogólne sprawy kraju, na które po niemiecku, po węgiersku, po „opolsku,“ ale nie po polsku się zapatrywał, był tak powszechnie znienawidzonym, jak sam szlachty i obyczaju polskiego nie cierpiał.

Zagadką mogło się wydawać, że on tu przybywał, gdyż względem królowej nie był zbyt przyjaźnie usposobionym za to, że mu ziemie, które trzymał odbierano. W pomoc też siostrzeńcowi nie jechał pewnie, bo Semko był wybrańcem szlachty, co go już wujowi nienawistnym czyniło.

Oprócz tego wychowanie, obyczaje, charakter młodego księcia mazowieckiego, wszystko ich od siebie odstręczało.

Z góry patrzył Władysław na swych siostrzeńców, sam czując się mężem europejskiego wykształcenia, gdy tamci z prostotą swą i starymi polskimi obyczajami, barbarzyńsko mu się wydawali.

Nie pytając nikogo, książę zajął izby co najlepsze, a służba je natychmiast wedle nawyknień jego i pieszczonego obyczaju urządzać zaczęła.

Wnet potem, jakby książę za sobą pociągnął innych, zaczęły się na gościńcu ukazywać orszaki

przybywających zewsząd panów, którzy na ten zjazd pospieszali. Zaraz po nim przyjechał poseł królowej, biskup Wesprymski, z dwoma mu towarzyszącymi panami węgierskimi. Starzec poważny, dwór butny, węgierskie stroje, madziarska mowa, dla której tłumacza z sobą wieźli.

Ukazano im komnaty nieco opodał od księcia, aby się z sobą stykać nie potrzebowali.

Przybywali też panowie krakowscy, Jan z Tarnowa, Jaśko z Tęczyna, młody Spytek z Melsztyna, Sędziwój Toporczyk, Dobiesław z Kurozwęk i mnodzy inni.

Z tych dwu tylko na zamku się pomieściło, reszta w mieście, około Fary, przy kościele św. Ducha na przedmieściu i u Dominikanów.

Wielkopolan nieustannie napływały tłumy, pomiędzy którymi Nałęczów lik wielki. Arcybiskupa Bodzantę wiódł Bartosz z Odolanowa.

Gdyby o tem zkażynad nie wiedziano, że arcybiskup przeszedł do Piasta obozu, sama ta oznakaby starczyła za wskazówkę.

Wahał się długo Bodzanta, uległ nareszcie więcej konieczności niż przekonaniu.

Stroniąc zarówno od Krakowian i Wielkopolan, arcybiskup u Dominikanów ze swym dworem obrał gospodę.

Z poczem znaczniejszym niż kiedykolwiek bądź, bo go większa część szlachty wielkopolskiej, garnąca się do niego, składała, z wielką strojno-

ścią i przepychem, który nad miarę go kosztował, stawił się Semko do Sieradzia, na zamek ani chcąc, ani mogąc się dostać.

Wiedział już, że tam mieszkał wuj i niektórzy z panów krakowskich, a z nimi przedwcześnie nie chciał się stykać.

Bartosz z Odolanowa, odwiódłszy arcybiskupa do klasztoru, natychmiast u Semka się stawił ciągnąc za sobą Wielkopolan jak najwięcej, aby zawczasu okazać z kim trzymać i przy kim stać będą.

Dzień następny cały był przygotowaniem do otwarcia narad i wzajemnem badaniem się, rozpatrywaniem w położeniu.

Miasto coraz się stawało pełniejszym, a że błotnista za zamkiem okolica, nie dozwalała się rozpościerać szeroko, wszystko się w przedmieściach i w pobliżu ich skupiało.

Wielkopolanie głośno i dobitnie opowiadali z czem i dla kogo przybyli, słuchali i milczeli.

Zaraz po przybyciu na zamek wieczorem, Władysław Opolski, który tylko z biskupem Mikołajem i Węgrami się zbliżył, unikając i siostrzeńca i panów krakowskich — zdziwił się nieco, gdy mu marszałek jego rusin, Nikita, człowiek bardzo przebiegły, ostrożny, który kwoli panu swemu kilku się języków nauczył, a narodowości swej tak jak wyrzekł i zapomniał o niej,

oznajmił, że niepoczesny klecha jakiś dopuszczonym do niego być pragnie.

Składał się on tem, iż od mistrza krzyżackiego Czolnera pismo przynosił do księcia.

Po krótkim namyśle, bocznemi drzwiami, wpuścić go kazał Władysław. Dumny pan zobaczywszy w progu stojącego bladego, mizernego, w sukience czarnej Bobrka, ani się poruszył z krzesła, ani go powitał. Wyciągnął rękę w milczeniu, pisma zapowiedzianego się dopominając.

Z wielkiem poszanowaniem i pokorą klecha wręczył je panu, który naprzód pilno począł przypatrywać się pieczęci, badając czy naruszoną nie była.

Chociaż książę Władysław, co naówczas wyjątkowem było, pismo czytać umiał, godność jego nie dozwalała, aby sam sobie zadał pracę rozpatrzenia w niem.

Do tego służyli lektorowie i kanclerze. Powołano więc księdza, Niemca Waltera, który w podróży notariusza i lektora pełnił obowiązki, razem pobożnemu księciu służąc za kapelana. W łańcuchu na szyi, w sukni wytwornie futrem obłożonej, na pana wyglądający duchowny, spojrzawszy na zbiedzonego Bobrka z wyżyny swojego dostojństwa, dość pogardliwie, poszedł z listem do okna, tu na nowo pieczęć i napis na liście rozpatrzywszy, zręcznie go, nienaruszając mistrza pieczęci, otworzył.

List zawierał słów kilka. Mistrz polecał księciu obronę swą przed królową Elżbietą, która wyrzucała Krzyżakom, iż Semkowi pieniądze dostarczyli na wyprawę przeciw niej i jej prawom. Czolner przysiągł najuroczyściej, a fałszywie, że nie wiedział, na co pieniądze były przeznaczone.

W ostatku mistrz polecał oddawcę listu jako wiernego zakonu sługę, przez którego ustnie czy na piśmie przesłać było można wiadomości i żądania. Czolner z wielką uniżonością i uszanowaniem ofiarował królowej swe posługi.

Milczącemu ciągle księciu, półgłosem odczytawszy to kanclerz, gdy potem wejrzał na posła krzyżackiego tak nędznie wyglądającego, ledwie go uznał rozmowy godnym. Sam też książę wprost nie zwrócił się ku niemu. Pośredniczył lektor.

Bobrek stał trochę w cieniu, nie można mu się było lepiej przypatrzeć, lecz gdy, wzięwszy ciche od pana instrukcje, ks. Walter się zbliżył do niego, uderzony został wejrzeniem pełnem przenikliwości i rozumu, jakim go klecha powitał. Zrozumiał teraz dlaczego zakon go wyprawiał.

— Królowa Elżbieta — odezwał się Walter — za złe miała bardzo zakonowi, pomoc daną nieprzyjacielowi, ale na to książę nic radzić nie

może. Nie przybył on tu z polecenia królowej, ale jako książę polski.

Będąc przyjacielem zakonu, chętnie jednak w tej sprawie przemówi.

Właściwie z tłumaczeniem tem należało się zwrócić do biskupa Mikołaja.

— Jego miłość nie przybywa tu zapewne w sprawie siostrzeńca — wtrącił Bobrek.

Kancelarz szepnął coś panu swojemu i zaniechał zupełnie odpowiedzi.

Po chwili zwrócił się z pytaniem do klechy.

— A nie wiecie jak stoi sprawa księcia Mazowieckiego?

— Wasza miłość lepiej to możecie osądzić niż ja — szepnął Bobrek.

— Wyście bliżej — odparł ks. Walter.

Klecha podniósł głowę.

— Sprawa księcia Semka na oko stoi dobrze — odezwał się — głosów za sobą wiele i mocnych mieć będzie, ale głów mocnych mu braknie.

Bartosz z Odolanowa rycerz wielki, a i pan wojewoda z Kępy nie mniejszego męztwa i rozumu, oba gdy kordy mają w dłoni, straszni są, ale nie wszystkiego orężem dobić się można.

— Mówią że arcybiskupa za sobą mieć będą — dodał kancelarz.

Bobrek skłonił głowę.

— Tak — rzekł — ksiądz arcybiskup nie-

dawno z Zygmuntem był, dziś Semkowi służy, a komu jutro? to nie wiadomo. Bardzo mu żal dóbr spustoszonych i dziesięcin, gospodarz jest bardzo dobry!

Ostatnie słowa wyrzekł ze złośliwością, która uśmiech wywołała na usta kanclerza, nieznacznym i wnet niknącym.

— Widzę — dołożył ks. Walter — że wy nie wielkie wróżycie powodzenie księciu Mazowieckiemu?

— Cóż ja mogę wywróżyc? — odparł skromnie klecha — z dołu do góry patrzę, mało co widzę. To tylko do myślenia daje, że panowie krakowscy zimni są i pary z ust nie puszczają, a u nich i głowy mocniejsze i chytrłość jest większa niż u Wielkopolanów. Tym się Krakowianie dadzą wykrzyczeć, a uczynią w końcu milczkiem co zechcą. Oni sobie pana z cudzej ręki trudno by narzucić dali.

Książę Władysław z ręką do ucha przyłożoną ciekawie przysłuchiwał się tej rozmowie, niedając żadnego znaku po sobie, jakie na nim czyniła wrażenie.

Kanclerz pośredniczący, między nim a klechą, wzięwszy od pana swego rozkazy, kilką słowami posłańca krzyżackiego odprawił.

Chociaż powierzchowność wcale go nie zalecała, ks. Walter znający się na ludziach, z tego

co z nst jego usłyszał, powziął o nim bardzo pochlebne wyobrażenie.

— Niemcy nasi — rzekł w duchu — rozumni są, dobrze ludzi wybierać umieją. Właśnie takich na wysłańców trzeba, z pozoru trzech denarów nie wart, a we środku rozum złoty!

W istocie przypatrując się kręcącemu po zamku i mieście Bobrkowi, który mnóstwo ludzi znał, z każdym innym językiem mówił, umiał się przypochlebić wszystkiemu, z każdego coś wyciągnać, trzeba było podziwiać zręczność tego gadu, co się wszędzie wśliznąć umiał i zewsząd wyjść cało.

Z Polakami Polak, Niemiec z Niemcami, z duchownymi pobożny i świadom łaciny, z wesółmi swawolny, z dumnymi pokorny, pochlebnik zręczny wszędzie; Bobrek już pierwszego wieczora począł ściągać potrzebne wiadomości.

Na dworze Semka miał znajomych sobie z Płocka dworzan, przez list Krzyżaków wcisnął się do księcia Władysława, pomiędzy panami krakowskimi choć starszyzny nie znał bliżej, dworzan miał wielu z Krakowa i Świdnickiej piwnicy poprzyjaźnionych.

Biednego klechę, sprzedającego błogosławione modlitewki i ckzoreczmy na szmatkach pargaminu, ocierane o różne relikwie, nikt nie posądział nawet o żadne niebezpieczne konszachty.

Mógł więc krążyć wszędzie bez przeszkody, podsłuchiwać i wypytywać.

W wigilią wieczorem, chociaż nikt jeszcze przewidywać nie mógł jak się jutrzejsze narady skończą i co na nich będzie postanowionem, już pewne znaki usposobień się objawiały.

Węgierscy panowie w ciągu dnia, przybyciem księcia Władysława Opolskiego zaniepokojeni, bo go posądzali, iż stronę siostrzeńca popierać może, poszli wprost do niego w imieniu królowej spytać, co myśli.

Na otwarte zapytanie biskupa Mikołaja, książe Opolski z dumą, z szorstkością pewną, ale z wyrazem, który o usposobieniu wątpliwości nie zostawiał, odparł ostro, że wcale nie myśli za wyrostkiem się oświadczać, gdy i wiekiem i zasługami sam w razie opróżnienia tronu, słuszniej czuje się do niego powołanym.

Panowie węgierscy zdumieni się słysząc go mówiącego w ten sposób, i zaprotestowali, że tronu nikt córce Loisowej nie zaprzeczał.

— Tak się waszym miłościom zdaje — odezwał się ks. Władysław — ja co innego przewiduję, a w razie wszelkim, nie myślę się moich praw wyrzekać.

Po chwili zaś namysłu, książę dodał, iż spokojni być mogą, bo w żadnym razie siostrzeńca popierać nie będzie.

Wyszedłszy z tą dwuznaczną odpowiedzią pa-

nowie węgierscy, tajemnicy z niej nie czynili. Poszła wieść po mieście, o wątpliwym celu przybycia księcia Opolskiego, i już o niej głośno mówiono pod namiotami mazowieckimi, w obozie Semka, przy piwie...

— Nikt nie zgadnie z kim trzyma Opolczyk — mówiono — bo królowej i jej córkom niema za co wdzięcznym być, ani się od nich czego może spodziewać. Żeby zas pochlebiał sobie, iż go kto za króla zechce, trudno wierzyć, bo takim Niemcem jest jak Luksemburezyk... Nie byłoby co mieniać siekierki na kijek...

Posądzano go, że warcholić chce, że z Niemcami spiskuje, a gorąca szlachta, wprzód nim wyrozumiała zamiary jego, wołała już, aby go przytrzymać i uwięzić, bo zdradę knuć musi.

Niektórzy śmielsi gotowi byli tejże chwili na zamek wtargnąć ręką zbrojną, aby Opolczyka pochwycić. Zaledwie Bartosz z Odolanowa potrafił powstrzymać ich, odkładając do jutra co wypadnie przedsięwziąć.

Bobrek, który od namiotu do namiotu się przesuwiał, wszędzie coś chwytając, mógł się przekonać, że królowa i jej córka wielu wprawdzie miała za sobą, ale większość ich swatała przyszłą królową Semkowi, a Wielkopolanie o nikim innym słuchać nie chcieli krom Piasta.

Na zamku, gdzie wiekiem i powagą, między

krakowskimi panami rej wiedli Jaśko z Tęczyna i Dobiesław z Kurozwęk, wieczorem się zebrali wszyscy, nie wyjmując młodziuchnego, zapalonego królowej i królewien sługi, Spytką z Mielsztyna.

Pomiędzy osiwiałymi mężami ten młodzian niemający lat dwudziestu, a już dostojęństwem wojewody krakowskiego zaszczycony, był prawdziwie fenomenalnem zjawiskiem.

Wprawdzie ludzie naówczas wcześniej za dojrziałych byli uważani, prędzej rozpoczynali życie i stawali obok starszych, zawsze jednak i wszędzie taki Spytek z Mielsztyna mógł uchodzić za wyjątkowego i w osobliwszy sposób obdarzonego człowieka.

Pan ogromnych majątności, znakomitego rodu, wychowany wykwintnie i po europejsku, pięknej bardzo twarzy i postaci, dzielny rycerz, niezmordowany szermierz w turniejach, w komnatach pańskich umiejący stanąć obok cudzoziemców, władający doskonale kilką językami obok bardzo gorącego temperamentu, miał rozum i wytrawność starą.

Słuchali go wszyscy, podziwiali, umiał przekonać i za serce pochwycić. Urok rozumu i talentu powiększała ta siła jaką daje młodość, ten duch wielki, którego w tych latach nie jeszcze nie złamało, występujący w nim z całą swoją potęgą.

W radzie, Spytką zdanie ważyło tyle, co naj-

starszego z tych panów, a często bardzo przeważało co on wnosił, bo nikt lepiej nad niego nie znał królowej, jej dworu i politycznych stosunków Elżbiety węgierskiej.

Gdy w obozie Wielkopolan głośno wykrzykiwano i spowiadano się z tego, czego szlachta chciała, gdy obok Bartosza z Odolanowa jawnie podnoszono chorągiew Semka i Piastów, tu cicho było i spokojnie.

Nikt nie wyrokował o jutrze.

Dobiesław z Kurozwęk, doskonały do czynu, energiczny gdy rozkazywać przyszło, nie był ani mównym, ani wymownym.

Spytek młody, jakkolwiek gorący, miał się na baczności, by się nie zdradzić z niczem i nie wybuchnąć.

Wszyscy na pozór stali twardo przy literze układów z królową, przy obiecaniej córce jej Jadwidze, którą szczególnie zalecał i popierał Spytek...

Co się tyczy narzeczonego jej Wilhelma Rakuzkiego, panowie krakowscy nie oświadczyli się wcale, ani za, ani przeciwko niemu.

O Semku również mówić nic nie chcieli.

Około południa Wicek z Kępy wojewoda poznański przyszedł na zamek, chcąc wybadać Krakowian. Przyjęto go uprzejmie bardzo, lecz gdy począł zalecać Piasta za męża dla przyszłej królowej, zamilkli wszyscy.

— Nie łapmy ryb przed niewodem — odezwał się w końcu Sędziwój Topór. — Naprzód potrzeba królownę mieć, niech nam ją dadzą dopiero wówczas pomyślemy komu ją dać, królowna jeszcze niedorosła. Czasu jest dosyć.

Wojewoda poznański nic więcej tu nie zyskał, nad przekonanie, iż panowie krakowscy czekać chcą.

Dobiesław z Kurozwęk udał się tegoż dnia z pokłonem do arcybiskupa Bodzanty; chodzili tam i inni. Starano się go wybadać, ale ostrożny pasterz, choć z Semkiem już trzymał, politykował, odwołując się do tego *vox populi*, w którym dla niego miał się objawić — *vox Dei*.

Zamiast na zamek, którego znaczną część zajmowali goście, arcybiskup ogłosić kazał, iż zgromadzenie zwołuje nazajutrz do Dominikańskiego kościoła.

Czynił to, jak powiadał, ażeby szlachta, szanując Dom Boży, sworniej i spokojniej do obrad przystępowała.

Niewszyscy może byli temu radzi, ale powaga arcybiskupa nie dozwalała się sprzeciwiać jego woli.

Od rana z miasta, co tylko w obradach udział wziąć miało, płynęło do Dominikanów. Wielkopolanie naprzód gromadnie, tłumno, prowadząc z sobą Semka, który wpośród nich stanął, umyślnie popchnięty na czoło.

U boku jego, miejsca zajmowali Bartosz z Odolanowa, Wicek z Kępy i wielu innych.

Semko, choć może rad był w pięknym stroju niemieckim krojem wystąpić, odradzono mu to. Przyszły król szlachty, musiał się odziać po polsku i po szlachecku, chociaż pańsko i dostatnio. Wziął szubę sobolową szkarłatem okrytą, kołpak z czaplem piórem, kord do boku, tego kształtu jak go wszyscy nosili, tylko w pochwach złotem kutych i sadzonych...

Bartosz z Odolanowa stał przy nim cały we zbroi.

Władysław Opolczyk, chociaż go uwiadomiono, że szlachta się na niego odgrażała, gotową będąc uwięzić, choć i to mu nie było tajno, że obcy strój razić będzie, wystąpił po niemiecku, w sukni na spód jedwabnej szytej w orły czarne, w pasie rycerskim, w spodniach obcisłych i krótkim płaszczu gronostajami podbitym.

Nakrycie głowy w kształcie zawoju ze spinką, także obcą modą było zrobione.

Czynił to dumny książę na przekór, aby okazać, że wcale o tłum ten nie dba, którym oddawna pogardzać się nauczył. Zajął też w kościele nie skromne miejsce razem z innemi panami, ale osobne siedzenie obok Biskupa Mikołaja i Bodzanty, przy posłach węgierskich. Zaraz mu to palcami wytykać poczęto.

Blżej w pierwszych rzędach zasiedli Krako-

wianie z Jaśkiem z Tęczyna, wśród których mężka piękność młodzieńcza Spytka z Mielsztyna wszystkich oczy zwracała. Był może nadto piękny i świeży na krakowskiego wojewodę, ale godność tę nosić umiał jak przystało.

Na oko zaraz dwa obozy wielko i małopolski niezmiernie się różniły od siebie.

Ze strony Wielkopolan, wpośród Nalęczów, z pewną dumą stał Lepiecha w swym starym kozuchu, podwiązany ręcznikiem białym, który od dawna czystym nazwać się nie mógł. Strzępki około niego wisiały...

Z twarzy jego mówiła buta starego ojczyca tej ziemi, który nie obcego nie znosi, choćby mu złotem kapą.

Za nim, mniej więcej dostatnio, ale ze starościwiecka i bez blasku a wytworności, występowali poważni Wielkopolanie, twarze ogorzale, ręce namulane, porane czoła... Kordów wiele na sznurkach prostych, ale dłonie do nich potężne...

Zastęp Krakowian senatorską miał powagę i stroje. Tu narodowy strój mieszał się z dodatkami cudzoziemskimi. Niektórych szaty były polskie, ale tkaniny wschodnie, włoskie, flamskie, lub francuzkie.

Więcej tu było widać oglady i dostatku. Spytek z Mielsztyna nawykły występować wytwornie na dworze Elżbiety, świecił od złota,

jedwabów, łańcuchów i klejnotów. Książęcą miał postawę.

Z Dobiesława z Kurozwęk złoto też kapalo, lecz bez smaku na nim poczepiane, bo niedawno urosli, chcieli nadto popisać się ze swym dostatkim.

Na twarzach Wielkopolan malowała się niecierpliwość i gorączka, Krakowianie siedzieli ostygli i na pozór niemal obojętni. W tłumie szlachty gwar i szmer się rozchodził, senatorskie ławy milczały.

Na twarzy Bodzanty wyczytać było można jakby trwogę i niepewność. Biedny arcybiskup myślał, że dopóki króla nie będzie prawowitego, na przemiany mu z obu obozów będą dobra najeżdzać i pustoszyć.

A szło mu wielce o siebie i o duchowieństwo.

Semko stał strwożony także, ale z twarzą męskiego wyrazu, w której pobłyskiwała niecierpliwość hamowana siłą.

Wśród szmeru zagaił arcybiskup modlitwą do Ducha Świętego.

Po nim biskup Mikołaj odezwał się, prosząc o odpowiedź na poselstwo królowej.

Szło Wielkopolanom o to, aby piewsi przyszli do słowa i odrazu Semka postavili jako wybranca do tronu.

Świdwa począł mówić, z tą rycerską gorąco-

ścią słowa niezbyt wyszukanego, która prostotą za serce chwyta.

— Utrapiona ta wielce korona nasza, ziemie wszystkie, domagają się rychłego postanowienia a ratunku. Zmiłowania proszą. Mielśmy króla, któregośmy ani znali, ni widzieli, nastało po nim krwawe bezkrólewie, i niema mu końca.

Kto miłościw niech pomaga, aby wrócił spokój i ład. Za długo chodzimy w krwią obroczonych kapturach.

Nie mamy wszyscy nic innego w sercu i nie powiedzieć nie możemy nad to jedno, że prosimy królowę Imość, aby nam dała królownę, którą przyrzekła.

Tej mężem musi być Piast, nasz, krew polska, nie kto inny jak Semko Mazowiecki.

Ten się u nas zrodził, z nami żył, i miłować nas będzie, a dla obcych nie poświęci.

Piast królem! Semko panem naszym!

Do ostatnich słów jakby chór głosów zrazu cichszych, potem coraz żwawszych, dobitniejszych wybuchających gwałtownie, przyłączył się wołaniem.

— Semka chcemy! Semko królem niech będzie!

Pornszyl się z miejsca Jan z Tarnowa, ale go zahaczano i do głosu przyjść nie mógł, a tu po nad tłumem Wielkopolan, z ręką na pól ob-

nażoną, ogorzałą, włosem obrosłą, na ławę się podniósł Nałęcz Lepiecha, i na jego skinienie ucichło.

Oczy wszystkich ku niemu się zwróciły.

— Z dawien dawna — rzekł — myśmy sobie panów dawali, a zawsze u nas zrodzonych, do których nam tłumacza nie było potrzeba.

Krew naszych Piastów przecie nie wszystka wsiąkła w groby. Na co nam szukać obcych, gdy swojego rodzonego mamy. Młodym ten pan jest, nauczy się panować, silnym będzie, mądrym się stanie, naród przy nim całym zastępem się przygarnie. Sam Bóg go nam wskazuje, niema innego głosu prócz za Piastem!

Znowu wrzawliwie wywoływać zaczęto Semka, a tak uparcie i groźnie, że z panów krakowskich nikt się nie śmiał wbrew ozwać.

Siedzieli wszyscy niemi spoglądając po sobie, tylko Jaśko z Tęczyna brodę gładził i czekać się zdawał, aby się umysły uspokoiły a wrzawa ustała. Dobiesław z Kurozwęk i on coś szeptali do siebie.

Niebardzo zważano na to, że Władysław Opolczyk, który przy posłach węgierskich siedział, bladł, zżymał się, poruszał, rękami dawał znaki. Chciał mówić, nie dopuszczano; dumny pan burzył się coraz mocniej, sierzcił spoglądając na ten tłum ludzi, ubogo tak wyglądających, a sta-

wiących mu czoło z takim zuchwalstwem i lekceważeniem...

Wreście gniew ten pański urósł do tego stopnia, iż z siedzenia porwawszy się, ku Wielkopolanom pięść ściśniętą wyciągnął.

Odpowiedział mu naprzód głos szyderski, jakby śmiechem stłumionym, potem uciszać się zaczęło. Ciekawość się budziła, co też powie? czego chce?

Książę, który innym językiem jak po niemiecku mówić nie umiał, odezwał się z czemś głośno, krzykliwie, ale nikt go nie zrozumiał. Z ruchów tylko i postawy wnosić było można, iż protestował.

Ktoś ze stojących bliżej wyrwał się z tłumaczeniem, że książę nie dozwala na ten wybór i głosuje przeciwko niemu.

Zaledwie to usłyszano, gdy ogromna burza powstała.

— A on tu jakim prawem mówi! On głosu tu niema. Zdrajca ten, Niemiec! Uwięzić go i sądzić!! Precz z nim do więzienia!!

Nie dość było na wołaniu tem, od strony Wielkopolan rzucił się tłum jakby chciał dokończyć co zapowiedział...

Książę stał dumnie, całę nieustraszony, wyzywający niemal. Twarz okryła mu się purpurą gniewu i wyrazem pogardy.

Byłoby może do gwałtu jakiego przyszło,

gdyby przerażony tym obrotem arcybiskup Bodzanta, ręce obie wzniosłszy do góry, nie począł w Imię Pańskie wołać o pokój, nakazując milczenie.

— Chce ci się wielkorządów nad nami — krzyczał Lepiecha, ręką wywijając ku księciu, — myślisz, że w naszej mętnej wodzie złapiesz sobie rybę! Aleś ty ani Piast, ani nasz! Niemiec jesteś! Idź na Węgry panować. U nas dla ciebie miejsca niema.

Śmiechem mu zawtórowano.

Znowu Wielkopolanie, dając sobie znaki, ruszyli się.

— Uwięzić go, wziąć go! sądzić! Precz z Niemcem.

Ławy trzeszczały, bo je obalać zaczęto.

Bartosz z Odolanowa sam się wprawdzie nie ruszał, ale swoich podżegał. Opolczyk nie ustępował i nie okazywał strachu.

Niebezpieczeństwo było tak jawne, tak wielkie, rozjątrzenie tak groźne, że panowie krakowscy ruszyli się je hamować.

Bodzanta z rękami złożonemi błagał Opolczyka, aby ustąpił, ten głową potrząsał.

Głosy za Ziemowitem Mazowieckim huknęły znowu tak silnie, przeważnie i zgodnie, że wybór jego nie zdawał się ulegać wątpliwości.

Bartosz zdala dawał znaki arcybiskupowi, aby z tej chwili, gdy nikt przeczyć nie śmiał,

korzystał i Semka ogłosił królem. Arcybiskup czuł sam, że głos jego mógł być stanowczym.

Podniósł się błagając, aby się uciszono.

Z trudnością przychodziło rozkołysane uspokoić fale. Nareszcie milczenie nastąpiło. Na stojącego w swem miejscu Opolczyka nikt nie patrzył.

— Najmilsi bracia — podnosząc głos nieco drżący rzekł Bodzanta. — Zgadzacie się więc wszyscy na to, ażeby Ziemowita księcia Mazowieckiego, wybrać, ogłosić i koronować na króla polskiego??

Cały kościół zatrzęsł się od gwałtownego wołania.

— Chcemy go! żądamy!! Niech będzie królem naszym!!

Nikt się nie śmiał przeciwzić.

Bodzanta już miał wyrzec słowo, które na ustach jego zawisło, gdy poważny Jaśko z Tęczyna wstał, i rękę podniósł do góry.

Była to postać tak imponująca, takim namaszczone spokojem, tak nakazująca tłumowi, iż na znak przez nią dany, uciszyło się wszystko cudownie.

Wielkopoleanie nie spodziewali się pewnie, aby miał odwagę wbrew tak dobitnie wyrażonej woli narodu, sam jeden stawić opór. Oblicze zresztą wypogodzone nie zdradzało myśli. Nie było na

niem śladu namiętności, niechęci, żadnej przepowiedni wrogiej.

— Nad przeważną radzimy sprawą, — zaczął zwolna i spokojnie — od której losy przyszłego państwa naszego zawisły. Nie godzi się, mili bracia, rozstrzygać ją z takim pośpiechem. Możeby nam potem przyszło długo i gorzko żałować tej skwapliwości naszej w stanowieniu uchwały.

Wiecie wszyscy jako i ja, żeśmy się zobowiązali królowej naszej Jadwidze być wierni, królową naszą jest Jadwiga...

O losach jej więc, nie rozstrzygajmy, dopóki ona do nas nie przybędzie; czekajmy na nią.

Naznaczmy dzień, niech na zesłanie Ducha Świętego z Duchem świętym do nas przybywa, naówczas radzić będziemy wspólnie z nią nad wyborem jej małżonka.

Prosimy, błagamy, aby królowa nam ją przysłała na czas naznaczony. Jeżeli nie przybędzie, albo ostatejniej naszej nie przyjmie uchwały, naówczas dopiero przystąpimy do wyboru nowego króla.

Tak radzę, a sędzę, że rada moja sprawiedliwą jest i dobrą.

Mówił Jaśko z Tęczyna tak powolnie, wzdając oczyma po zgromadzeniu, że słuchając go, pod wrażeniem spokoju, którym mowa była namaszczoną, umysły znacznie się ukoili — nikt

nie miał nic do zarzucenia radzie wytrawnej i rozumnej.

Nie odpychał on Ziemowita, nie zaprzeczał narodowi prawa do wyboru, ale zachować go chciał od zarzutu lekkomyślności.

Pierwszy arcybiskup Bodzanta, który własnej skwapliwości trochę się wstydził i utykał, przybrał taką postawę, jakby na zdanie Jaśka przystawał.

Starszyna wielkopolska spoglądała po sobie wahając się, Krakowianie korzystając z tej chwili zachwiania coraz głośniej i stanowczo odzywali się za zdaniem kasztelana.

Jakając się, mrużąc oczyma przemówił coś Bodzanta, więcej rękami okazując, niż słowami.

Stało się czego przed chwilą nikt przewidywać nie mógł, nikt się nie śmiał spodziewać, a co często trafi się w tłumie namiętym, który jak fala miota się na jedną i drugą stronę, za lada powiewem.

Niektórzy z Wielkopolan chcieli uporczywie Semka okrzyknąć; wstrzymano ich tem, że sprawie księcia gwałtowność zaszkodzić może.

Starszyna skupiła się dokoła, naradzając już nad urzędową odpowiedzią, jaką dać miała posłom królowej.

Wielkopolanie radzi nie radzi, sami pewnie nie wiedząc, jak się to stało ulegli zwyciężeni.

Słuchano spokojnie, jak Bodzanta wyrażał

boleść długiem bezkrólewiem i klęskami jego sprowadzoną na osierocone królestwo. Oświadczył razem, że Polacy chcą przysiąg złożonych raz dochować, ale obietnicami i zwłokami dłużej się ludzi nie mogą. Proszą więc, aby przeznaczona dla nich Jadwiga, na uroczystość zesłania Ducha Świętego do Polski przybyła, a z przyszłym małżonkiem swym, stale w Polsce zamieszkała.

Dodano żądanie, aby oderwane ziemie, kraje ruskie, Wieluń i Dobrzyń odzyskano — a naówczas Polacy uznają Jadwigę swą królową.

Lecz — gdyby w porę nie przybyła, naówczas zmuszeni będą, dłużej nie czekając — myśleć o swoim ocaleniu.

Końca tej odpowiedzi nie wysłuchawszy, Semko, który już zawiedziony nadzieją do ostatecznego zburzenia i gniewu był doprowadzony, wyrwał się z pomiędzy otaczających go, rozepchnął tłum i poszedł ku drzwiom kościoła.

Wzrok jego był piorunujący, chód gwałtowny...

Bartosza usiłującego wstrzymać go, odepchnął na stronę. Z zaciętymi ustami wyrwał się w ulicę, miotając rękami — nie patrząc na tych co za nim gonili.

Mówić nie mógł, kroplisty pot biegł mu z czoła...

— Bodzanta! arcybiskup! zdrajca! — jękał się niewyraźnie.

Bartosz z Odolanowa zaskoczył mu drogę.

— Na Boga! na rany Zbawiciela — zawołał — nie okazujże miłość wasza, że sprawę swą masz za straconą! Wszystkim serca upadną!

Ja teraz jeszcze za arcybiskupa ręczę, iż będzie i wytrwa z nami. Sposób znajdziemy na to, aby się królewna innemu nie dostała.

Myśmy pewni swego!!

Semko szedł wprost do obozu, zawsze jeszcze z tym gniewem w sercu — jednakże prośby, zakłęcia, upewnienia uspokoiły go nieco. Bartosz, Świdwa i inni nie odstępowali go, dowodząc, że nie tylko nic nie było zachwianem, lecz przyszłość zapewniona.

— Nie okazuj tylko, miłość wasza, ani gniewu, ni zwątpienia, inaczej szlachta opuści nas... zachwieje się.

Błaganiem tem usilnem skłonili wreszcie Semka, iż twarz zasepioną nieco na przyjęcie nadbiegającej z kościoła szlachty rozpogodził.

Bartosz szczególnie, wcale niezrażony, pewien siebie i w nim ufność jakąś rozbudził.

W sercu jednak gorycz została, choć stłumiona.

Bartosz był tu duszą wszystkiego, osią, na której obracała się sprawa.

Natychmiast chciał powracać do klasztoru, aby arcybiskupowi, nie dając czasu do rozmyśłu, trzymać go przy danem słowie.

Dowodził, iż ustępstwo uczynione Krakowianom było rozumnem.

— Lepiej się stało, żeśmy nie szli przebojem — wołał — okazaliśmy przez to, że zwłoki się nie lękamy.

Wasza miłość polegaj na nas — nie ustąpimy!!!

Ta odwaga i wierność Bartosza, który ustępować nie myślał, w końcu i Semka uczyniła pewniejszym.

— Idźmy więc dalej — rzekł. — Ja ofiar z siebie nie będę szczędził, lecz dochowajcie mi wiary... Przyszłoby na żywot cały o ludziach zwątpić, gdybyście mi zawód uczynić mieli.

Z tym hasłem przybył Semko do swoich namiotów, udając wesołość, i zagrzewając swoich do wytrwania. — Czy w duszy miał to uczucie? Któż zgadnie? Czasem marszczyło mu się czoło i ściągały brwi, ale ustom uśmiechać się kazał.

Dowódcy gromadek powtarzali, pocieszając się.

— Przy nas zwycięstwo. Nie śmieli nam się opierać. Władystaw Opoleczyk pojedzie precz jak zmyty. Uchwała i wybór stoją jak skała! Niech królowną przyszlą... nie dopuścim do niej nikogo.

Szlachta dawała w siebie wmawiać zwycięstwo. — Semko zwolna przyszedłszy do siebie, ostygłszy, razem z drugimi obmyślał, jak do

Zielonych Świąt mieli się gotować, zbroić i przedsiębrać środki opanowania przyszłej królowej.

Znaczną część nocy starszyczna spędziła przy księciu, zagrzewając się, naradzając, a po trochu narzekając na powolność Bodzanty, który nie miał odwagi w porę podnieść głosu.

Bartosz od arcybiskupa przyniósł zapewnienie najnroczytsze, iż pozostanie wiernym sprawie księcia Mazowieckiego. — Dobiegł on i do Krakowian, ale tu znalazł bardzo zimne przyjęcie. Dobiesław z Knrozwek, o którego pozyskanie szło najbardziej, bo w jego rękach był Kraków, a posiadanie stolicy zapewniało koronę, odwoływał się do tego, co mówił Jaśko z Tęczyna.

O Semku nikt ani wspominał, a na naleganie Bartosza odpowiadano dwuznacznemi słowy.

On i Świdwa obiegli wszystkich znaczniejszych panów, wszędzie przyjmowani tym chłodem i odkładaniem sprawy do przybycia królowej.

Panowie krakowscy już się sposobili do opuszczenia Sieradzia, unikając widocznie zetknięcia się nawet z obozem Semka.

Władysław Opolski, który właśnie o tym czasie zakładał w Częstochowie klasztor Paulinów, i ofiarował mu do kościoła starożytny obraz cudowny, mający pochodzić z Konstantynopola, który później zasłynął na Jasnej Górze, zniechęcony tem, co go w Sieradziu spotkało, naza-

jutrz, nie żegnając nikogo, pójechał oglądać swój konwent nowy i modlić się w kościele świeżo wzniesionym.

Semko, któremu nie starczyła, już wyczerpana summa u Krzyżaków pożyczona, spieszył nazad do Płocka, mając zamiar powtórnie prosić o posiłek zakonu.

Szlachta do ostatka zaprzysięgała mu, że go nie opuści i przeprowadzała odjeżdżającego z okrzykami. Tłumny zjazd w Sieradziu, jak skoro posłowie węgierscy, którym spieszno było odwieść odpowiedź królowej, wyruszyli ztąd, rozpraszać się zaczął z równym pośpiechem jak zgromadził. Arcybiskup powracał do Gniezna, zasmucony, przewidując trudności nowe.

Na rozjezdnem Wielkopolskanie zmówili się wyjechać na spotkanie młodej królowej, wiedząc, że Małopolska zbiera się pierwsza witąć ją u granicy, chcąc otoczyć i opanować tak, aby żaden wpływ obcy nie mógł się tu przecisnąć. Mieli za sobą szczęściem arcybiskupa, na którego liczyli, a bez niego koronacya odbyć się nie mogła. Bodzanta miał ich prowadzić.

Głośniejsz niż kiedykolwiek obwoływano Semka przyszłym królem, chociaż stronnictwo Domarata, rozejmem do czasu rozbrojone, trzymając się przy swych zamkach i grodach gotowało się do oporu.

Poprzedzała Semka do Płocka wieść nmyślnie

puszczoną, iż został wybranym, miał być już okrzykniętym, a Krakowianie tylko wyjednali zwłokę do Zielonych Świąt.

Umyślnie urządził książę swój wjazd do Płocka tak, aby potwierdzić nim odgłos o zwycięstwie.

Otoczony dworem, poprzedzany trąbami, rozkazując wieść przed sobą Sławcowi chorągiew mazowiecką, mając u boku wojewodę Abrama, Świdwę i znaczny poczet Wielkopolan, w biały dzień, przy biciu w dzwony, uzbrojony po rycersku, Semko zająchał na zamek swój, wśród okrzyków zbiegającego się tłumu.

Henryk, który na ten dzień wdział suknię duchowną i łańcuch na szyję, witał go u wnijscia z szyderską uniżonością. Zdawało się, że lepiej od innych był o wszystkim uwiadomiony.

V.

W sam dzień Wielkiejnocy, rano, starosta Hawnul na klęczkach słuchał mszy świętej w małym kościółku Franciszkanów na Piaskach.

Widok tego nabożeństwa w drewnianem ubożem domostwie skrytego, obawiającego się zdradzić najmniejszą głośniejszą oznaką, przypominał pierwsze chrześcijaństwa wieki.

Franciszkanie modlący się w chórze po cichu, byli to następcy, bracia tych trzech męczenników, których na górze nad Wilnem ukrzyżowano. Czas, który upłynął od tego wzburzenia pogańskiego ludu, nienawiści jego i wstrętu do chrześcian nie uśmierzył i nie zagłuszył.

Stara wiara litewska, jeden z ostatnich w Europie szczątków odwiecznej religii przyniesionej ze Wschodu, a na nowym gruncie, pod różnemi wpływami dziko rozrosłej; czuła się coraz bar-

dziej zagrożoną przez opasujące ją zewsząd chrześcijaństwo i do rozpaczliwej gotowała obrony.

Wprawdzie część społeczności, stojąca u góry, jak wszędzie i zawsze, pierwsza straciła cechę narodową i przywiązanie do wiary, zobojętniała pod wpływem obcym, ale lud trzymał się starych ołtarzów, z dzikiem rozuamiętnieniem gotów na ich obronę.

Musiano się więc wystrzegać, aby niczem w tłumach nie wywołać rozdrażnienia. Ani pop Nestor na zamku, ani Franciszkanie Hawnula na przedmieściu nie ważyli się jawniej występować z obrzędami swojemi.

I w dzień tej wielkiej uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego, tryumfu Zbawiciela nad śmiercią, mała wiernych gromadka cicho się modliła. Chór zajmowali nieliczni zakonnicy i braciszkanie; w kościółku oprócz Hawnula było zaledwie kilku chrześcian nawróconych potajemnie i Polaków, którzy się jako jeńcy wojenni na Litwę dostali.

Purpurowa chorągiew Pana, zwycięzcy, powiewała przy ołtarzu, przy niej paliła się wielka świeca paschalna, a ojciec Paweł z rozrzewnieniem radosnem powtarzał:

— Alleluja!

Po długim i surowym poście czekała na zakonników, staraniem Hawnula, przysposobiona biesiada w refektarzu. Tu wszystko było równie

ciasne, szczupłe, ubogie jak kościółek, ale twarze zakonników, stojących na bojowych kresach, promieniały radością.

Dwa razy do roku szczególniej radość ta, uczuciem religijnem wywołana, objawiała się dobitniej: u żłobku nocą Bożego Narodzenia, i u grobu Pańskiego, gdy anioł zwiastował Maryom, że Chrystus zmartwychwstał.

Dnia tego cieszyli się mocniej jeszcze niż zwykle zakonnicy, bo właśnie w pomoc im przybył z klasztoru w Pyzdrach ojciec Anioł, którego przyjmowali jak wysłańca z lepszego świata.

Ojciec Anioł, niegdyś rycerz i szlachcic, zawołania Sulimy, który był wdział habit wskutek ślubu uczynionego na polu bitwy, niemłodym już był, ale wielkiej energii i poświęcenia człowiekiem, jakby stworzonym na apostoła.

Z pod zakonnej pokory dobywały się resztki rycerskiego ducha. Umysł miał otwarty i nieobcy był sprawom kraju, który kochał tak, jak gdy walczył w jego obronie z kordem w dłoni.

Drugi dopiero dzień cieszyli się ojcowie przybyciem ojca Anioła, a nie mieli jeszcze czasu dożyć się z nim nagadać o wszystkim, o czem się od niego dowiedzieć spodziewali.

Nabożeństwo wielkotygodniowe, prawie bez wytechnienia ich, dzień i noc w kościele trzymało.

Starosta Hawnul już o przybyciu nowego za-

konnika był zawiadomiony i tak ciekawy, jak ojcowie, tego, co on im przynosił z sobą.

Przy stole więc, do którego Hawnul zasiadł z niemi, zaczęła się bardzo żywa rozmowa o stanie korony polskiej. Sprawa jej obchodziła gorąco znaczniejszą część braci, pochodzenia polskiego. Hawnul dopytywał troskliwie o starania Semka, o losy Luksemburczyka, praktyki krzyżackie, działania Władysława Opolskiego itp.

Ojciec Anioł, sam Wielkopolanin, Nałęczom powinowaty, umiał z tego wszystkiego dobrą zdać sprawę. Widział on jednak z okna klasztornej sprawy kraju inaczej może niż inni jego współbracia.

— Czy książę mazowiecki królem zostanie? nie wiem. Wyroki opatrności są nieprzeniknione — mówił — ale to dla mnie jawne, że Małopolanie, panowie krakowscy, lękają się Semka, aby przy nim znowu Wielkopolska góry nad niemi nie wzięła, a z czasem i stolicy po staremu do Poznania nie przeniosła. Mamy już u siebie arcybiskupią... naówczas Małopolska istotnieby małą się stała.

Nasz pasterz Bodzanta trzyma z Mazurem, ale jeśli Małopolanie mu do korony przeszkodzą i on się łącznie na innego zgodzi.

Na dzień zesłania Ducha św. przybywa królowa dla nas wyznaczona, wtenczas się dopiero

rzeczy wyjaśnia. Wielkopolanie chcą jej dać Semka za męża.

— Lecz — przerwał Hawnul, z wielkiem zajęciem chwytający każde słowo mnicha — słyszałem, że królewna ma już oddawna zaręczonego z sobą, przyszłego męża Wilhelma austriackiego?

Ojciec Anioł poruszył ramionami.

— Wszyscy u nas na to jedno się zgadzają, ażeby za króla nie przyjmować tylko takiego, któryby u nas mieszkać mógł i królować. Rakušanin zaś siedzieć tu nie może.

— Więc Semko? — przerwał Hawnul.

— Nie wiem — odparł skromnie mnich — lecz boję się, aby go panowie małopolscy nie usunęli. Boją się go, a siłę mają i przebiegli są. Zda mi się, że sprawę przeciągną i kogoś ze swojego ramienia na tron poprowadzą...

— Ale kogoż? — pytał starosta.

— Bóg jeden wie. Wybór będzie od nich zależać. Warunkiem pierwszym jest, ażeby w Krakowie siedział, sam rządził i nikomu wielkorządów nie powierzał. Obrzydły wszystkim one.

Kilka pytań jeszcze zadał ciekawy Hawnul ojcu Aniołowi i widać było, że umysł miał czemś mocno zaprzątnięty. Zamyślał się, wzdychał, oczy w ziemię wlepiął, poruszonym był więcej niż zwykle. Zakonnicy wnosili z tego, że jakaś sprawa ważna na ramionach jego ciążyła.

Wistocie Hawnul chodził myślą obarczony dzi-

wną, która mu, czasu nabożeństwa, właśnie gdy ojciec Paweł wesoło wyśpiewywał Alleluja, jak promień z nieba padła na duszę.

Jakiś głos tajemny usłyszał w sobie, który mówić się zdawał: wstań a idź, prowadź do chrztu Jagiełłę i na tron polski, połączonej z Litwą.

Wydawało mu się to zuchwałem, nierozumnem, dziecinne prawie i niemożliwem, lecz teraz słuchając powieści ojca Anioła, zaczynał przewidywać, że marzenie to ziściłoby się mogło, że to był może jedyny sposób zmuszenia Jagiełły, którego kochał, do przyjęcia chrześcijańskiej wiary. A w duszy brzmiało mu ciągle, z wielkanoocnem Alleluja: Wstań a idź, wstań a prowadź pana twojego do chrztu i na tron!

Słowa te oblegały go, dzwięczały w jego uszach, nie dawały mu o niczem innem myśleć, nie zrozumieć.

— Wstań i idź — mówił głos wewnętrzny. — Z pokorą pobożnego człowieka, Hawnul opierał się tej pokusie, nie czując się do tak wielkiego dzieła godnym powołania.

Tajemnem pragnieniem całego jego życia było ochrzcić Jagiełłę, uczynić go równym innym monarchom chrześcijańskim. Teraz do tego otwierało się pole. Dwie połączone razem korony przeciwko zakonowi!! z nich dwu rosła niezwykciona potęga.

Upojony tą myślą, Hawnul wyjechał żegnając

mnichów, wprost dążąc na zamek, do dworca swojego. Tu zamknął się z myślami niedającymi mu spokoju.

— Wstań i idź! — powtarzało się w jego duszy. Był to, jak rozkaz z góry, jak głos Boży, miał siłę, której oprzeć się Hawnul nie umiał.

Jagielly, który, jeśli nie był na wojnie, zawsze prawie na łowach w lasach siedział, i teraz nie było w Wilnie.

Z braci, dwu gdzieś na Rusi siedziało, inni byli po zamkach rozpierzchli. Stara tylko królowa z córkami modliła się i wzdychała do monasteru w teremach swoich.

Nad wieczór Hawnul nie mogąc już wytrzymać, przeżegnał się, westchnął i szedł do wielkiej księżnej.

Właśnie, gdy przechodził podwórcę, około św. ołtarza Litwy, jakiś nroczysty obchód wiosenny się odbywał. Dym ogromnym słupem wzbijał się w powietrze, brzmiały pieśni, a ludzie w wieńcach zielonych, przemykali się około murów.

Hawnul spojrział w tą stronę, na żywe jeszcze bałwochwalstwo, mające tu swych kapłanów, wieszczów i pobożnych wyznawców; zadumany nad tem, jakiej siły było potrzeba, ażeby obalić gmach ten prastary, mający korzenie głęboko w ziemi utkwione.

U drzwi wielkiej księżnej, lękając się, aby

jakiego nabożeństwa jej nie przerwał, stanął, oznajmując się przez służbę.

Właśnie się modlitwy skończyły. Stara Julianna, która chodziła mało, bo jej sił brakło, siedziała już w krześle z paciorkami w ręku. Lubiała ona dosyć starostę, chociaż gorliwa rusinka miała za złe, że jeden obrzęd z Krzyżakami wyznawał.

Hawnul począł od pytań o zdrowie, zmuszony zwykłych starym skarg wysłuchać, potem nowin z Tweru, od Połocka i z Rusi.

— Ja też od Lachów miałem wiadomości — rzekł starosta, zbliżając się do staruszki i spozierając, czy sług w bliskości nie ma.

Gdybyś mnie wasza miłość wysłuchać raczyła, dużobym miał do powiedzenia. Zdawna dręczy mnie myśl, z którejbym się rad zwierzyć, tak mnie ona opanowała.

Julianna słuchała sparta na ręku.

— Polacy króla nie mają — odezwał się żywo Hawnul — mieć tylko będą młodą królowę, dziewczę zaledwie dorastające. Muszą dla niej szukać męża, a dla siebie króla.

I uniósł się nagle starosta.

— A! a! miłościwa pani! na tym tronie panaby naszego posadzić, a połączyć dwa państwa i całą tą potęgą na Krzyżaków uderzyć!

Julianna poruszyła się nieco, głową potrząsnęła, zadumała, uśmiech niedowierzania przesnął się po jej ustach.

— Człowiecze! — rzekła. — Co się to tobie śni? Alboż to może być? Oni jego za króla nie zechcą. Długie wieki z niemi wrogamiśmy byli. Ruś im także niechętna... To świat inny, a to inny... Modlim się inaczej.

Dla Jagielly żony na Rusi szukać potrzeba i panowania na Rusi. Tam się nam chrzcić, zdobywać i granice posuwać.

Hawnul spokojnie dał jej mówić.

— Miłościwa pani — począł gdy zamilkła. — Na Rusi kniaziów wszystkich pokonać i znieść, aby sobie państwo zdobyć szerokie, trudniej będzie niż się z Polską pod krzyżem Chrystusowym pojednać. Tu dla Jagielly bez wojny, bez trudu, bez nieprzyjaciela tron gotowy, żona młoda, państwo mocne i wojsko dzielne do pokonania zakonu.

Wielka księżna nie odpowiadając długo w myślach się pogrążyła. Potrzebowała się oswoić z tą rzeczą tak nową, której nigdy dotąd nikt przypuszczać nie śmiał.

— Ale oni tam Semka prowadzą! — rzekła.

— Niewszyscy — żywo odparł Hawnul. — Właśnie ci, co najwięcej mocy mają i rozumu, obawiają się go i nie życzą. Dla nich Litwa tak potrzebuje, jak nam Polska. A! gdyby pan nasz dał tylko znak, rzekł słowo...

— Czyście z nim już o tem mówili? — spytała księżna.

— Nie! — zawołał Hawnul — dotąd nie. Dziś dopiero pan Bóg mnie tą myślą natchnął, a od niej jakbym wina się napił, głowa mi się zawróciła... Pokoju mi nie daje!...

W. księżna ciekawie wpatrywała się w stojącego przed nią starostę, który postawę miał natchnioną i przejętą.

— Wyście dobrym i wiernym sługą naszym — odezwała się z dobrocią — wiem, że kochasz syna mojego, dlatego nawet niemożliwe rzeczy byś rad spełnić. Polska i my, ogień i woda! jakże to połączyć w jedno? .

— Miłościwa pani, przecież Litwinki były tam już na tronie? były Rnsinki, czemużby pan nasz nie mógł być?

— A wiesz jak się im tam działo? — odparła Julianna.

— Inny jest los niewiasty a mężczyzny — rzekł Hawnul. — Oni tam szły słuchać, nasz pan pójdzie rozkazywać.

W tem księżna, jakby namysłnie, coś zupełnie obcego wrzuciła w rozmowę, mówiła o Tatarach i wojnie z nimi. Hawnul zamilkł.

Pierwszą myślą jego było przez matkę trafić z tem do Jagielly, znajdował tu opór, ale nim się nie zrażał.

Ufał w to że Julianna, choć w pierwszej chwili odtrąciła to co jej przynosił, musiała po

namyśle uledez wielkiej pokusie, przyszłość świetną i piękną otwierającej dla jej syna.

Chciał już pożegnać księżnę, zostawując jej myśl rzuconą, aby czas miała się z nią oswoić, gdy go staruszka wstrzymała.

— Tak! tak! — wyjąknęła zadumana — toby była potęga wielka bardzo! Samym postrachem, nie dobywając oręża, zgniotłby tych nieawistnych mnichów... Ale jemu królować w tej Polsce zaburzonej, niespokojnej, gdzie bojarowie i panowie nieustannie przeciw swym królom głowy podnoszą!!

— Przeciwno buntującym się micé będzie Litwę — odezwał się Hawnul.

— Obcy ludzie, wiara, obyczaj, wszystko zachodnie, nie nasze — mówiła księżna — onby tam był nie swój, a nie swojego pana poddani nie kochają.

— Naszego pana musieliby umiłować, bo dobrym jest — mówił Hawnul. — Przecie między Rusią a Polską tyle jest podobieństwa, co różnicy, mowa prawie jedna, tłumacza nie potrzeba. Rusi już zawojowali dosyć i trzymać będą.

To mówiąc Hawnul zamilkł nagle, zdawało mu się bowiem, że za pierwszym zamachem, zbyt nalegać był nie powinien. Pokłonił się i pożegnał księżnę.

Jagiello dnia następnego nie powrócił, a starosta nie poszedł do księżnej matki. Z południa

dworzanin przyszedł go do niej wczuć. Szedł
Hawnul natychmiast, a że od granicy dostał ję-
zyka, od tego począł.

Stara księżna mówić mu długo nie dała o tem.
W twarzy jej malowało się jakieś rozmarzenie,
oczy jaśniej świeciły...

— Snu mnie pozbawiłeś — odczuwała się. —
Niedorzeczną baśń splotłeś, a ta mi pokoju
nie dała.

Spoglądała nań wyzywająco.

— Miłościwa pani — rzekł Hawnul. — Gdybym
ja to za baśń miał, nie ośmieliłbym się mówić
miłości waszej o lada śnie moim. Ja wierzę w to
mocno, że byle pan nasz chciał, baśń i marzenie
mogą się sprawdzić na jawie.

Staruszka głową potrząsała.

-- Swatowiby się za te dziewosłęby piękny
ręcznik złotem szyty należał — dodała.

— Swatby ręczników się wyrzekł i samby
ostatnią koszulę oddał, byle wesela doczekał —
odezwał się wesoło starosta.

Księżna poczęła poważnie.

— Wielkie to dzieło! Straszno do niego rękę
przyłożyć nie wiedząc jak się skończy. Nam dla
godności naszej nie można próbować, czegośmy
niepewni czy dokonamy.

Z takiej wysokości spaść!!

Spojrzała na Hawnula.

— Jaby'm też nie prowadził pana mojego, sam wprzód nie rozpatrzywszy drogi — rzekł starosta.

— Jak? co ty myślisz? — ciekawie pytała księżna.

Hawnuł podumał chwilę.

— Pojechałbym sam na zwiady do Krakowa, jako kupiec, jak Niemiec... Znalazłbym ludzi, coby mi pomogli. Musiałbym podróż tak odbyć, aby nikt o niej nie wiedział, ani się dorożumiał po co jadę...

Tu w Wilnie będą sądzili, żem do Rygi do brata się wybrał...

— Jak ty to wszystko jużś obmyślał! — dziwując się przerwała księżna i urwała prędko.

— A z Jagiellą wprzód o tem nie mówiłbyś? — zapytała.

— Sam nie wiem. Uczyniłbym jak mi wasza miłość rozkaże — mówił ośmielając się Hawnuł.

Nim odpowiedź nastąpiła, dano znać na nabożeństwo wieczorne w kaplicy, wstała księżna, a starosta ją pożegnał.

Nocą Jagiello powrócił; o brzasku zbudzono Hawnuła wołając do pana dla spraw skarbowych.

Jagiello obdarzający ciągle, szczodry bez miary, jak zwykle żądał od Hawnuła dla swych ulubieńców pieniędzy, futer, podarków. Oszczędny Niemiec opierał się jak mógł.

Spór zawsze prawie się tem kończył, iż starosta więcej niż chciał, dać musiał, i Jagiełło śmiał się z niego.

Nie mówili o niczem, bo w. książę unikał poważniejszej rozmowy...

Wiosna i zieleniejące lasy, ocieplone powietrze, śpiewające słowiki, świat do nowego rozbudzony życia, sprawiały zawsze na umyśle wrażliwym Jagiełły to wrażenie, iż się czuł odmłodzonym i szczęśliwszym.

Przerywał nawet zwykłe swe milczenie trwożliwe wesołym żartem, a w poufałym gronie śmiał się swobodnie. Obecą dopiero ukazującą się twarz, zamkniętym go w sobie i poważnym czyniła. Hawnul nie wątpił, że stara księżna zwierzy się pewnie z tego, co jej przyniósł, nie mogąc wytrwać w milczeniu.

Stało się jak przewidywał.

Wieczorem przyszedłszy do Jagiełły po służbie, zastał go uśmiechniętym szydersko.

— Cóż to? — począł, przyzwawszy Hawnulę bliżej, tak aby dwór słyszeć ich nie mógł — ty, Niemcze paskudny, chcesz mnie zrobić królem polskim??

— Tak jest — rzekł śmiało starosta — ja tego bardzo sobie życzę.

— Garścią łapiesz skowronki! — odparł śmiejąc się Jagiełło. — Powiedzieć to łatwo, a zrobić?

— Zrobić byłoby może trochę trudniej, ale gdybyś wasza miłość chciał tylko.

— Chciał? śmieszny człowiecze — przerwał Jagiello — a któżby nie chciał potęgi, podwójnej korony, zwycięztwa nad wrogami, i pięknej żonki młodej!!

Podniósł rękę książę i śmiejąc się jeszcze, zlekka odepchnął starostę.

— Nie róbże mi oskomy daremnie!

Hawnul pokłonił się i chciał go w rękę pocałować.

— Puśćcie mnie na zwiady! — zawołał — puśćcie! Proszę! Sprawię się dobrze i przyniosę gościńca — koronę.

Jagiello nagle spoważniał i posmutniał.

— Dowiedzieliby się ludzie i urągali potem z wielkiego księcia litewskiego. Głowę potrząsał.

Semkowi mazowieckiemu wolno wyciągnąć rękę i nie nie dostać, ale synowi Olgierdowemu nie godzi się!

— Ale żywy duch o tem wiedzieć nie może — gorąco począł Hawnul — ani żem był posłany, ani z czem! kupcem pojedę i powrócę kupcem... To nie waszej miłości sprawa a moja.

Książę wciął głowę potrząsał.

Wtem nadszedł młodszy brat Wigund i rozmowa natychmiast przerwana została. Jagiello dał znać Hawnulowi, żeby tajemnicy nie zdra-

dził, nawet przed ulubionym jego bratem. Odeho-
dzić jednak nie dał staroście i gdy jedzenie przy-
niesiono zatrzymał go przy sobie. Mówiono o ło-
wach... Wigund się przechwalał, Jagiełło trochę
z nim drażnił.

Wstał potem prędko, wody się napiwszy i Ha-
wnuła do swej sypialni poprowadził.

— Milez ty mi z tem, o czem mówiłeś matce—
rzekł grożąc. — Zakląłem i ją, ażeby nie powta-
rzała tego nikomu, ale niewieście usta zamknąć
trudniej niż mężczyźnie zemsty zabronić. Na pra-
wdę, pojechałbyś ty na zwiady? aż tam? do sa-
mego Krakowa?

Wlepił oczy w niego.

Starosta odpowiedział stanowczo.

— Pojadę.

Przeszedł się po izbie Jagiełło.

— Kto tobie to poddał? kto naraił? — ode-
zwał się niespokojnie — to zdrada może?

— Miłościwy panie — poczał Hawnuła — zna-
cie mnie, że nie kłamię. Jestem chrześcianin, do
Boga mego modłę się gorąco, i mogę wam
poprzysiądz, że przy modlitwie słyszałem
głos...

— Głos! głos słyszałeś! — krzyknął prze-
straszony w. książę cofając się.

— Nie głos ludzki, ale duszy mojej, mówiący
mi wyraźnie. — Idź i czyń to.

Hawnu! śmiało w oczy patrząc Jagielle w piersi się uderzył.

Z twarzą zmienioną książe stał przed nim strwożony, oglądając się i szepecząc jakieś zabo-bonne zaklęcia.

Obawiał się czarów i wszelkich zjawisk nadzwyczajnych, sił niewidomych, w których istnienie wierzył mocno.

Zapewnienie Hawnuła, że czasu modlitwy głos jakiś w sobie słyszał, zmieniło zupełnie usposobienie księcia. Lękał się już przeciwie temu rozkazowi z góry, a nie ufał, czy on pochodził od jakiej siły czystej, czy od wrogiej potęgi...

Hawnu! zamilkł, mowy już o tem nie było dnia tego. Na dzień następny łowy były około Trok zapowiedziane, ale wielki książe wysłał brata, a sam pozostał w domu. Zrana kazano przyjść Hawnułowi znowu.

Po krótkim wstępie, Jagieło kazał sobie powtórzyć wczorajsze opowiadanie i zasepił się znowu. Wahał się jeszcze wysłać ma czy nie Hawnuła.

Znalazł nareszcie środek, który mu się wydał najbezpieczniejszym.

— Nie bronie ci jechać — rzekł — ale cię nie posyłam. Jedź gdy chcesz... Ja o tem wiedzieć nie powinienem, o niczem!!

Zaczął zaraz rozpytywać o drogę, sposób dostania się do oddalonego Krakowa, o osoby,

do których Hawnul przystęp się mieć spodziewał i dokończył powtórzeniem:

— Jedź, ale niepoślany przezemnie, a wracaj rychło, bo będę sądził, że ci tam głowę z karku zdjęli. U nich wojna, wszyscy tam podejrzani, gościńce na które teraz żaden knpiec się nie waży.

Hawnul miał na wszystko uspokajające odpowiedzi. Stosunki jego handlowe, związki przez Franciszkanów z Polską, zapewniały mu przejazd bezpieczny. Wielki książę już mu się nie sprzeciwił.

Podróż więc postanowioną została, z tym warunkiem, iż Hawnul opowiadać miał, że się wybierał do Rygi.

Zyskawszy pozwolenie, starosta, w którym raz powzięta myśl gorzała, nie dając mu spoczynku, natychmiast zajął się jej wykonaniem.

Franciszkanie mieli mu w tem być pomocą. Brat Antoniusz musiał się znowu poświęcić i towarzyszyć staroście.

Najlepszy to był przewodnik, gdyż znał wszystkie konwenty swojego zakonu, a drogi pomiędzy niemi, niejednen raz pieszo przebywał. Mężtwo też miał tego rodzaju, co nie wyzywa na niebezpieczeństwa, ale je spokojem niewzruszonym rozbraja.

Wybrać się w taką podróż, w tym czasie, bez żadnej siły na obronę od rabusiów i włóczęgów, było niepodobieństwem; a zbyt licznym

orszakiem, dającym się bogactwa domyslać, nie godziło się drażnić i kusić łotrzyków. Hawnul więc musiał zebrać sobie towarzystwo, liczbą nieuderzające a mężne, rachując na to, że świadomość gościńców, od złego spotkania uchroni.

Orszak miał się składać przeważnie z Rusinów, wyprobowanej wierności i posłuszeństwa.

Gdy w parę dni potem wszystko było w gotowości, a Hawnul przyszedł pożegnać wielkiego księcia, Jagiełło zaniemiał na chwilę. Żal mu było najwierniejszego ze sług swoich narażać na zgubę, ale starosta nalegał.

Rozstali się oba smutni.

W Wilnie dość długo nie dostrzeżono nawet, że starosta się oddalił. Orszak podróżny zawczasu wyprawiony, czekał na niego i brata Antoniusza w lesie. W dworcu Hawnula na pozór wszystko w dawnym zostało porządku, jak gdyby gospodarza nie brakło.

Przez pierwszych kilka dni unikano tak zręcznie wielkich gościńców, i osad znaczniejszych, popasując i noclegując po lasach, że z ludźmi się prawie nie spotykano. Ku granicom się zbliżając rozsluchać się było potrzeba i posłać na zwiady, któredy bezpieczniej puścić się mogli.

Pomimo oporu Hawnula, brat Antoniusz oświadczył się z gotowością wyprzedzenia orszaku choćby sam, ale na usilne naleganie przyjął od

starosty najsiłniejszego z jego ludzi starego Smolenszczanina Petruka.

Tymczasem obozowano w głuchej i zapadłej puszczy, a Hawnul niecierpliwie wyglądał powrotu wysłanego, bo swatanie na tron polski Jagielly pokoju mu nie dawało.

Pilno mu było z tem uprzedzić innych i pozyskać sobie zwolenników.

Drugiego dnia powrócił brat Antoniusz z Petrukiem, wioząc z sobą jeszcze niepozornego biedniaka klechę, którego niegdyś w drodze spotkał, potem w Płocku — a uważał za stworzenie dobrodusznego, którem można się było wygodnie posłużyć.

Sama sukienka duchowna, dla starego zakonnika już go czyniła zaufania godnym. Nie zwierzył mu się jednakże spotkawszy z nim nad granicą, z kim jechał, mówił tylko o kupcu niemieckim.

Bobrek za lichą zapłatę ofiarował się prowadzić go do Krakowa, dokąd sam miał potrzebę.

Ze spotkania tego i pozyskania sobie świadomego kraju klechy, brat Antoniusz i Hawnul, szanujący wszystko co ze stanem duchownym było w styczności, oba się radowali.

Bobrek powiadał, że właśnie w tamte strony musiał jechać, ciesząc się, że mu podróż darmo przyjdzie na cudzym koszcie i coś jeszcze przynieść powinna w dodatku.

Od pierwszego wejrzenia, z wężem sobie właściwym, wietrzył już, że ten mniemany kupiec, przekradający się bez towarów do Krakowa coś innego nie handel mógł mieć na celu.

Przystał więc od razu bardzo do starego braciszka franciszkańskiego zakonu, okazując ubogim prostaczkiem, i brat Antoniusz wziął go chętnie...

Bobrek doskonale dróg świadomy, ofiarował się z pomocą, za której ręczył skuteczność. Świadomemu jemu drożynami mieli dostać się przez Mazowsze w Sieradzkę, a ztamtąd do Krakowa.

Hawnulowi przedstawiając się z tą samą pokorą, co bratu Antoniuszowi, łatwo go sobie pozyskał. Pomimo, że się starosta za prostego kupca podawał, dość było baczniejszego wejrzenia na niego i podróżne przybory, dostatek, poważną postać, aby utwierdzić w podejrzeniu, że wysłannic ten był jakąś ważną osobistością, o której bliżej się czegoś dowiedzieć Bobrek spodziewał w podróży.

Hawnul był jednak ostrożnym, i ani nazwiska swego, ani położenia nie zdradził, mianując się kupcem z Rygi.

Natychmiast klecha począł z nim po niemiecku rozmawiać i o zakonie napomykając, zbadać się starał, jak dla niego jest usposobionym... Starosta ani z miłością ani ze wstrętem się nie

wydał, co w oczach Bobrka już go podejrzanym czyniło. Obietnicę nagrody za przeprowadzenie potwierdził starosta, upewniając, iż będzie sowita, jeżeli ich bezpiecznie do celu doprowadzi.

Dla Bobrka nie było to trudnem, gdyż niejednen raz przez te puszcze się przedzierał. Przewiodł ich naprzód ostrożnie po nad Wizną, którą właśnie zakon w zastaw zajmował, ciągnąc potem manowcami mimo Brańska i Czerska, tak aby pominąć oba. Stały tu jeszcze bory wszędzie prawie nietknięte, przez które dla świadomych prowadziły drogi mało komu znane, na drzewach znaczone zaciosami różnemi.

Tak szczęśliwie dostali się aż pod Chęciny, zkąd musieli zwrócić pod Wislicę, a nie śmiejąc nigdzie ani się zatrzymywać ni spoczywać długo, zdążyli nareszcie pod sam już Kraków, do Proszowic.

Tu Hawnul potrzebował wytchnąć nieco, ohmyśleć co miał dalej przedsiębrać, a przewodnika już niepotrzebnego rad się był ztąd pozbyć. Ale Bobrka łatwiej było wziąć, niż się z nim rozstać.

W ciągu powolnej podróży poznał on lepiej Hawnula i nie mu z głowy nie mogło wybieć, iż mąż to być musiał jakiś wielkiego znaczenia, dostatku, rozumu, który prostym kupcem tylko się dla niepoznaki mianował.

Nie potrafił jednak, z różnych stron ostrożnie i zręcznie zagadując, badając, podchwytyjąc,

dojść co go prowadziło do Krakowa i to w towarzystwie starego zakonnika?

Hawnul umyślnie unikał wszelkiej wzmianki o Litwie i o dworze tamtejszym. Milczenie jego, wstrzemięźliwość i oględność, utwierdziły tylko w przekonaniu, że to być musiał tajemny poseł jakiś. Zbijało go z tropu, że Niemcem był.

Gdy starosta, wynagrodziwszy szczodrze klechę w Proszowicach, odprawił go, Bobrek, sądząc że dowodem zaufania wzajemne pozyszcze dla siebie, odezwał się zeicha.

— Wdzięezen jestem miłości waszej, że mi pozwalasz ztąd pospieszyć zaraz do Krakowa, gdyż sprawę mam tam pilną, z którą prawdę rzekłszy, zostałem wysłany.

—Przez kogo!—zapytałz roztargnieniem Hawnul.

Bobrek zbył odpowiedź dwuznacznym ruchem jakimś jak gdyby mu nie wypadało, zdradzać tajemnicy i dodał.

— Posłano miue ostrzedz Krakowian, aby się na baczności mieli, bo mazowiecki książę Semko ma się podobno kusić o to, aby miasto ubiedz, w stolicy się z wojskiem rozłożyć, i niedopuszcć kogo innego do korony.

Hawnula wiadomość ta tak mocno obeszła, iż omal poruszeniem jakie okazał nie zdradził się, zaczynając rozpytywać niecierpliwie.

— Możesz to być?... pewnaż to jest!...

Nie są plotki próżne?

— Najpewniejsza w świecie rzecz, odparł Bobrek. Kilkuset kopijników uzbroili, ścignawszy co najlepszych, najmeźniejszych, a dowodzi nimi Bartosz z Odolanowa i ks. arcybiskup dopomaga. Nie wiadomo jeszcze, jakim sposobem zamierzają się dostać do miasta, ale gdy raz Kraków opamię, pewnie go już z rąk nie wypuszczą.

Na twarzy Hawnuła mimowolnie odmalował się przestach wielki.

— Spiesz więc i jedź, aby o tem oznajmić — rzekł do Bobrka, który stał pilno mu się w oczy wpatrując. — Nie sądziłem, byś tak ważną sprawę miał poleconą, bo z nią prędzej trzeba było podążać.

— Nie jeszcze straconego nie ma — przerwał Bobrek — Mazury i Wielkopole nie dopiero przed samemi Zielonemi Świątkami mogą tu przybyć, a w Krakowie dosyć podszeptać co grozi, aby się wszystko w oka mgnieniu uzbroiło. Semka i panowania Wielkopolan, jak ognia się tu lękają.

I Bobrek się uśmiechał.

Klecha, ponieważ tak dobrze płacącemu panu i w Krakowie był gotów służyć, a szpiegować go razem, dodał na odjezdnem, iż radby wiedział, gdzie go w mieście miał szukać. Baczny Hawnuł jednak odpowiedział, że gospody pewnej niema i będzie się o nią musiał starać, a przez brata

Antoniusza, który do swej braci się uda, języka o nim dostać będzie można.

Bobrek z Proszowic wóz sobie wieśniaczy najawszy, pospieszył do Krakowa.

Tem niespodzianem wynurzeniem się na samem odjezdnie, Bobrek trochę nastraszył starostę i dał mu do myślenia, gdy się okazało że ów klecha chudzina biedny, bez chleba i roboty, tajemnym jakimś był posłańcem. Od kogo? nie mógł odgadnąć Hawnul.

Zabiegi więc o koronę były żywe i w pełnym ruchu; jedni ją pochwycić, drudzy niedopuścić do niej starali się; chcąc co zyskać, spieszyć było potrzeba. Hawnul nie taił przed sobą, że zadanie trudnem było.

Wypocząwszy zaledwie w Proszowicach, wdziawszy szaty takie, aby oczu nie zwracały, starosta następnego ranka podążył do Krakowa. Brat Antoniusz bardzo go z sobą do Franciszkanów pod zamek ciągnął, ale Hawnul wolał stanąć u dawniej z nim w stosunkach będących bogatych mieszczan Kecerów, z któreni niegdyś handlował. Zwierzyć się komuś, a najprędzej im musiał, z czem jechał, gdyż inaczej do znaczniejszych panów, stojących tu u stercu, Dobiesława z Kurozwęk, Jaśka z Tęczyna i innych, dostaćby się nie mógł, a bez zalecenia im i wiaryby nie pozyskał.

Z małym poczem swym szczęśliwie prze-

bywszy bramy, w których listy swe kupieckie pod pieczęcią ukazał; jechał starosta wprost na rynek do kamienicy pana Stanisława Kecera. Osobiście go nie znał Hawnul i przed wrotami stanąwszy, a o gospodarza pytając, który na ratuszu był, czekać musiał, aż go ztamtąd sługa przyprowadził.

Wkrótce nadszedł pan Kecer, jak z postawy i stroju wnosić było łatwo, człowiek zamożny i poważny. Starosta wziął go poufnie na stronę.

— Z wielką ufnością przbywam do was, — rzekł — bo nie życzyłbym, aby o mnie wszyscy wiedzieli. Wam więc tylko zwierzam, iż jestem Hawnul, niegdyś Ryżanin, dziś starosta i wójt wileński, na Litwie. Możecie mnie przyjąć gospodą?

Wiedzano tu bardzo dobrze, jakie było znaczenie Hawnula na litewskim dworze; przesadzano może nawet wpływ jego i moc, rozpowiadając, że w Wilnie wszystko się działo przez niego, i że on nie prawą Jagielly ręką, ale obie-
ma był.

Kecer, słynącego z bogactw i znaczenia człowieka, pochwycił ochotnie bardzo...

— Dom mój na usługi wasze! bądźcie w nim jak u siebie. Pozdrawiam was.

To mówiąc wprowadził go do izby paradnej, usadowił na pierwszym miejscu, wina podać kazał, konie i ludzi zabrać, żonę i córkę mu przy-

wiódt dla powitania, i troskliwie zajął się pomieszczeniem gościa.

Starosta prosił wszystkich usilnie, aby w nim nie widzieli kogo innego tylko kupca, który sukna miał na sprzedaż, imienia jego nie rozgłaszając.

Po śniadaniu, gdy kobiety odeszły, a Antoniś od progu już do swojego klasztoru, stęskniony pospieszył, siedli na poufną rozmowę. Począł starosta ubolewaniem, iż kraj tak wielki i piękny, spokoju nie miał, a Polska sobie króla dostać nie mogła.

— Tak, — rzekł Keczer — prawdziwie to nie-szczęśliwa dola nasza, iż Bóg własnym monarchom nie dał po mieczu potomstwa. Ztąd płynie wszystko. Ze śmiercią Kaźmirza skończyła się dla nas szczęśliwość wszelka. Bóg wie, kiedy spokój odzyskamy, i czy dostaniemy takiego pana jakiegoby nam potrzeba.

— Po drodze wszędzie prawiono mi, — odczwał się Hawnul — że książę mazowiecki Semko, jest tak jak wybranym na króla.

— Temu nie dawajcie wiary — odparł Keczer. — Wiemy dobrze, iż nasi panowie go nie chcą i nie dopuszczają do korony. My też jego i szlachty wielkopolskiej obawiamy się. Z nim by razem Wielkopolanie rozkazywać tu przyszli, miasta straciłyby swobody i popadły w nędzę. Niech Bóg uchwata.

— Więc jeśli nie on, to któż? — zagadnął Hawnul.

— Wielu jest za Wilhelmem Rakuzkim, któremu Jadwiga była przeznaczona. Pan ma być obyczajów bardzo gładkich, serca dobrego, choć miękko wychowany. Przeciwno niemu to jest tylko, że Niemiec krwią i obyczajem, a w Polsce mieszkać i nie zechce i nie może; my zaś króla dla siebie potrzebujemy koniecznie.

Znajdują się i tacy, co możeby chcieli małoletnią królowę trzymać tu niezaślubioną nikomu jak najdłużej, aby sami za nią rządzili. Naostatek i Władysław Opolski jako opiekun i wielkorządca ma takich co z nim trzymają.

Keczer wstrząsł się cały.

— Bóg jeden nas z tej niepewności wyrwać może...

W tem Hawnul wstał...

— Miły panie — rzekł — dla was nie byłoby na świecie lepszego pana, a dla Polski króla, jak mój pan, litewski książę Jagiełło.

Keczer stanął chwilę niemy, zdziwiony, nie mogąc zebrać myśli.

— Poganin! — zawołał, sądząc że starosta mówił to w żarcie.

— Matka chrześcianka, Rusinka, nigdy się swej wiary nie zaparła — rzekł Hawnul. — On od młodu oswojony z nią, na pół już chrześcianinem jest, a ochrzciłby się ochotnie.

Mało na tem, ale z nim cały kraj wielki nawróciłby się, wybyście mieli zasługę żeście mi chrzest przynieśli, a wam Litwa połączona dałaby potęgę wielką.

Wasza królewna stałaby się pogan apostołem!

Keczer słuchał coraz bardziej przejęty myślą tą, dla niego nową, mówić nie mógł... potrzebował długiej rozwagi nim wyjąknął bojaźliwie.

— Nie nasza to sprawa o tem sądzić i stanowić, lecz gdyby to mogło się stać... Zaprawdę wielkieby to było dzieło. Cud!

W ręce uderzył. — Jakaby to potęga urosła!!

— Tak, potęga wielka, którąby niepoczeiwych Krzyżaków trzymać można na wodzy i Ruś a sąsiednie kraje podbijać!

Długo w milczeniu patrzyli na siebie. Keczer coraz mocniej przejmował się tem i poruszał.

— Na żywego Boga — rzekł — gdyby się to ziścić mogło, co za dobrodziejstwo dla Polski.

Hawnul począł zwolna.

— Jagiełłę, jak wiecie, znam od lat wielu, przy jego boku stoję nieodstępnie, patrzę na czynności. Dla panów waszych, dla was niema drugiego króla, któryby nad niego był lepszym.

Szczodry jest aż do zbytku, łaskawy, dobry, dla swoich powolny; pobożnym będzie, bo dziś już Boga prawdziwego ledwie przeczuwając, boi się go i czei...

— Poganin! — zamruczał z boleścią Keczer.

— 'Tylko z imienia — dodał starosta — i to właśnie dla waszej sławy dobre. Krzyżacy go chcą ochrzcić. Nie wielkąż to będzie zasługą, gdy wasza Polska, ogromny ten kraj, dotąd trwający w bałwochwalstwie, prawdziwemu Bogu odda!!

Mileczeli chwilę.

— Piękneby to było, gdyby nasi panowie tę myśl wielką i szczęśliwą chcieli wziąć do serca — rzekł Keczer.

— Nikogo nie mają przecież, jeżeli Mazura nie chcą, a Wilhelm mieszkać tu nie może — odczuwał się Hawnul. — Powinni Jagiełłę wziąć, mieć będą swojego, własnego. Jeżeli Małopolska da mu koronę, będzie z nim panowała...

Nieruchło postrzegł się Hawnul, że jak na pierwsze wystąpienie, może za gorąco się wziął do sprawy... Obawiał się ją pospiechem popsuć.

Zwrócił więc zwręcznie tok jej i rozpytywać zaczął o osoby w Krakowie i tej części Polski największe mające znaczenie.

Keczer, doskonale znający stosunki, wyliczał mu panów najmożniejszych, i takich co za sobą prowadzili największe zastępy rycerstwa. Starosta słuchał. Nie wznawiał już myśli swej, ani się z nią nabijał, aby od razu nie zdradzić, że ona była celem jego podróży. Keczer i tak już mógł się tego domyślać.

Nie nacierali na siebie wzajemnie pozostając

tak do wieczora na rozhoworze na pozór obojętnym, a w istocie obu ich nauczającym. Keczer mało znał Litwę, Hawnul Polskę ze słuchów oddalonych tylko.

Nieznacznie Krakowianin przejął się myślą starosty, i nabrał przekonania, że należało choć spróbować się z niej zwierzyć któremu z panów: Dobiesławowi z Kurozwęk, lub Jaśkowi z Tęczyna. Pierwszy siłę miał po sobie, rozum drugi.

Nim Hawnul się odkrył z tem, iż życzyłby sobie myśli się zwierzyć któremu ze starszyny, sam Keczer wniósł, iż mu się to zdało dobrem.

Starosta nie napraszał się.

— Możecie to uczynić od siebie — rzekł — ale wcale nie odemnie. To com mówił jest prostym wymysłem mojej głupiej głowy. Po drodze człowiek, nie do czynienia nie mając, marzył i plótł sobie... Niech Bóg nehowa, aby posadzić mnie miano, iż mi kto polecił... albo z tem słał!... Głowąby to mógł nałożyć.

Pomimo tych zapewnień, Keczer się uśmiechnął chytrze. Znajdował Hawnula prostodusznym i niedosyć przebiegłym. Miał słuszość. Pomimo najlepszych chęci, starosta na każdym zdradzał się kroku.

Kupiec patrzył mu w oczy.

— Ktoby tam miał was posadzać — odparł — lecz gdyby z panów który wziął sprawę do serca, i chciał was wezwać na rozmowę?

Czyżbyście nie chcieli o tem pomówić i nauczyć co czynić?

Hawnul się zmieszał, czuł się pochwyconym, ręce rozpostarł, ramionami wstrząsnął, milczał.

— Cóż? — odezwał się namysliwszy — ja im to samo tylko co wam powiedzieć mogę. Bardzobym nie rad, aby się to z ust do ust rozniosło, żem ja się nie do swej rzeczy wmieszał. Mniejsza, gdyby mnie posądzano, ale pana!!

Keczer go pochwycił za rękę.

— Nie obawiajcie się — rzekł żywo. — Ja od siebie tylko i z siebie mówić o tem będę, wy możecie dostarczyć informacyi. Zostańcie w cieniu i na boku.

Milczeniem przyjął Hawnul to zapewnienie.

Oba wśród gorącej rozprawy, zapomnieli o jednym, to że z panów których potrzebowali, żaden pod ten czas nie znajdował się w Krakowie; wszyscy znaczniejsi z pocztami świetnemi wybrali się byli do Nowego Sącza, na obiecauą im oczekiwać królową.

Hawnul więc musiał pobyt swój w Krakowie przedłużyć.

VI

Na probostwie u św. Floryana, świeżo bardzo ozdobnie i chędogo z muru wzniesionem przez gospodarczego Bodzantę, który, choć arcybiskupstwo wziął, dawniejszej swej prebendy nie puszczał, przygotowywano się na jego przyjęcie. Przybycie do Krakowa było zapowiedziane.

Ksiądz wikaryusz Chotek, prawa ręka arcybiskupa, chodził zakłopotany, zajęty, opatrując wszystkie kąty, a mimo obszerności zabudowań z probostwem połączonych, znajdując, że miejsca było za mało na wygodne postawienie wszystkich koni i ludzi, którzy orszak Bodzanty składali.

Ruch na probostwie od dni kilku już był tak znaczny, iż odbywając się niemal u samych bram miejskich, uwagę mieszczan musiał zwrócić na siebie.

Badano ludzi z wiosek do probostwa należą-

cych, sprowadzonych dla stróży i posługi, coby to znaczyć miało, ale ci prostaczkowie, mało co powiedzieć umieli.

Ks. Chotek zaś porywezy i niezmiernie opryskliwy, na zadawane mu pytania, niecierpliwie fukał.

— Coż ma być? co? Arcybiskup przybywa na spotkanie królowej i królownej! Chcieliścież, aby głowa kościoła, przyjechał samowtór lub samotrzcę? bez pocztu i ludzi?

Toć i służbę z sobą mieć musi, dwór i duchownych, a jak się przynależy, i ludzi zbrojnych dla bezpieczeństwa i dostojenstwa. Gdy mi tu wszystko to zajędzie, głowa pęka, gdzie pomieszczę.

Na to mu nie odpowiadano, ale w bramie od św. Floryana, ks. Chotek dostrzegł jakąś nadzwyczajną pilność, której dawniej niebywało.

Nietylko Viertelnicy, ale zbrojni mieszczanie się tam ukazywali, chodzili, stawali w oknach, we wrotach, straż nieustannie się kręciła, z rąk berdyszów nie puszcżając.

Nad strażą miejską podówczas starszym był niejaki Wróbel, imieniem Szymko, który też całą siłą zbrojną Krakowa, składającą się i z ludzi płatnych a czuwających ciągle i z czeladzi miejskiej, zwolowywanej w potrzebie, dowodził. Każda baszta, i brama miała swoją broń, cekhaus i lu-

dzi, na obronę jej stawić się obowiązanych, gdy hasło wydano.

Wróbel, bardzo znaczny zdala, bo przerastał głową najśluszniejszych, a brodę i wąsy szczególnie miał jak miotły ogromne, krzykacz z głosem donośnym jak trąba, ruchliwy i przy ruchu ciągle się to chłodzący, to zagrzewający piwem, które dla niego cebrami noszono; w tych dniach powziął upodobanie osobliwe do bramy od św. Floryana i prawie z niej nie schodził. Głos jego czasem aż na probostwie słychać było.

Był to kat na ludzi podwładnych, a kto z nich w jego ręce się dostał, ledwie żyw wychodził. Często przypadał na niego dozór przy wyświecaniu z miasta, chłóście i targaniu końmi a biciu kołem, sam się o to napraszał, bo w tych krwawych zabawkach miał upodobanie.

Lękano się też go w mieście, a na sam głos pochwycony zdala, kostery chowali kubki i kości, niewiasty podejrzone cisnęły się do kątów, waśniący i bijący się wnet milkli i znikali.

Gdy trudnego coś a niebezpiecznego było do spełnienia, nie komu tylko jemu to poruczano. Zwracało więc uwagę świadomych, że Wróbel od kilku dni ciągle prawie u tej bramy siedział, nie schodząc z niej na chwilę.

Pospolity lud w mieście, który przyczyny pilności tej szczególnej odgadnąć nie umiał, mocno się dziwił. Niektórzy trwożyć się zaczęli, wi-

dząc, że około wrót przygotowania jakby do obrony od napaści czyniono, gdy nikt o żadnym niebezpieczeństwie nie słyszał.

Uważano i to, że stary Dobiesław z Kurozwęk, pan krakowski, kilka razy do ratusza konno dojeżdżał, z panami radnemi i wójtem się naraźdzał, a potem, jak na zwiady, aż pod bramę Floryańską się puszczał.

Naówczas Wróbel, najczęściej siedzący nad cebrem piwa, rzucał kubek i jak nawalnica, po wschodkach spadał na dół, stawał wyprostowany przed starym panem, i dawał mu, z powinnem poszanowaniem, jakieś znaki porozumienia.

Kilka dni tak zeszło na probostwie w oczekiwaniu na przybycie arcybiskupa, a we wrotach przy straży pilnej dniem i nocą.

Tymczasem w Nowym Sączu zebrani panowie dowiedzieli się, że królowa z królowną na naznaczony dzień przybyć nie będą mogły, dla wielkiego wód wylewu.

A tak, co miał wreszcie koniec być położony wszelkiej niepewności, i osierocone królestwo spodziewało się ujrzeć wkrótce na tronie córkę Ludwikową, znowu wszystko odłożonem być musiało, wszystko zachwiane zostało.

Panów i starszyznę rozpacz niemal ogarnęła z powodu zwłok tych nieskończonych. Niektórzy do Krakowa popowracali zniechęceni, inni pobiegli do Koszyc, kędy się królowa zatrzymała,

i tam wymogli od niej stanowczą nareście obietnicę, iż Jadwiga królowna, nieodzownie na św. Marcin miała przybyć do Polski.

Powrócili z tem przyrzeczeniem, Dobiesław z Kurozwęk pierwszy, potem młody Spytek z Mielsztyna, Jaśko z Tarnowa, Wicek z Kępy, Sędziwój z Szubina, wszyscy co obawiając się Semka, królowną mieć chcieli, i ci co królownej żądali dla niego, bo każdy prawie co innego myślał.

Zwłok tyle i zawodów ze strony królowej Elżbiety, wielu już do rozpacz przywodziło.

Spytek z Mielsztyna, gorliwy obrońca królowej i królownej, ledwie mógł narzekających uspokoić.

Z Koszyc właśnie powrócili posłowie, gdy w Krakowie się ten niepokój objawił.

Hawnul doczekawszy naostatek przybycia kasztelana i z nim przedniejszych panów krakowskich, miał nadzieję poselstwo swe tajemne rychło sprawić, Keczerowi w początku niełatwo było do którego z nich się docisnąć. Wszyscy strapieni nową zwłoką i zmuszeni czekać do jesieni, głowy i ochotę do sprawy publicznej tracili.

Przybył dla rozmowy z innemi, i stary Jaśko z Tęczyna, ten, który Semkowi koronę prawie z rąk wyrwał w Sieradziu.

Keczer trafił naprzód do niego.

Mąż wielkiej powagi, ale i dumy niemniejszej, Jaśko z Tęczyna mając sobie oznajmionym mieszczanina, nie posądzał nawet, aby o ważniejszych sprawach śmiał z nim mówić. Pieniężnego interesu, handlu jakiegoś, sporu mógł się domyślać.

Tymczasem rajca krakowski, dworzan i służbę liczną widząc dokoła, musiał prosić pana o rozmowę na osobności.

Podniósł brwi, zdziwiony pau z Tęczyna.

— Jakież ty tajemnice mi przynosić możesz! — ozwał się z uśmieszkciem.

Keczer bywał podczas żartobliwy i wesół, skłonił się bardzo nisko.

— Trafiło się ślepej kurze znaleźć ziarnko — rzekł — niech, miłość wasza da mi posłuchanie, a potem osądzicie, czy biedota mieszczanin prawo miał was na osobną prosić rozmowę.

— Dla samej ciekawości zaprawdę, gotowem słuchać — odparł kasztelan, ludzi odprawiając skinieniem. — Praw, proszę.

Keczer rozpoczął. Nie poszło mu wyluszczenie sprawy tak składnie jak innemu, coby słowa umiał ustawić, wygładzić i poprowadzić je jak żołnierzy do bitwy sworno, a z ładem. Jakaś się nieco, wygadał zanadto a nie powiedział dosyć, pozadzierzgiwał węzłów dużo, nie umiejąc ich roz-

platać, lecz słuchający, rozumny pan, lepiej to zrozumiał, niżeli było powiedziane.

Keczer skończywszy, niepotrzebne jeszcze dodatki czepiał, bo mu się zdało, że go może nie zrozumiano, gdy Jaśko z Tęczyua, namarszczony, po milczeniu poważnem, wykrzyknął.

— Gdyby się to stać mogło, mój Keczerze, coś tu mi przyniósł, dalbym cię ozłocić!! Zmiłuj się, dajże mi człowieka tego, o którym powiadasz. Zbawcąby naszym był, gdyby...

Nie dokończył kasztelan, składając ręce.

— Myśl z nieba przyniesiona! — zamruczał — a nikomu z nas ona nie powstała w głowie, bo któżby mógł przypuszczać, że to możliwe!!

Keczer prędko się zastrzegł, że ten „człowiek“ jak go zwał kasztelan, wcale nie chciał być ani mianowanym, ani widzianym, ani znacznym.

— Niech będzie jako chce, ale mi go daj!! — wołał Jaśko z Tęczyua. — Niechaj przyjdzie wieczorem. Zbiorę u mnie kilku, abym sam nie był, posłuchamy, rozważymy...

I powtórnie ręce zaciskając, dodał.

— Myśl to wielka, a gdyby w tem wola Boża była!!

Wstał z krzesła żywo, Keczerowi ręce obie kładnąc na ramiona... Oczy mu się paliły.

— Idźże proszę cię, wieczorem mi go daj!

Keczer już się ku drzwiom mając, zawrócił się, pokłonił i uśmiechnął.

— Miłościwy panie — rzekł — widzicie, że i mieszczanin krakowski może przynieść za nadrą coś takiego, co pańskiego ucha godne...

Jaśko z Tęczyna skłonił głowę.

Tegoż wieczora Hawnul szedł na dworzec pana z Tęczyna. Skromnie się odziewał zawsze, w Krakowie zaś umyślnie chadzał tak, aby nicyjego na siebie nie zwracał oka, lecz tego wieczora przystroił się czarno w jedwabie i aksamity, na szyję wdział łańcuch złoty i miecz przypasał, którego mu największy pan mógł pozazdrościć.

W tym stroju, postawą i twarzą na posła możnego pana wyglądał...

W izbie małej na dworcu kasztelana, nie było więcej nad cztery osoby, z gospodarzem licząc. Pomiedzy niemi jeden duchowny, bardzo malutkiego wzrostu, twarzy bladej, rozumnego wejżenia. Był to słynny swojego czasu lekarz, uczeń szkoły w Montpellier, teraz biskup krakowski, Jan z Radlic, dla wzrostu powszechnie Małym zwany, od duchowieństwa, któremu go król Lois narzucił, niebardzo lubiany, ceniony przez rozumnych ludzi.

Dobiesław z Kurozwęk sędziwy i Jan z Tarnowa, dopełniali szeszupłego grona.

Keczer wprowadziwszy Hawnulę, sam się uatychmiast cofnął.

Powierzchnowość starosty, oblicze jego rozumne i myślące, postawa pańska, uśmiech łago-

dny, dobrze dlań wszystkich usposobiły. Wiedziano i tu o nim, jako o powierniku i ulubieńcu Jagielly.

Powitany przez gospodarza, zaczął od tego Hawnul, iż wytłumaczył bytność swoją przypadkową, zastrzegł jak najuroczyściej, że żadnego zlecenia nie miał i mieć nie mógł, nie wiedząc jaki stan rzeczy tu zastanie... Myśl, którą podawał, była własnem jego natchnieniem.

— Miłościwi panowie najlepiej osądzić potraficie, czy możliwem jest, aby się dwa wielkie państwa, dotąd nieprzyjaźne połączyły, przyczemby Chrystusowi i kościołowi tysiące dusz przybyło.

Biskup Radlica poruszył się, oczy podnosząc do góry...

— Ale jestże wielki książę wasz przygotowanym do przyjęcia naszej świętej wiary? — odezwał się pierwszy.

— Matka co go wychowała, jest chrześcianką — odparł Hawnul — on w duszy chrześcianinem już jest, a cnoty ma wielkie...

Wszyscy milczeli, Hawnul się ożywił.

— Urodziłem się chrześcianinem — rzekł — wśród pogan wiarę tę wyznaję i krzewię, nie dziwna więc, że mnie ta myśl unosi, iż Jagielle tron ofiarując i rękę waszej królowej, dalibyście kościołowi państwo całe, Ojcu Świętemu całe stadko owieczek nowych, a szatanowi i zakonowi niemieckiemu z paszczy byście je wydarli.

Wspomnienie o Krzyżakach, tych nieprzyjaciółach Polski, z którymi ojciec Kaźmirza bojować musiał, we wszystkich się piersiach odbiło.

Jaśko z Tarnowa zawołał.

— Złamanąby była na zawsze ich potęga, kto wie, odzyskalibyśmy może Pomorze.

Zarzucano pytaniami Hawnulą, dowiadując się szczególnie o charakter Jagiełły, z widocznym niepokojem o to, że nawykły do rządzenia krajem pogańskim, bez wszelkich ograniczeń prawa, szlachcie i panom mógłby ująć ich przywilejów i swobód.

— Pan to jest serca dobrego, sprawiedliwy, łagodny — odparł Hawnul. — Na tron go biorąc, wszakżebyście prawa swe zastrzegli, a on przysięgą je stwierdził.

Badano potem o Litwę i Krzyżaków.

— Mistrz Czolner — rzekł starosta — układy rozpoczął już o przymierze z Jagiełłą, kładąc chrzest za warunek... Jeżeli ten go sobie pozyszcze, a Litwa się z zakonem połączy, dla Polski będzie to groźnem. Odwrócić może to niebezpieczeństwo tylko połączenie Litwy z Polską.

Nikt na to nie odpowiedział. Spojrzano po sobie. Zadawano znowu pytania różne. Hawnul na wszystkie odpowiedzi umiał, nalegając szczególnie na zasługę Polski względem kościoła, na chrzest pogan, i na siłę, jakąby zyskali w nich Polacy.

Tak do północy prawie trwały badania i ciche rozmowy, a gdy naostatek Hawnul żegnając się oświadczył, że musi powracać do Wilna, uproszono go o jeszcze jedną naradę.

Gdy wyszedł, wszyscy przytomni długo stali przygnieceni myślą tą, która w chwili zwątpienia spadała jakby z niebios przez opatrność zesłana. Nie śmieli wierzyć, aby nadzieja tak łudząca, tak promienna, mogła się ziścić.

— Zaprawdę — zawołał Jaśko z Tęczyna — Wielkopolska nie śmiałaby nam już narzucać swego Semka, ani królowa Rakuszanina.

Pozbyć się wroga, zyskać wiekuistego sprzymierzeńca, ochrzcić cały kraj, wyrwać Niemcom pastwę, na którą czyhają!!

Wszystko to wydawało się tak wielkiem, tak świetnem, a panowie krakowscy czuli się powołanymi do takiego dziejowego cudu, który świat miał zdumieć, że serca im wzbierały dumą.

Wszyscy widząc ważność niezmierną tej myśli, która zdradzona zawczasu mogła być podstępnie podkopaną, zobowiązali się uroczystem słowem do zachowania jej w tajemnicy.

Potrzebowali się naradzić nad tem, komu ją ze swoich powierzyć mieli i co przedsiębrać, aby przyprowadzić do skutku rzecz tak trudną, której tylu nieprzyjaciół musiało stawiać na przeszkodzie.

Jaśko z Tarnowa wnosił, ażeby z Hawnulem

wysłać kogoś, coby na miejscu sprawdził położenie, usposobienia wy badał, starał się widzieć Jagiełłę i wyrozumieć warunki.

Na to potrzeba było kogoś wybranego bacznie, a znalezienie człowieka, zachowanie tajemnicy, wszystko niezmierne nastreżało trudności.

Późno w noc rozeszli się wszyscy od kasztelana, pod brzemieniem zadania, które tak wiele obiecywało...

Nazajutrz rano stary pan z Tęczyna, po namyśle krótkim, uznał koniecznem przypuścić do tajemnicy młokosa, jak go między sobą starsi nazywali, który, pomimo wieku swojego, tak ważne zajmował stanowisko.

Cóż tu się mogło podówczas dokonać bez wiadomości i współudziału Spytka z Mielsztyna?

Osiemnastoletni chłopak ten, był nietylko ulubieńcem królowej, nietylko zwał się panem wojewodą krakowskim, i nosił piękne imię, władał ogromnemi majątnościami i należał do jednego z potężniejszych rodów w Małopolsce, był to rzeczywiście zdumiewających zdolności i na swój wiek dojrzałości, powagi a razem energii i męstwa człowiek... Można było w sędziwszem gronie uśmiechać się z tego tonu, jaki sobie nadawał chłopak, któremu za ledwie się na rumianej twarzy zaczęły wąsik wysypywać, lecz gdy usta otworzył, a mówić począł, trzeba mu się było zdumiewać i poszanować go.

Dlatego Jaśko z Tęczyna nie mógł kryć przed nim ważnej sprawy, która bez jego przyczynienia się do skutku by nie przyszła.

Dwór Spytka odpowiadał jego charakterowi i wiekowi. Był pański, książęcy prawie, do zbytku liczny, wystawny, świetny, a z fantazją pańską dobrany.

Z całej niemal Europy pościągani otaczali go ludzie, wszelkich powołań, spełniający przy osobie jego najrozmaitsze obowiązki. Sekretarze, lektorowie, łowcy, sokolnicy, lutniści, śpiewacy, płatnerze, mistrze turniejowi, kuchmistrzowie, szatni, pościągani byli z Włoch, Francji, Niemiec, Węgier, Hollandji i Anglii nawet.

Spytek miał na wszystko czas, i po młodemu wszystko go nęciło i zabawiało, każda nowość pociągała. Zabawy i rozrywki najrozmaitsze nie przeszkadzały mu naradzać się nad sprawami kraju, i równie gorąco je brać do serca, jak polowanie z sokoly i rycerskie gonitwy.

Podwórzec dworu przedstawiał obraz tak ożywiony i malowniczy, ze swemi koniami, wozami, namiotami, ludźmi w strojach najosobliwszych, z wrzawą i ruchem, które o żywym temperamencie pana domu świadczyły, że stary Jaśko z Tęczyna, zatrzymał się chwilę, aby rzucić okiem na to osobliwe zbiorowisko ludzi.

Wszyscy oni zdawali się spieszyć i gorącz-

kowo spełniać swe obowiązki, aby młodemu a niecierpliwemu panu dogodzić.

Wesołość twarzy i głosów przekonywała, że ten pan, dla którego uwijano się tak żwawo, nie musiał być ani zbyt surowym, ni straszny.

Ogromna sień we dworcu była pełną jak podwóree, ale tu, wśród dworzan i służby, znacniejszą część ciżby stanowili klienci, przybywający ofiarować swe usługi, ludzie przynoszący podarki lub osobliwsze przedmioty na sprzedaż. Można pan płacił dobrze, miewał fantazyę, napraszano mu się więc ze psy, ptakami, kołmi, bronią i t. p.

Ledwie się tu można było przecisnąć, a drzwi czeladź pilnować musiała, aby się nikt nie wdarł niepowołany.

Kasztelan a pan z Tęczyna nie potrzebował się ani prosić ni czekać, otworzono mu drzwi do wielkiej izby, w której znalazł kilku wybranych, poufalszych, oczekujących także na posłuchanie. Sala ta przestronna, cała w oponach pościanach, w kobiercach, z ławami wysłanemi wygodnie, lśniła od przepychu.

Nie było w niej gospodarza, głos jego dochodził żywy, poruszony z drugiej obok komnaty, w której prowadzono rozmowę bardzo roznamiętnioną. Jaśko z Tęczyna rozpoznał w niej grubo stłumiony głos Dobiesława z Kurozwęk.

Gdy drzwi otworzył znalazł ich tu dwu w isto-

cie, w niewielkiej komnatce stojących przeciwko sobie; starego pana krakowskiego z obliczem zarumienionem, i młodego Spytka, w wytwornym stroju rannym, z oczyma iskrzącemi się życiem, który zdawał się gwałtownie o coś Dobiesława naglić i napierać.

Ujrawszy Jaśka z Tęczyna, zwrócił się młody pan z Mielsztyna i urywając rozmowę z poszanowaniem go przyjął. Twarz mu drgała jakimś poruszeniem niemal gniewnem.

Jeszcze nie usiadł pan Tęczyński, gdy Dobiesław z tą flegmą, jaką daje wick zwrócił się ku niemu.

— Wiecie — rzekł — że wieści chodzą jakoby Semko Mazowiecki jechał z Arcybiskupem i Bartoszem z Odolanowa, w pięćset kopijników Kraków zajmować?

Kasztelan głową dość obojętnie potwierdził, że już miał o tem wiadomość.

— Wszakże wiem, żeście przeciwko temu stosowne przedsięwzięli środki — odezwał się spokojnie.

— Mnie to oburza! — wykrzyknął namiętnie młody Spytek. — Co za zuchwalstwo targnąć się chcieć na stolicę, koronę chcieć wziąć gwałtem, dlatego, że mu ją drobnej szlachty odartej gromadka ofiaruje...

Więc my już tu nie znaczymy nic? Wielkopolska ma nam prawa dyktować!

Ale mamy królowę, jeżeli króla nie mamy — dodał Spytek patrząc w oczy Jaśkowi z Tęczyna, który milczał — a dla naszej pani pewnie Mazura za męża nie wybierzemy!!

Zwrócił się do Dobiesława.

— Panie kasztelanie, potrzeba środki takie przedsiębrać...

— Uspokójże się, gorąca krwi — przerwał powoli pan z Knrozwek — od dawna środki są przedsięwzięte... Niema niebezpieczeństwa...

— Jakto niema — zawołał Spytek — my przeciwko pięciuset kopijnikom Bartosza z Odolanowa nie mamy wcale kogo postawić. Siła jaką rozporządzamy jest niewystarczającą... Ta czeładź mieszczańska, od szydła i hebla... to się nie na wiele zdało.

Dobiesław z pod wąsa się uśmiechał.

— Dostateczna będzie na odparcie siły, która, powiadam wam, gdy przed nią bramy zamkniemy nie może się ważyć szturmować.

Semka prowadzi arcybiskup i nie dopuści do starcia.

— Ale ja! — gwałtownie wtrącił młody Spytek — ja nie wierzę waszym mieszczanom i ich straży... Mogą się dać podejść, przekupić, uchylać wrota, wpadnie ich tu garść i Kraków przepadł!

Jaśko z Tęczyna słuchał, młody pan oczyma go wyzywał, aby się odczwał i dał swe zdanie.

Dobiesław także obracał się ku niemu... Miał się stać rozjemcą między kasztelanem a wojewodą.

— Niebardzo się ich lękam — rzekł powoli pan z Tęczyna — chociaż Bartosz z Odolanowa nie jest do lekceważenia. Nietylko rycerz odważny, ale człowiek zuchwały i przedsiębiorczy... Ufam jednak, że trwożliwego ducha arcybiskup obu ich powstrzyma i nie dopuści do jakiegoś szalonego kroku...

— Toż samo twierdzę — rzekł krótko Dobiesław, — który wymownym nie był. — Czuwam i nie boję się.

— Arcybiskup dziś tu przybywa — przerwał Spytek — Semko ma być z nim, otwarcie, czy skrycie... Ja pierwszy pojadę naprzeciw Pasterzowi, aby go powitać, ale zarazem oświadczyć, że my Semka znać nie chcemy!!

Jaśko z Tęczyna brodę pogładził.

— Żywość swą uśmierz nieco — rzekł — nie mamy potrzeby mówić o Semku, bo my dotąd możemy nie wiedzieć o jego staraniach i wymaganiach.

Sądzę nawet, że nieświadomość ta lepiej nam przystała.

Nie puścim nikogo, a Semka!! my nie znamy.

— Mamy królowę! — powtórzył Spytek — mamy panią, a o panu pomyślemy wraz z nią, gdy naostatek ona tu przybędzie...

Jaśko z Tęczyna wstał i poszedł przymknąć

drzwi na pół otwarte. Potem nie siadając już zbliżył się do Spytki, okiem pytając Dobiesława...

— Słyszeliście już co od niego?

— O czym? — żywo odezwał się niespokojny Spytek.

— O naradzie wczorajszego wieczora.

— Ale ja nic nie wiem — z wielką niecierpliwością rzekł gospodarz — pan Dobiesław nie mówił mi nic.

— Nie miałem czasu — odparł stary powolnie — zakrzyczeliście mnie tym Semkiem.

Spytek z natężoną ciekawością przybliżył się do Jaśka z Tęczyna.

— Dla naszej przyszłej królowej — rzekł cicho — męża nam rają.

Gospodarz rozśmiał się.

— A! już! — zawołał — to trochę zawczesnie. Gdybyśmy ją nieii!

Kasztelan zwolna, spokojnie, jak był zwykł rozpoczął opowiadanie, którego młody pan słuchał z uwagą wielką. Twarzyczka jego chmuryła się, posepniała, marszczyła, wyrażała zdziwienie, a gdy Jaśko dokończył, ponimo popędliwości swej, Spytek nie zebrał się na żadną odpowiedź. Myślał i widać było, że z tym wnioskiem tak nowym a niespodzianym oswoić mu się było trudno. Może on burzył jakieś osnute

plany młodzieńcze. Naostatek dość nieśmiało, rzekł Spytek.

— Nie wiem, co odpowiedzieć na to. Zdaje mi się wszakże, iż swaty są zawczesne. Nasza królowa przyszła jest za młodą jeszcze, a co gorsza, my jej nie mamy... Nie godzi się odtrącać tak wielkiej myśli, lecz dziś, możemyż my cokolwiek przedsiębrać na jej korzyść? Dziś wszystko na tem leży, by nam dano tę naszą królowę...

— To nie przeszkadza, byśmy się zabezpieczyli od Semka — odezwał się pan z Tęczyna — a najlepszą tarczą przeciw niemu będzie dla nas Jagiello.

— Nie przeczę — odparł młodzieniec — wy czynicie, co wam rozum i doświadczenie dyktuje; co do mnie, ja naprzód chcę wyteńczyć wszystkie siły, aby pozyskać Jadwigę. Ona lepiej nas od Semka obroni, nad zastępy wojowników. A będziemy li ją mieli w Krakowie, naówczas nam jej Wielkopole nie wydra. Potrafimy bronić.

Zamilkli wszyscy na krótką chwilę, i Spytek się zadumał, lecz zaraz przerwał i otrząsł myśli natrętne, wracając do pierwszego przedmiotu, i ku Dobiesławowi się pochylając.

— Kasztelanie, dziś przedewszystkiem Semko... Semko! Precz tego zuchwałego przywłaszczyciela odegnać potrzeba, którego nam narzuca Wielkopolska... te panosze odarte i scier-

ciałki. Ja się zbroję, odziewam, dwór mój cały sadzam na konie, i stoję w gotowości...

Dobiesław się uśmiechał.

— Nie sądzą, abyście byli potrzebni. Ja z moją załogą i mieszczany starczę.

Spokój ten, jaki kasztelan okazywał, nie uśmierzył niecierpliwości młodego pana, który więcej się pono Semka lękał, niż myślał o Jagielle. Sprawa ta zdawała mu się tak jeszcze daleką, tak nie na czasie, iż zbywał ją prawie obojętnością.

Zawiódł się więc kasztelan stary, przybywając tu z nią, i rachując na poparcie młodego wojewody.

Dobiesław z Kurozwęk wziął za kołpak i zabrał do odjazdu, a gospodarz niespokojny poszedł go odprowadzić, po drodze jeszcze zalecając pilność największą. Wróciwszy dopiero zwrócił się ku milczącemu gościowi swojemu.

Jaśko z Tęczyna wznowił rozmowę o Jagielle z wielkiem przejęciem nawracając Spytka, który słuchał, nie zaprzeczał, a jednak goręcej się tem zając nie chciał.

— Panie mój — rzekł w końcu — jam młody, i może wiek mój winien, że w oddaloną przyszłość patrzeć nie umiem, a zajmuję się tem, co tuż jest przedemną. Wy, ojcowie, radźcie o przyszłości, naszą sprawą, abyśmy jej sobie przez takiego Semka wydrzeć nie dali...

Na wspomnienie księcia Mazowieckiego, twarz mu krwią zapłynęła.

— Nie rozumiem, dlaczego wy kasztelanie, mojego oburzenia nie podzielacie przeciw temu gwałtowi, jaki nam chcą zadać, wy, coście przecie sami koronę mu z rąk wytrącili — począł znowu Spytek.

Semko, to panowanie nieokrzesanej drobnej szlachty wielkopolskiej, to tyrania nad nami. Ma w swych żyłach krew ojca, dziki będzie jak on.

— Lecz niema obawy, zaprawdę — odpowiedział Jaśko — ażeby nam go narzucono...

— Czuwać musimy! — zawołał uparty Spytek...

Niemogąc więcej wymódlz na nim, Jaśko z Tęczyna, zalecając tajemnicę, pożegnał rozgoryczkowanego...

Zaledwie odjechał ode drzwi, gdy Spytek narzuciwszy lekką suknię zwierzchnią i wdziawszy czapeczkę z piórem, z mieczykiem małym, siadł na konia, którego mu podano. Nikomu sobie towarzyszyć nie kazał i żywo puścił się na miasto.

Ulice, pięknego tego dnia majowego roiły się ludem, który i z okolic napływał i w samym mieście zdawał się ciepłem słonecznem z wnętrza domów wyciągnięty.

Grodzka i Floryańska szczególnie, rynek, Sukiennice pełne były czeladzi, mieszczan, kupców, przekupniów, wozów i konnych.

Nie było to życie spokojne dni zwykłych, w których szczególnie o chleb powszedni zabiegają wszyscy i nim są zajęci; wśród tłumów widać było na pół uzbrojonych, niosących broje i miecze, spieszących z nimi ku bramie Floryańskiej, lub biegnących do domostw.

Jednych, jak młodzież zdało się to bawić, drugich niepokoić. Starsi stawali i dopytywali troskliwie, co by to znaczyć miało.

Im bliżej ku wrotom, tem tłok był większy i ruch wyrazistszy, a wrzawa krzykliwsza. Zdała już widać było Wróbla wydającego rozkazy, i Viertelników niknących w ciemnych wnijściach, a ukazujących się potem w oknach i basztach.

Pomimo dnia, wrota były zamknięte. Straż gęsta przy nich stała.

Znano młodego wojewodę nadto dobrze, aby na widok jego, gdy w bramę samą wjechał i skinął, nie otwarła się ona natychmiast... Lecz zaledwie próg jej przebył, równie szybko zamknięto wrota z trzaskiem, tak że koń Spytka, młody i żywy, poskoczył z nim przestraszony.

Spytek wprost pojechał na probostwo Św. Floryana.

Tu również jak w mieście było ludno, nadciągały bowiem właśnie wozy ładowne i dwór arcybiskupi.

Ks. Chotek, zajęty rozmieszczeniem, uwijał się, głosem donośnym wydając rozkazy. Wojewoda

zatrzymał się chwilę przed bramą, przypatrując wozom i czeladzi arcybiskupiej, gdy ks. Chotek zobaczył go i pozdrowił.

— Gości się spodziewacie? — odezwał się do niego Spytek.

— Nie, panie wojewodo, gospodarza tylko, rzekł żywo wikary, ks. arcybiskup przybywa dziś wieczorem.

Gdy to mówił, młody pan już zsiadał z konia i pierwszemu lepszemu pacholęciu, jakie się nastręczyło, dając go trzymać, zbliżył się do ks. Chodka.

Odwiedziny te wojewody, w tej właśnie chwili, nie było bez znaczenia, a wikary choć wiele miał do czynienia, zmuszonym był je przyjąć.

— Dwa słowa, księżc kanoniku — odezwał się wojewoda, wstępując na ganek probostwa i czekając, gdzieby go wejść prosił wikary.

Ten pospieszył drzwi otworzyć na prawo i ręką wskazał wielką komnatę sklepioną, oknami wązkimi oświeconą, weszli do niej razem.

Wikary patrzył w oczy gościowi, oczekując rozwiązania zagadki tych odwiedzin. Spytek z całą żywością swych osiemnastu lat, począł natchmiał.

— Arcybiskup przybywa dziś — nieprawdaż?

— Tak jest panie wojewodo...

Gość tylko spojrzał na księdza.

— Nie sam pono? — spytał.

Ks. Chotek pochylony nieco odprostował się, pytanie mu się dziwnem wydało.

— Jak to, nie sam? W istocie z należytem orszakiem.

— W pięćset kopijników — rozsmiał się Spytek — jak na pasterza, to w istocie orszak okazały bardzo.

Wikary ramionami poruszył, odpowiedź była trudna, pomyślał.

— O liczbie ludzi nie wiem, — rzekł — ale, że pod te czasy zbrojonych mieć musi, to nie dziwota...

Spytek szydersko usta ściągał.

— Mój ojciec, — rzekł — ja tu umyślnie przybyłem was ostrzedz i arcy-pasterza, którego szanuję. Pod te czasy, gdy arcybiskup musi jeździć z ludźmi zbrojnymi, my też pilnować się i czuwać jesteśmy obowiązani, szczególnie, nad grodami nam powierzonymi.

Ostrzeżcie jego miłość, iż tej siły zbrojnej, podobno znacznej, my nietylko do miasta nie wpuszczimy, ale jej pod bramami jego, jak groźby długo cierpieć nie będziemy.

Wikary milczał jeszcze, nieco strwożony tem co słyszał, gdy Spytek dodał.

— Otwarcie wam powiem mój ojciec. — Chodzi tu pogłoska, pewno nie płonna, że w orszaku arcybiskupim ma się z najdować Bartosz z Odo-

lanowa, a drndzy twierdzą, książę Semko mazowiecki.

Żywo przerwał ks. Chotek.

— Nic nie wiem! nie wiem, ale nie sędzę, ażeby ks. Semko, jeśliby wistocie miał towarzyszyć arcybiskupowi, chciał się z tem tać.

Przecież to do tronu wybrany...

Wojewoda nie dał dokończyć wikaremu i parsknął śmiechem urągliwym.

— Semko mazowiecki na tronie! zaprawdę nigdy on nie siedzie na nim... Ani on, ani Wielkopoleanie tu rządzić nie będą nigdy!

Wikary stał zmieszany tem gwałtownem i zbyt otwartem wystąpieniem, gdy wojewoda obojętniej dorzucił.

— Przybyłem z przestrogą. Jesteśmy w gotowości do odparcia wszelkich zachciauek: niech więc nadaremnie nie próbują.

Okiem rzuciwszy po obszernej komnacie, której całą ozdobą był krzyż i parę małych obrazków na ścianach, wojewoda skłonił się nieco i zabrał do wyjścia. Ks. Chotek nie mogąc jeszcze przyjść do siebie, towarzyszył mu milcząco.

W progu Spytek się obejrzał, jakby wyzywając do odpowiedzi, ale wikary, żywego, jak on temperamentu, lękał się wdać w rozprawę z wojewodą, któraby łatwo w spór przejść mogła, mruczał coś cicho, niewyraźnie.

Wojewoda wypadłszy w podwórze, począł

się przypatrywać przybyłym wozom, na których łatwe były do rozpoznania namioty, zapasne kopie i przybory wojenne; poruszył znacząco ramię, siadł na swego konia, rzuciwszy chłopcu pieniądz srebrny, i nazad ku Floryańskiej udał się bramie.

Ks. Chotek nie był wprowadzie zawiadomiony ani o Bartoszu z Odolanowa, ani o księciu Semku, wiedział tylko o poczie zbrojnym, domyślał się go z wozów przybyłych, ale — coś podobnego przeczuwał. Ostrzeżenie Spytka utwierdziło go w tem przekonaniu. Zachmurzył się przewidując, że słabość Bodzanty, dającego łatwo sobą zawiadnąć, gotuje mu nowe zawikłania i trudności.

Tymczasem poprzedzające arcybiskupa podwody, konie, czeladzie ciągle przybywały. Liczba ich, do pomieszczenia trudna, coraz bardziej zasępiła czoło wikarego.

— Bylebyśmy nie odpokutowali za to! — mówił w duchu. — Króla koronować i namaszczać, rzecz to arcybiskupia, ale go ludziom narzucać...

Spojrzenie ku Floryańskiej bramie przekonać mogło ks. Chodka, że wistocie o wciśnięciu się do miasta, inaczej jak siłą, ani myśleć nie było można. Mury i baszty pełne były ludzi zbrojnych, a ku wieczorowi liczba ich się jeszcze podwoiła.

Zmierzchać zaczynało, gdy goniec kouny nadbiegł oznajmując przybycie Bodzauty. Uderzono we dzwony u Św. Floryana, i na znak ten jedne

po drugich wszystkie w mieście odzywać się zaczęły...

Arcybiskup jechał na wozie odkrytym, wysłanym suknem szkarłatnem, przez krucyfera poprzedzany, otoczony dworem mnogim konnych... W prawo i w lewo tłoczył się lud z przedmieść ciekawy, a Bodzanta podniesioną ręką go błogosławił.

W orszaku jego, ks. Chotek, który w komży ze święconą wodą na spotkanie Pasterza wyszedł przed probostwo, dostrzegł zaraz dwóch rycerzy w całych zbrojach, z zapuszczonymi przyłbicami. Oba oni jechali nie przodem, ale wśród innych, przeto otoczeni tak, jakby nie bardzo chcieli być widzianymi.

Za arcybiskupem i za nimi, las cały kopij widać było.

Na pierwszy rzut oka poznał ks. Chotek prawdę słów wojewody; orszak arcybiskupi był za silny na obronę osoby jego, żołnierz ten inne musiał mieć przeznaczenie. Nie zaciągając nawet w podwórze probostwa, pułk kopijników wprost się posunął krokiem wolnym ku bramie Floryańskiej, tak, jakby miał zamiar wniknąć do miasta.

Lecz dowodzący, pomiędzy którymi byli i dwaj z zasłoniętymi twarzami rycerze, spostrzegli zawczasu, że brama była zawartą i strzeżoną.

Zatrzymali się więc; krótki czas trwało jakieś wahanie, potem kilkudziesięciu kopijników posunęli się naprzód, wprost na wrota.

Na murach stali milczący ludzie, po nad ramionami których, gdzieś tam sterczały berdysze. Kopijnicy podnieśli głowy. Kilku z nich podjechało do samych wrót i uderzyło w nie z lekka kopiami. Wrota zatętniały głucho.

Ponieważ oddział nie ściągnął się cały jeszcze a coraz nowe mn przybywały posiłki, wkrótce plac cały przed bramą, dokoła jej pod murami zappełnił się tym ludem zbrojnym.

Z nad bramy nie odzywano się, a i kopijnicy, którzy z koni zsiadać poczęli, między sobą tylko się nawoływali.

Czas jakiś trwało obustronne wyczekiwanie.

Wtem mała furta otworzyła się żywo, trzech ludzi w strojach mieszczkańskich wyszło z niej, i obejrzawszy się zmierzało ku probostwu.

Niełatwo było przecisnąć się między ludźmi i końmi, lecz może w nadziei, że coś dobrego z sobą niosą, puszczono ich dalej.

Arcybiskup, pomodliwszy się w kościele, właśnie powracał na probostwo, gdy mu ks. Chotek dał znać o posłach z miasta.

Gdyby nie wiedziano o zamiarach z jakim arcybiskup przybywał, i kogo z sobą prowadził, twarz biednego kapłana, trwożliwie złożone ręce

jego, wejrzenie nieśmiałe i niespokojne byłyby go zdradziły.

Na czele poselstwa stał radny miasta, który od pocałowania ręki arcypasterza¹ rozpoczął i westchnął ciężko.

— Przychodzimy powitać waszą pasterską miłość, pokłonić się jej i prosić o błogosławieństwo.

Tu otarł pot orator i zadławił się.

— Mamy też zlecenie od pana krakowskiego, — dodał — tyżące się orszaku zbrojnego miłości waszej.

— Właśnie, — odezwał się głosem trochę niepewnym Bodzanta, — nie mam go tu gdzie pomieścić. Spodziewałem się, że mi ludzi moich na gospody do miasta wpuścicie.

Mówiący zamilkł trochę.

— Rozkazanie jest dla wszystkich — rzekł po namyśle — w ogóle zbrojnych do miasta nie puszcząć. Nie możemy uczynić tego...

Mówił jeszcze, zakłopotany wielce orator miejski, nie śmiejąc ostrzej i stanowczo przeciwko duchownemu wystąpić, gdy szmer się dał słyszeć w dziedzińcu, potem w sieni, i malutka, z twarzą cierpiącą postać biskupa krakowskiego Jana z Radlic ukazała w progu.

Natychmiast czując, że to go może od ciężkiego uwolnić obowiązku, poseł miejski cofać się zaczął do progu.

Wstał ks. Bodzanta i serdecznym uściskiem przyjął biskupa, którego około siebie posadził.

Rozmowa zaczęła się cicha, tak cicha, że jej posłowie nawet, stojący opodal nieco, słyszeć nie mogli. Bodzanta wydawał się strwożonym i niespokojnym.

— Ludzi moich nie chcą wpuścić do miasta — rzekł.

— Tak, i przybycie ich zrobiło tu niepokój wielki — odpowiedział Radlica. — Nie będę wam tań tego... Siłę nawet całą zbrojną miejską zwołano na obronę...

Bodzanta poruszył się niespokojnie.

— Powszechnie utrzymują — dodał biskup — że prowadzicie z sobą Semka Mazowieckiego...

Twarz arcybiskupa okryła się rumieńcem, załamał ręce, nie umiał nic odpowiedzieć.

— Jeżeli tak jest, a nawet gdyby to tylko było posądzenie fałszywe, miasto pozostanie zamkniętem, gotowo jest bronić się i siłą odpierać.

Arcybiskup milczał wpatrując się w Radlicę.

— Ma więc tu ten wybrany od narodu nieprzyjaciół tak zawziętych? — zapytał cicho.

— Niestety — mówił dalej biskup spokojnie — ma ich dosyć. Prawie wszyscy Krakowianie słyszeć o nim nie chcą, a najsilniejsi z nich Dobiesław z Kurozwęk i młody wojewoda są najzawziętшими.

Nie kuście się o rzecz niemożliwą — dodał Radlica,

— Zawczasu więc tu — począł arcybiskup smutnie — wieść tę przyniesiono, puszczo...

— Od dni kilkunastu bramy są strzeżone —
odparł biskup.

Zaczęli szeptać po cichu.

Gdy się to działo na probostwie, z szeregów kopijników dwaj przyłbicami zakryci rycerze wystąpili, zsiadli z koni, i żywym krokiem biegli tu także. W ganku jeden z nich rzucił pytanie, czy sam był arcybiskup, i po otrzymaniu odpowiedzi, weszli naprzeciw do izby niezajętej.

Kilku księży znajdujących się tu, natychmiast zobaczywszy ich, ustąpiło.

Pierwszy który hełm zdjął i rzucił go na stół ze szczękiem wielkim, był książę Semko. Twarz jego pod przyłbicą rozgrzana, okryta potem, była straszną wyrazem gniewu do najwyższego stopnia podnieconego.

Drżał cały, słowa nie mogąc wyrzec. Tak samo dwie rękawice żelazne ściągnął i cisnął precz...

Z pod drugiego hełmu, ukazała się męzka, spokojniejsza twarz Bartosza z Odolanowa, który czoło miał zmarszczone, lecz panem był siebie.

— Zatem zdradzono nas! — krzyknął książę — wszystko stracone, a ja znowu na urągawisko ich będę wystawiony! Lecz, na Boga, nie o koronę idzie, o cześć.

Głos mu drgał przerywany.

— Pięciuset takich ludzi jakich my z sobą mamy, starczy na zdobycie bramy... Siłą ją weźmiemy...

— Niepodobieństwo — rzekł zimno i powolnie Bartosz. — Naprzód potrzeba wyczerpać wszelkie środki...

— Żadnych nie pozostało.

— Czekam na wiadomość z miasta — dodał starosta — nie straciłem nadziei.

Semko rzucił się rozpaczliwie na ławę.

— Wszystkie te skryte i tajemne roboty, zyskiwania ludzi, rachuby na nieopatrnych, nie zdały się na nic. Miecza dobyć i mieczem trzeba zdobyć, czego inaczej mieć nie można.

— Na to czas przyjdzie — odparł Bartosz — lecz Kraków, gdybyśmy go dziś w ten sposób posiadli, jutroby nam był wydarty, a sprawie miłości waszej, stałaby się krzywda.

— Sprawie mojej już się nic gorszego stać nie może nadto co jest — wybuchnął Semko. — Mam ją za straconą...

— A ja wierzę w nią i trzymam za wygraną, nawet gdybyśmy Krakowa nie mieli w ręku.

Książę przerwał gwałtownie przekleństwem jakimś bezmyślnem. Patrzył nań Bartosz jak gdyby czekał uspokojenia, lecz to nie przychodziło.

Czas upływał, mrok wieczora coraz gęstszy zapadał. Z podwórców dochodziły wykrzyki żołnierzy i szmery. Siedzieli w ponurem milczeniu, gdy ks. Chotek drzwi uchyliwszy, wezwał ich do arcybiskupa.

VII.

Bobrek przybywszy do Krakowa na zwykłą gospodę, która wszystkim jemu podobnym wysłańcom krzyżackim służyła, nie próżnował ani godziny.

Natychmiast przestrogę o nadciąganiu Semka przesłał panu krakowskiemu, który, zkądiną już będąc zawiadomionym, miał się na baczności.

Obowiązek więc swój spełnił, ale było w nim coś natury kreta, który, nawet bez potrzeby musi się kopać pod ziemią, coś knuć i komuś szkodzić. Starał się więc korzystać ze swojego pobytu w Krakowie, dla wywiedzenia się o położeniu, o usposobieniach, o tem jak tu stała sprawa Semka, i co myślano z trzynastoletnią królewną a przyszłą królową. Wieści chodziły że matka jej Elżbieta, na usilne nalegania panów małopolskich, godziła się na to, aby im dać swo-

bode, nie wiązać Wilhelmem Rakuzkim, i zostać wybór męża i panującego.

Dla panów zakonu teutońskiego było rzeczą największej wagi, kto mógł być tym przyszłym mężem młodziuchnej królowej.

Pomimo zabiegów i starań, aby się czegoś dowiedzieć pewnego w tej mierze, Bobrek nie nie pochwycił, bo albo jeszcze stale nie było nie postanowionego, albo się z tem tajono.

Można się było domysleć, że panowie mało-polscy, w których ręku miała pozostać królowa, chcieli zwlekać z wydaniem za męża, aby jak najdłużej w miejscu jej rządzić.

Bobrkowi szło o to, aby zawiózł Krzyżakom pewność, iż w żadnym razie Semko tym wybranym nie będzie, a w Krakowie zapewniono go najmocniej, iż głównie Spytek z Mielsztyna, z nim Jaśko z Tęczyna i inni byli jego nieprześląganymi przeciwnikami.

Dowiedział się też wypadkiem, że przybywający Semko, oprócz nadziei opanowania Krakowa, miał i drugą, że od tutejszych żydów potrafi dostać pieniędzy.

Abram i Lewek dwaj najmajętniejsi ówczesni Izraelici, którzy oprócz tego co sami mieli, władali tem co w rękach ich współwyznawców było, zobowiązali się zawczasu dostarczyć księciu mazowieckiemu sumę, jakiej potrzebował.

Bobrek dowiedziawszy się o tem, nie tracąc

czasu, w towarzystwie Bieniasza, udał się do Lewka, który sprawę tę miał w ręku. We dwu razem usiłowali przekonać bogatego kapitalistę, że gorzej swych grzywien umieścić nie mógł jak na Mazurach; bo Semko, według ich powieści, żadnej nadziei nie miał dostania się do tronu, a i Mazowsze samo zagrożonem było, zajechanem być mogło, brat zaś Janusz zupełnie od wszelkiego współnictwa z bratem się cofał.

Lewek, człek małomówny, a przenikający rzeczy, w początkach podejrzewał łaskawych doradców, iż cel jakiś uboczny mieć mogli, okazując taką troskliwość o jego pieniądze.

Odpowiedział nieco szydersko, zapierając się wręcz tego, żeby myślał o pożyczaniu grosza księciu mazowieckiemu, wreszcie uśmiechając się dodał, że nikomu to przecie nie mogło szkodzić, gdyby on własne pieniądze utracił?

Zbył ich tem żyd, grzecznie się natrętom opędziwszy, lecz poszedł na zwiady, przekonał się, że Semka sprawa źle stała, i wiedział już jak ma postąpić.

Gdy nazajutrz rano wezwano go na probowstwo św. Floryana potajemnie dla układów o pieniądzu, Lewko przyodziawszy się tak, aby niekoniecznie w nim poznać było można żyda, stawil się księciu.

Bartosz był nicodstępnym tutaj i przy układach także miał pomagać.

Sam Semko czuł się do nich niezręcznym, powierzywszy staremu i doświadczonemu wojewodzie Abramowi.

Wchodząc poznał Lewko po twarzach, że tu nienajlepiej stać musiała sprawa. Wszystkie oblicza chmurne były i zasepione.

Na zapytanie wojewody o przyrzeczone pieniądze, Lewek odpowiedział naprzód ciężkiem westchnieniem.

— O pieniądź gotowy — rzekł — nigdy nie było trudniej. Wiadomo, że my ani roli, ani kopalni nie mamy. Grosz nam przychodzi z handlu, a handel z powodu niepokojów w kraju, wcale nie idzie. I pieniądź więc nie przypływa. Chcąc go dostać, ciężkim warunkom poddać się potrzeba.

Socha więc żądał tych warunków, na co Lewek, cokolwiek się zawahawszy odpowiedział, że głównym było, aby książę Kraków zajął. Nawczas pieniądze by się znaleźć mogły pewnie, ale bez tego, trudno aby mu usłużyli.

Niespodziewane wymaganie wszystkich wprowadziło w chwilowe osłupienie. Potrzebowali właśnie pieniędzy, aby z ich pomocą starać się dostać do Krakowa, a tu dawano za warunek, aby wprzód miasto zdobyto.

Socha i gorący Bartosz napróżno starali się izraelitę przekonać o niedorzeczności tego żądania. Lewek najspokojniej ale niewzruszenie stał przy nim, oświadczając w końcu pokornie, iż

książe mógł u kogo innego szukać pieniędzy, jeżeli chciał, a u żydów inaczej jak po wjeździe do Krakowa, dostać ich niepodobna będzie.

Po półgodzinnym próżnym sporze, Lewek pokłoniwszy się oddalił.

Dognał go w ganku Bartosz usiłując obietnicami różnemi skusić, ale znalazł niezachwianym.

Właśnie gdy się to odbywało, z drugiej strony, rozmaitemi drogami starano się trafić do miasta, i wyjednać otwarcie bram, a przekonywano się, że żadna siła w świecie nie potrafi wymódlz tego na mieszczanach.

Od wczorajszego wieczora Kraków był jakby podlegnięty jakimś dncem wojennym, który wszystkich umysły opanował.

Głoszono, że Semko był nieprzyjacielem swobód miejskich, że był najstraszniejszym mieszczanstwa wrogiem.

Zapał ogarniał wszystkich, gotowano się jak przeciw napaści tatarskiej bronić przeciw niemu i arcybiskupowi.

Rozgorączkowanie dochodziło do dawno niewidzianego stopnia, co żyło nawlekało zbroje, opatrywało się w miecze, berdysze, siekiery, oszczepy...

Niepotrzeba było ani naglić, ni napędzać. Czeladź porzucała warstaty, kupeczyki uciekali ze sklepów, co żyło uzbrajało się i gromadziło na

murach i basztach. Ochota bojowania była niesłychana.

Wprawdzie zaciągi te nie miały ani zbyt rycerskiej postawy, ani wprawy, ani umiejętności wojowania, lecz w obronie miasta, wedle słów Wróbla, każdy dobrym był, kto mógł tłuc silnie.

— Byle pięści!! — mówił stary piwem popijając.

Tych zaś pięści garnęło się więcej może niż na razie było potrzeba, a widok potężnych kopijników leżących obozem u Floryańskiej bramy, wcale nie ustraszał. Prawda, że grube mury, potężne rondelle i wieżyce od nich dzieliły.

Czeladź miejska tymczasem, przy ciepłym majowem, zażywała przyjemności koczowania po ulicach, siedzenia pod murami i wywoływania a odgrązania się głośniego przeciw rycerstwu, co zawsze dla gawiedzi jest miłą rozrywką.

Młodzież zamiast skórzanych fartuchów powdziewawszy stare blachy, pookrywawszy głowy żelaznymi garnuszkami, w ręce ująwszy młoty i obuchy, cieszyła się swym bohaterstwem.

Wróbel i inni dowódcy, nie mogąc liczyć na wprawę i doskonałość żołnierza swego, dumni byli jego liczbą. Z ks. arcybiskupem przybyło co najwięcej pięciuset żelaznych mężów, miasto przeciw nim mogło postawić kilka tysięcy.

Przez cały ten dzień, przy ogromnym szczerku, brzęku, szafunku głosów, i poruszaniu się nie-

ustannem, sposobiono się do obrony. Inne wrota miejskie, na wszelki wypadek miały strażę i gromadki obrońców, ale główne siły skupiały się przy bramie Floryańskiej.

Nie łudząc się tym wielkim zapalem żołnierza ochotnika, Dobiesław z Kurozwęk czuł, że gdyby się stan ten miał przeciągnąć i zapal musiał ostygnąć i zbiegowisko powoliby się rozsypało. Trzeba więc było przyspieszyć koniec jakiś, wystąpieniem stanowczem.

Na probostwie spierano się jeszcze w niepewności co poczynąć miano, gdy na Ratuszu już Rada się zebrała i z południa uchwalono wysłać do Bartosza z Odolanowa, bo książę był za nim ukryty i jego się zapierano, z rycerskiem wypowiedzeniem albo raczej wyzwaniem. Krok to był śmiały lecz konieczny.

Dobrano ludzi, uzbrojono ich pięknie, i posły te, z pewną okazałością, uroczyście udały się na probostwo. Mieli oni polecenie nie z arcybiskupem mówić, ale z dowódcą kopijników.

Samo już przybycie tych od mieszczan wyprawionych, rycerskiej postawy ludzi, zaniepokoiło księcia i Bartosza... Gdy spytali o dowódcę, chwila wahania nastąpiła, kogo im postawić. Sam Bartosz się ofiarował, książę w sąsiedniej izbie z za drzwi miał się przysłuchiwać rozprawie.

Wybrany przez Dobiesława z Kurozwęk, towarzyszący czerwonemu, wąsatemu i potężnemu wzrostem Wróblowi, niejaki Jonasz Mroczek, słynny był z wyparzonej gęby i łatwego słowa. Przygotował się on dobrze do spełnienia tego co mu zlecono, a piękna rycerska i pańska postawa Bartosza, nie odjęła mu odwagi.

Pokłoniwszy się nieco, zabrał głos natychmiast.

— Miasto stoliczne wyprawiło nas tu, z pozdrowieniem i oświadczeniem zarazem, iż nagromadzenie takie siły zbrojnej u bram swych widzi dla siebie niebezpiecznem, a dla handlu i spraw swych szkodliwem. Uprasza więc ono dowódczę, aby odstąpił od bram i od Krakowa się oddalił.

Spojrzał Mroczek na Bartosza, który węża pocierał.

— A cóż będzie jeżeli my, niemający żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, waszmościów groźbie nie ulegniemy? — zapytał pan z Odolanowa.

Niedługo myślał Mroczek.

— Mamy zlecenie naówczas mir wam wypowiedzieć — rzekł sucho i stanowczo. — W stanie tym nieznośnym oblężenia trwać nie możemy, będziemy więc sobie radzić jak się nam zda... Groźba za groźbę, my się też do oręża weźmiemy.

— Jakto? — wykrzyknął Bartosz — mogliście na spokojnych ludzi napaść i...

— Z niewoli uwolnić się wszelki środek do-

bry — rzekł Mroczek. — Nasza rzecz co poczyniemy, a z tem się naprzód chwalić nie będziemy. Co mi zlecono to oświadczam wam, jeżeli nie ustapicie natychmiast, mir wypowiedziany... Mieście się więc na baczności.

Mroczek dokończywszy tego przemówienia, nie znajdował potrzebnem tłumaczyć się więcej, skłonił się nieco, Wróbel też, inni za niemi, i gdy Bartosz stał jeszcze zaniemiały z podziwienia nad tem zuchwalstwem, oni mierzonym krokiem, nie myśląc już więcej rozprawiać, wyszli z izby, w takim samym porządku jak przyciągnęli, wracając do bramy, która się szybko otworzyła i zamknęła za nimi.

Książę, który za drzwiami z guiewu trząsł się słuchając, wybiegł do pierwszej izby wściekły.

Bartosz ramionami zlekka poruszał.

— Niema tu co stać — rzekł — trzeba co rychlej ciągnąć dalej, mamy co innego do czynienia.

— Jako? uleść groźbie, uciekać! — przerwał Semko.

— Pokażemy gdzieindziej, że się nie lękamy boju, lecz tu, nie opłaciłoby się już wojowanie. Są na baczności, siły nagromadzili — mówił Bartosz.

— Lecz odstąpić na ich rozkaz, natychmiast! srom! hańba! — wołał Semko — tego nie dopuszczę...

— Postojemy więc do jutra rana — odparł Bartosz — jeżeli miłość wasza tego żądasz, lecz pójdę i wydam rozkazy, aby zbroi nikt się nie ważył zrzucić przez noc, i koni rozsiodływać... Mir wypowiedziany... Gawiedź ta sposobuą chwilę upatrzwszy, może nam spaść na karki, otoczyć, a stracić z najlepszego żołnierza, choćby niewielu, szkoda niepowetowana, potrzebni są nam na Kujawy...

Semka myśl sromotnego cofania się przywozowała do rozpacz. Bartosz spokojniej się zapatrywał na to...

Wyszedł natychmiast przywołując sotników i oznajmując im, że mir wypowiedziany, a czujność przez noc ma być jak największa.

Nazajutrz do dnia wyruszyć miano.

Arcybiskup i Bartosz nie byli bez stosunków z miastem. Pojedynczym ludziom, zwłaszcza duchownym, na probostwo przychodzić nie można było wzbronić. Miano tu więc wiadomości dokładne o tem co się działo w mieście, i kto był przyczyną tego zuchwałego wystąpienia. Duchowni panowie, trwożliwego ducha, nie omieszkali Bodzauty nastraszyć, przynosząc mu wiadomość, iż w mieście postanowiono napaść nocą na kopijników i wyrzezać ich bez miłosierdzia.

Słowo jakieś w ulicy na wiatr rzucone, doszedłszy do uszu kanonika Alberta, urosło na probostwie w trwogę i groźbę.

Wyprawiono powtórnie kopijnikom rozkazy, ażeby nie śmieli odpoczywać i rozdziewać się.

Widok sąsiednich murów, mógł poniekąd utwierdzać w przekonaniu, iż wycieczkę z miasta zamierzano, gdyż roił się tam lud, tłoczył, ścisnął, wywoływał i zdawał przygotowywać do wystąpienia... Ludzie z ciężkimi kuszami na ramionach, przechadzali się po nad bramą; głos Wróbla brzmiał jak trąba.

Bartosz nie miałby obawy najmniejszej w polu, lecz tu w ciasnem miejscu zamknięty pod murami, nie mogąc się rozwinąć, nie wiedząc ani godziny, ani strony z której uapastowanym być mógł, musiał się mieć na baczności. Znał on swych ludzi, znużeni byli podróżą, chciwi spoczynku, jadła i napitku, beczki z piwem wypróżniały się a w głowach szumiało.

Pod wieczór więc strażę potrzeba było ustawić, i niepuszczać oka z bramy... Niepokój ten możeby był ustał później nieco, gdyby w mieście się ludzie uspokoili, tu zaś przeciwnie z nocą ruch się zwiększał... Z gwaru wnosić było można, że po za wrotami w ulicy Floryańskiej znaczne siły stały nagromadzone... Światło od pochodni po murach migąło, głosy się wyrывały ciągle, brzęk nie ustawał.

Bartosz nie zdjął zbroi z siebie, postanowiwszy czekać tak do dnia, a książę rzucił się na ławę, wsparłszy na rękę, i niewiele też zażył spoczynku.

Lada wykrzyk od bramy, poruszenie jakieś, niespokój między kołmi i ludźmi, wszystkich zmuszał porywać się na nogi. Bartosz wybiegał na ganek.

Wszystkie wiadomości z miasta przynoszone, zgodne w tem były, że najwięcej do oporu ze strony Krakowian, podbudził ich Spytek z Mielsztyna.

Chociaż Dobiesław równie był czynnym, jemu przypisywano największą zaciętość przeciwko Semkowi, gdyż on się z nią najmniej tał.

Książę też poprzysiągł zemstę.

Tej nocy jeszcze zerwał się i pobiegł do Bartosza, dopytując go, czyli po drodze dóbr i dworów Spytka nie było, lub, choćby nałożyć drogi przyszło, czyby zwrócić nie można pochodu przez nie, aby je zniszczyć.

Malował się w tem ów ojcowski gwałtowny a popędliwy charakter księcia, który w pierwszej gniewu chwili, gotów się był ważyć na wszystko a urazy przebaczyć nie umiał.

Bartosz takiemu jątzeniu nieprzyjaciela by przeciwnym, ale Semko nie dał się powściągnąć.

— Nie zechcecie wy ze mną, pójdę sam. Zemstę mieć muszę i będę.

Nie mógł zataić Bartosz, że prawie na drodze leżał Książ wielki, jedna ze znaczniejszych rezydencyj pana na Mielsztynie, a książę poprzysiągł natychmiast, że go w perzynę obróci.

Próżnem było odwozić od tego, choć Bartosz przekonywał, że pilniejszem mieli opanować Kalisz i Brześć Kujawski, zająć Kujawy i Łęczyckie, gdzie już na nich czekali przyjaciele.

Według Semka, jedno drugiemu nie przeszkadzało, chciał ciągnąć na Książ, aby go zniszczyć i spalić.

Śmiał się mówiąc o tem, tak myśl pomsty upajała go rozkoszą jakąś.

Noc majowa niedługa, dla tych, co ją bezsennie, we zbrojach, przy koniach, czuwając spędzić musieli, wydała się wiekniutą. Kilka razy popłoch rzucano i ludzie co ledwie znużeni przysiedli, porywali się nagle, a gdy trwoga okazała się próżną, znowu ją lada szmer podejrzany wznawiał.

Z ukazaniem się brzasku na niebie, wszystko zaczęło się sposobić do drogi, wydane już były rozkazy.

Czekać jednak musiano białego dnia, gdyż arcybiskup nie chciał tu sam pozostać, a bez mszy wyruszyć nie mógł. Tabory wojska, namioty, oręż musiano na wozy znowu mieścić w części, i na długą podróż się sposobić.

Bodzanta jechał uciśniony na duszy, smutny, upokorzony, może wyrzucając sobie, iż dał się ująć dla Semka, którego przyszłość teraz wydawała się bardzo niepewną.

Sam on zdawał się wątpić o niej, chociaż go-

rączkowo dobijać się jej bądź co bądź, postanowił.

Jeden Bartosz wcale nie tracił nadziei i mężstwa, widział wszystko jasnem i wróżył zwycięstwo.

Zdobycia Kujaw był pewnym, zatem miało iść Łęczyckie a potem Wielkopolska się też musiała poddać... Domaratowe stronnictwo osłabione, nie zdawało się straszne, choć arcybiskup wróżył, że ono teraz tajemnie przez Krakowian do nowego życia powołanem zostanie...

Słońce wschodziło na pięknem niebie wiosennego poranka, gdy z bólem w sercach, z gniewem w piersi, ruszyli ci, co tu z najlepszymi przyhyli nadziejami, Semko z przyłhłą spuszczoną, sromem na czole, Bartosz z twarzą odkrytą, arcybiskup, na swym wozie błady, z różańcem w ręku...

Kilku duchownych odprowadzali go do bramy, ledwie ich widział zakławionemi oczyma.

Jechał otoczony tą siłą zbrojną, czując się jeńcem i trapiąc w duszy.

Ażebym widokiem odciągającego wojska się napaść, tłum ogromny zebrał się, mimo raunej godziny, na murach, w bramie, w przedmieściu.

Wesołe okrzyki, w których uchodzącym brzmiało dotkliwe szyderstwo, wyrzywały się kiedyś kiedy z tej ciszy... Cieszono się i klaskano.

Wielki ciężar spadał z ramion tym, co się go-

towali do obrony miasta, bo siła, którą mieli teraz przed sobą, wcale była nie do pogardzenia. Z wejrzenia na tych dobranych ludzi, łatwo w nich poznawano sam wybór i kwiat wojska mazowieckiego i wielkopolskiego.

Pięciuset takich kopijników, na owe czasy stanowili już znaczną siłę.

Oglądając się na mury. Bartosz byłby może dostrzegł i poznał, pomiędzy ciekawemi i Dobiesława z Kurozwek i młodego wojewodę. Oba oni tam byli, a Spytek uśmiechał się zwycięzko...

Czy Semko poznał swojego wroga, trudno zgadnąć, lecz powtarzał ciągle idącemu przy sobie Bartoszowi.

— Na Książ!... na Książ...

Powolnie odbyło się to przeciąganie kopijników pod murami i idących za nimi wozów podwód, a potem wlokących się ciurów i całej tej obozowej bałastry, której nigdy żadnemu oddziałowi zbrojnemu nie braknie.

Ostatki ciągnęły drogą jeszcze, gdy zwolna wrota się otworzyły i tłum za nimi stojący wysypał z okrzykiem zwyciężkim.

W istocie zwycięstwo to było bezkrwawe, łatwo odniesione, które w niepospolitą pychę wbiło mieszczan krakowskich, tak, że długo o nim zapomnieć nie mogli i chlębili się jako dziełem wielkiem.

Szczęściu jednak więcej byli winni niż własnym zabiegom i ofiarami wielkimi nie okupili go.

Przywrócenie tylko powszedniego porządku kosztowało nieco czasu, bo czeladź duchem wojennym zagrzana, niełatwo się dała napędzić do cichej pracy. Wielu też bohaterom tych dni, którzy mieli zwierzchność powierzoną nad młodszymi, głowy się pozawracały.

Oprócz innych we Floryańskiej bramie widzieć było można, w kącie przycejonego Bobrka, który też życzył sobie być świadkiem naocznym tego odegnania Senka od wrot stolicy.

Złośliwe stworzenie, każdy widok cudzego upadku radował i nasycił.

Mówił sobie, choć niesłusznie, iż i on się przyczynił do tego zwycięstwa nad księciem mazowieckim.

Nie miał tu już nie do czynienia, oprócz szpiegowania Hawnuła, który pozostał dla niego zagadką. Potrzebując powrócić nazad ku Toruniowi, miał niejaką nadzieję, że potrafi znowu nastroczyć się staroście i na koszcie jego podróż odbywać. Wiedział, że Hawnuł się u Keezerów znajdował, lecz chciał odegrać rolę prostaczka dobrodusznego i poszedł się wywiadywać niby o niego u brata Antoninsza, do klasztoru Franciszkanów pod zamek.

Nie miał tu najmniejszej trudności w znalezieniu starego zakonnika, który zawsze czemś za-

jęty, w kościele robił porządek, i wyszedł do niego z miotłą w rękę. Najcieńsze i najwstrętniejsze, dla drugich roboty jemu były najmilejsze.

Czy w ciągu razem odbywanej drogi, brat Antoniusz poznał lepiej kleebę, i domyślił się w nim jaszczurezej natury, trudno było się domyśleć, bo go powitał zwykłym swym uśmiechem łagodnym.

Kleeba patrzył na miotłę w rękach starca z podziwieniem i ezeją jakąś — nieszczerą, lecz dobrze odegraną.

Po pozdrowieniu, Bobrek się uśmiechał przypochlebiając.

— Muie już ezas powracać do Wielkiejpolski — rzekł — nie wiem, eo się dzieje z kupeem naszym, gdyby i jemu o te ezasy przypadał powrót, mógłbym mu posłużyć może.

Brat Antoniusz nie zaraz odpowiedział, osadzał moeniej miotłę, którą w rękach trzymał.

— Nic nie wiem, — odparł — prawdopodobnie ja tu pozostanę.

— A gdzieżby się dowiedzieć o niego? — zapytał Bobrek.

Po namyśle, zakonnik wskazał mu dom Keczera.

Króciuchno tu zabawiwszy, kleeba zwrócił się ku rynkowi. Hawnul był tu jeszcze. Przyjął go chłodno, z chmurnem dość ezołem, oświadczając, że o wyjeździe, z powodu spraw handlo-

wych, dość zawikłanych, nie jeszcze stanowczego nie wie, a czekać na siebie nie radzi.

Usiłował mu się przymilić klecha, lecz Hawnul był w usposobieniu jakimś nie zbyt łagodnem i do rozmowy nie okazywał ochoty. Pozyskać sobie nie mogąc niczem, klecha pożegnał go tem, że jeśliby nie odjechał przyjdzie się dowiedzieć jeszcze.

Tymczasem sznurkował po mieście. Jako klecha i zawsze niby do stanu duchownego się przygotowujący, miał on stosunki rozliczne z miejscowemi kapłanami. Udawało mu się nie raz od nich zdobyć ważną jakąś wiadomość, lecz nigdy tak szczęśliwie, jak teraz mu się nie powiodło.

Biskup krakowski Radlica, który się znajdował u Jaśka z Tęczyna, pamiętnego wieczora, gdy do niego Hawnula wezwano, tak był przejęty wielkością myśli tu przyniesionej, iż zapomniawszy o obowiązku zachowania tajemnicy, zdradził się z nią przed jedynym przyjacielem osiemdziesięcioletnim kanonikiem Rubiczkiem.

Człowiek to był świątobliwości wielkiej, całkiem oderwany od świata, pędzący życie w praktykach religijnych, cały w Bogu lecz wiekiem i samem tem usposobieniem zdzieciniał.

Podzielił się z nim biskup wiadomością tą aby się starszskowi dusza rozrachowała. Ze złożonemi rękami, z uniesieniem przyjął cudowną

nowinę ks. Robiczek ale mu ona piersi wezbra-
ne szczęściem rozsadzała.

Miliony dusz zyskane Chrystusowi!

— Gdyby to mogły oglądać jeszcze oczy moje
a potem zamknąć się na wieki! — tak wołał sta-
rowina, a gdy drżący od radości, przejęty cały
wrócił do swej celki, i zastał w niej chłopaka co
mu posługiwał, pocałował go w czoło i rzekł na
ucho.

— Ciesz się!!!

Nie zrozumiał tego chłopak, ale dobrodzieja
w rękę pocałował, a ten na kolana padłszy na-
przód to szczęście swe wylał na modlitwie
wdzięczną Bogu duszą.

Zdawało mu się, że to już było rzeczywisto-
ścią, że musiało się dokonać w prędkce, że w tem
widział palec Opatrzności nad Polską.

Wstrzymywał się potem, jak mógł staruszek
z rozpowiadaniem o tem co Polskę czekało, że
ona apostołem Chrystusowym stać się miała, lecz
gdy jednego ranka przywłókł się do niego Bo-
brek, całując go po rękach, a udając dobrodusz-
nego biedaczka, aby coś od niego wyludzić, —
pocziwy starowina zawiązawszy z nim rozmowę
o Wielkiej Polsce, o Mazurach, o Krzyżakach
o Litwie, gdy o tej wspomniał uniósł się i za-
wołał.

— Bóg wielki! nieszczęścia nasze na to
nam posłużą, i na to je Bóg zesłał opatrzny,

abyśmy pogan tych my jemn przywiedli do wielkiej Piotrowej owezarni.

Wyrwało się to mimowoli z ust starszskowi, wpadło do ucha Bobrkowi, który pobladł i tak zręcznie się wziął do badania Robiczka, iż ten mu w końcu wszystko wyśpiewał, jako to rzecz była pewna i niezawodna, bo ztamtąd nawet już posły przybyły.

Domyśleć się, kto był tym posłem, Bobrek mógł łatwo. Zrozumiał wszystko, lecz tak był odurzony zrazu niespodzianą zdobyczą, wielkością polowu — potem go jakaś trwoga przejęła o zakon, iż nawet radości, jakiej się starsuszek spodziewał, okazać nie umiał.

Zamruczał coś niedowierzająco, ks. Robiezek go npewnił, że to rzecz co się spełnić musiała — i tak się rozeszli.

Spokojnego charakteru, umiejący panować nad sobą kłecba, gdy wyszedł z celi starszka, uczuł się jakby pijanym, uszom swym nie wierzył jeszcze. Największe nieszczeście, jakie mogło kiedy grozić zakonowi, było wistocie bliskiem spełnienia?

On jeden wiedział o tem, obowiązkiem jego było biedz na złamanie karku, aby wołać ratunku i bić na trwogę. Nie miał chwili do stracenia. Zdawało mu się najprostsza rzeczą, dla zapobieżenia temu, pochwycić Hawnula na drodze, bo-
daj go zabić, aby układy się zerwały.

Przerażony, sam nie wiedząc jak przebiegł ulice i znalazł się w domu Bieniasza, w którym gdy padł na ławę, a gospodarz go pytać zaczął, co mu się stało, jak oszalały rwał się za włosy, mówić nie nie mogąc. Zażądał tylko swojego węzła, aby tegoż dnia jeszcze jechać ztąd.

Niemiee gospodarz widział z obejścia się z sobą gościa, iż coś nadzwyczaj ważnego zająć musiało, gdyż rano był zupełnie spokojnym i weale o wyjeździe nie myślał, lecz dowiedzieć się od niego nie nie mógł.

Bobrek sam chciał być w posiadaniu wielkiej tajemnicy, aby ją pierwszy przywiózł zakonowi.

Nalegał, prosił, błagał, aby mu wyjazd ułatwiono i spieszył tak, że pod noc wybrał się z miasta, mimo grożącej burzy.

Hawnul miał się jeszcze w Krakowie zatrzymać, mogło się więc udać klesze wyprzedzić go, dostać się do Torunia i urządzić gdzieś zasadzkę coby porwała posła.

Wedle ówczesnego bardzo pospolitego obyczaju badania na mękaach, przez ogień i wodę, wyciąganie stawów itp. prawdy się z niego dowiedzieć mogli Krzyżacy. Zgładzić go zresztą potrzeba było.

Najgłówniejszym dla Bobrka stawał się pośpiech. Ubiedz musiał Hawnula. W powrocie niejedną, ale kilka na niego zasadzek można było

postawić tak, aby w którą z nich wpaść musiał koniecznie.

Koń, którego mu dostarczono w Krakowie, wprawdzie drogo kosztował klechę, lecz to co wiozł, mogło go opłacić. Miał jeszcze z sobą tyle grosza, że mógł go ważyć i wierzchowego, gdyby padł, innym zastąpić.

Z temi myślami, w gorączce biegł klecha znajomemi sobie drogami, bezpieczeństwo swe nawet poświęcając dla pośpiechu.

Hawnul tymczasem zmuszonym był pozostać w Krakowie. Po długich naradach wypadło z nich wysłać z nim duchownego, któryby chciał się poświęcić trudnemu, ale najwyższej wagi zadaniu, zbadania w miejscu Jagicły i spraw litewskich w ogóle.

Wybór trudny paść miał na Dobrogosta z Nowego Dworu, lecz i sprowadzić go i skłonić do tego było potrzeba. Starano się to z największem dokonać pośpiechem, gdyż Hawnul naglił a mimo to, czasu upłynęło dosyć, nim trzymana w największej tajemnicy wyprawa ta dokonać się mogła.

Szczęściem Hawnul miał zręczność z pomocą zakonników św. Franciszka posłać wiadomość o sobie uspokajającą, sam zaś czekał, widząc, że sprawa obiecywała, iż starania jego dla niej nie będą nadaremne.

Nim mógł z Krakowa wyruszyć, przyszyła tu

wieść o zniszczeniu i łupieży Księża wielkiego, przez zemstę nad Spytkiem.

Ciągnący napowrót Semko nie pominął go i dokonał co postanowił. Było to, jakby pierwsze wypowiedzenie wojny Małopolanom i groźba, której nikt się nie nłął.

Spytek z pańską obojętnością odebrał wiadomość o spaleniu swojego dworu, rozpędzenia ludzi, pożarze miasta i wsi okolicznych.

Duma nie dozwalała mu okazać nawet, że strata poniesiona wielką była i dotkliwą.

Ubolewali nad nim, oburzeni przyjaciele, Spytek pogodną twarzą i milczeniem zbywał klęskę.

Daleko ważniejszym, według niego, było, iż Semko szedł na Kujawy z siłą dosyć znaczną i mógł je opanować, a miał z sobą tego Bartosza, który był duszą wszystkich o koronę zamachów, i arcybiskupa, który mógł powagą wszystko uświęcić i skrzepić.

Hasłem odtąd stało się dla panów krakowskich — obalenie księcia mazowieckiego, siłą, czy jakimkolwiekbyś środkiem.

Im więcej okazywał energii, tem dla nich był straszniejszym.

W milczeniu wszyscy do tego podali sobie ręce.

Hawnul zmuszony czekać bezczynnie, wystawionym był na prawdziwe męczarnie. Do Kra-

kowa dochodziły wieści najrozmaitsze, które wstrząsały nim i odbierały nadzieję. Cel podróży zdawał się chyłbiony, czas stracony, a gniew Jagielly nieuchronnym, poniekąd zasłużonym, bo Hawnul winnym był powzięcia myśli zuchwałej, namowy do niej, i uczynionego kroku,

Biedny starosta pędził dni prawdziwie męczeńskie, bo nawykły do pracy, trapił się próżnowaniem, na które był skazany.

Keczer, gospodarz był w mieście zajęty, znajomości nie życzył sobie zawierać Hawnul, szedł na miasto zraua, wstępował do Franciszkanów na mszę i nabożeństwo, na cichą krótką rozmowę z bratem Antoninszem, krążył potem po mieście i najczęściej spotykał się tam z jakąś nie miłą wiadomością.

Zewsząd przychodziły nowiny o powodzeniach nadzwyczajnych księcia mazowieckiego. — Rósł w oczach ten wybrany król przysły.

Brześć kujawski i Kruszwica już były w jego rękach, całe Kujawy zajął we władanie.

Poddawali mu zamki trzymający je, sami lub przez swoich. Abraham Socha z ludźmi księżęcimi jedne po drugich zajmował.

Posłyszawszy o tem starosta, niemal zrozpaczony, pobiegł do Jaśka z Tęczyna, zdawało mu się, że tu już nie do czynienia nicna, że wszystko stracone.

Kasztelan przyjął go z tą powagą, i krwią

zimną, która go nigdy nie opuszczała. Te same wieści niepokojące doszły już były do niego i innych panów krakowskich, których Hawnul znalazł zgromadzonych w znacznej liczbie w dworze pana na Tęczynie. Dobiesław, Spytek z Mielsztyna, Jaśko z Tarnowa, biskup Radlica zebrani byli w wielkiej izbie, o czem dowiedziawszy się starosta, chciał iść nazad, gdy go młody Tęczyński zatrzymał, a po chwili wprowadził do konnaty, w której wszyscy zgromadzeni byli.

W chwili tej wielka izba gościnną kasztelana przedstawiała obraz istnie wspaiały i uderzający.

Ci po większej części sędziwi i poważni panowie, naradzający się nad losami kraju z czolami pośepnemi, siedzieli i stali, jakby senat staro Rzymu w godzinie niebezpieczeństwa, nie zdradzając sobą ani obawy, ani niepokoju, ni najmniejszej niepewności jutra. Wszystkich oblicza, nie wyjmując młodzieńczego Spytkę, tchnęły męstwem i żelazną wytrwałością.

Nie czuć było żadnego zamieszania i tego niebezpiecznego podrażnienia, które w chwilach stanowczych odejmuje panowanie nad sobą i wypadkami.

Jak sam gospodarz, tak wszyscy zdawali się zbrojni, przygotowani, niemal chłodni, choć im klęskę po klęsce przynoszono.

Kasztelan wystąpił parę kroków przeciwko

Hawnulowi, na którego licu widoczna była trwoga i strapienie.

— Miłościwy panie — odczuwał się zbliżając ku niemu starosta — darujcie mi, że przychodzę niepokoić was. Czuję się tu niepotrzebnym! nie mam już ani na co czekać, ni się czego spodziewać!

Mówią, że Wielkopolska jest w rękach Semka, zajął Kujawy, zabrał Łęczyckie pono, zamki mu się poddają, nikt oporn nie stawia — wszystko stracone!

Gdy to mówił Hawnul, inni panowie, którzy już go znali z widzenia, i byli wtajemniczeni otaczać go poczęli i przysłuchiwać się.

Jaśko z Tęczyna nie przerywał mowy i nie dawał znaku po sobie, ażeby ona wrażenie czyniła na nim. Słuchał cierpliwie.

Gdy Hawnul ciężkiem westchnieniem skończywszy, spojrzał na otaczających, i spostrzegł twarze nieporuszone, chłodne, majestatycznie poważne i spokojne, nie mogąc tego inaczej wytłómaczyć sobie, sądził, że są zrezygnowani na wszystko, że istotnie ratunku już niema.

Jaśko z Tęczyna, jak zwyczaj miał, pogłodził brodę i nie spieszył z odpowiedzią — na ostatek począł zwolna.

— Straconem nic nie jest — rzekł — na zajęcie Kujaw, niestety, byliśmy przygotowani, jesteśmy na daleko więcej, chociażby Semko zają-

całą Wielkopolskę, a arcybiskup go królem ogłosił — nie to nie znaczy?

— Jako? — podchwycił Hawnul — lecz jeśli go ogłosi królem?

— My go nim nie uznamy — rzekł kasztelan zwolna. — Stolica jest tu, korona w rękach królowej; prawo za nami!

Niepierwszy to raz Kraków będzie stanowił o całej monarchii i od jego posiadania zawisnąć będą jej losy.

Dobiesław z Kurozwęk przerwał krótko i niewyraźnie.

— W Wielkiej Polsce nie koniec, dopiero teraz się o nią walka rozpocznie. Zobaczymy, jak się dokona.

Hawnul spozierał po tych twarzach, widział je wszystkie równie wypogodzone. Trochę męstwa w niego wstąpiło.

Spytek dodał przybliżając się do Hawnula.

— Widzicie, że my powodzenia Semka wcale do serca nie bierzemy. Dajemy mu przed czasem siły wyczerpać, rzucać się i wytężyć; wszystkiemu temu w czas się koniec położy.

Zdumiony słuchał starosta.

— Byle zapóźno nie było — rzekł — zajęcie Kujaw da mu nowe siły.

— Bądźcie spokojni — rzekł — Domaratowi sprzymierzeńcy i on sam, chwilowo bezczynni ockną się. Rozkazy są wydane. Nie mamy trwogi.

Zamilkł Hawnul, a kasztelan kończył zwolna.

— Nie zapadła żadna zmiana w postanowieniach naszych, aniśmy stracili nadziei doprowadzenia sprawy do dobrego końca. Wkrótce będziemy mogli dać wam towarzysza podróży... Spodziewamy się Dobrogosta, który pojedzie z wami.

Więcej jeszcze niż słowa, podziałał na Hawnulę widok tych ludzi powagą wielką oddziaływających, tak patrzących w przyszłość okiem niezłomnym, obudziliby wiarę w każdym, nawet mniej do wierzenia usposobionym, jak on.

— Wszystko co mówicie prawdą jest — dodał, młody Spytek prawie wesoło. — Semko mój Książ bezbranny złupił i spalił, wziął Brześć kujawski, opanował Kruszwicę, zajmuje Kujawy. Słyszymy że ma zwołać znówu do Sieradzia ludzi sobie przyjaznych. Zapewne go tam królem okrzykną, ale to nie obroni od spustoszenia Mazowsza i losu jakiego doznał Biały...

Jaśko z Tarnowa zwrócił się do starosty.

— Jagiełło był także z Mazowieckimi w sporze o granicę i wojował z nimi. Dlaczegożby teraz także nie miał korzystać i wtargnąć do dziełnicy Semka?

Hawnul nie wiedział co odpowiedzieć, lecz rada złą nie była, gdyby obawa napaści krzyżaków nie utrudniała wykonania.

— Gdy margrabia brandenburski najedzie Mazowsze, a Domarat będzie grody napowrót od-

bierał, czemużbyście wy nie mieli wtargnąć? — rzekł Jaśko z Tęczyna. — Trzeba złamać tego napastnika, który gwałtem chce zdobyć koronę, a ta mu nie należy.

— Nigdy on nie będzie królem u nas — rzekł pan z Tarnowa — nigdy! pamiętajcie to sobie.

— Nigdy! — powtórzył Spytek.

— Nigdy! — poczęli wtórować inni cichemi głosy.

To — nigdy — jak wyrok nie odwołalny zabrzmiało surowo, strasznie — i po niem nastąpiło milczenie długie. Hawnul uczuł się pewniejszym przyszłości.

— Powracać mi pilno i nagle potrzeba — odezwał się cicho — miłosierdzia waszego proszę, nie trzymajcie mnie tu dłużej.

Kasztelan zbliżył się do niego.

— Cierpliwości, parę dni, a wszystko się skończy po myśli; idźcie w pokój, a nie wątpcie, że to cośmy postanowili stać się musi.

Hawnul powiódł oczyma po siedzących, którzy głowy zlekka skłonili, i wyszedł z dworca kasztelana.

„Nigdy!“ brzmiało mu w uszach jeszcze, a obraz tych ludzi co je wyrzekli zimno, stanowczo i z mocnem postanowieniem obronienia słowa swego, stał przed jego oczyma. Coś mówiło mu, że ten areopag cichy i na zewnątrz nie dający znaku życia, omylić siebie i jego nie może.

VIII.

Jeszcze był Hawnul z Krakowa nie wyruszył, gdy Keczor jednego ranka szepnął mu, że dnia wczorajszego przybył do miasta poseł Semka mazowieckiego do panów krakowskich, a mówiąc to dziwnie trząsł głową, dźwigał ramionami i uśmiechał się w sposób osobliwy.

Chociaż męztwa mu po ostatniej bytności u Jaśka z Tęczyna przybyło wiele, starosta zbyt wielką przywiązywał wagę do sprawy swojego pana, ażeby go przybycie to wysłańca z Wielkopolski poruszyć nie miało.

Nie tyle może co jego, innych też, szczególnie mieszczan krakowskich, obeszła wiadomość o pośle księcia mazowieckiego.

Od czasu, jak miasto mogło się pochlubić, iż od wrót swych, śmiało wystąpieniem odparło Mazura, czyn ten heroiczny, co chwila przypomi-

— —

nany, podnoszony, wbił w pychę Krakowian, a zarazem wyrobił w nich nadzwyczajną niechęć i nieprzyjaźń dla Semka.

Nazywano go wrogiem, odgrążano się nań. Obawiały się inne miasta panowania jego, lecz Kraków czuł, że byłby wystawiony na zemstę, i dopuścić nie mógł do panowania. Wszystko co ztamtąd szło — niepokoiło.

Gdy się dowiedziano, że pan stolnik kujawski Lasota ze Stawiszyna do Krakowa przybył w poselstwie, poruszyło się wszystko ogromnie.

Stolnik zajął był gospodę w rynku u mieszczanina Stano, a jak się tylko dowiedziano o tem, natychmiast dom poczęły otaczać gromadki nie tylko ciekawe, ale nieosobliwie usposobione dla Kujawiaka.

Wiedział jednak kogo tu posyłał Bartosz z Odolanowa, bo ten i ludzi dobierał i wszystkim rozrządzał, a Semko do oręża się rwał tylko.

Lasotę ze Stawiszyna posłać było można, nietylko do zburzonego przeciw księciu Krakowa, ale na dno piekła, pewnieby się ani uląkł ani zawahał. A we wszelki ukrop palce maczać, było dlań najulubieńszem.

Mężczyzna lat średnich, miał jeszcze cały ogień młodości, męztwo szalone, pewność siebie niczem niezachwianą, tego ducha potężnego, któ-

ry poszanowanie nakazując, a słabych przejmuje trwogą.

Człowiek był zresztą prosty, rozumu chłopskiego, otwarty, serca dobrego, ale groźbą niedający nic wymódz na sobie. Znane jego męstwo pokierowało wyborem Bartosza.

Słusznego wzrostu, gibki, zręczny, silny, Lasota miał twarz wesołą ludzi, co się nigdy niczego nie boją. Nikt mu ducha nie potrafił odjąć, swaru nie rozpoczynał, ale gdy mu się on narzucił nie ustąpił nikomu.

Niezbyt majątny Lasota, nie występował okazałe, służbę miał niewielką, przepychu około siebie nie cierpiał, lecz nosił się, jeździł i okazywał zawsze przystojnie i schludnie.

Zaledwie przybył do miasta, wiadzano już, bo się z tem nie tał, że do panów miał zlecenie od arcybiskupa.

Mianował się bowiem przez niego, a nie przez Semka wysłanym.

Jaśko z Tęczyna i Spytek mieli tak dobre wiadomości o tem, co się działo w Kujawach i Wielkopolsce, że o nadciągającym pośle i o tem z czem jechał zawczasu byli ostrzeżeni.

Nie było dla nich niespodzianką przybycie Lasoty.

Nazajutrz po przybyciu, dano znać stolnikowi kujawskiemu, iż jeżeli ma co do oznajmienia od Bodzanty, może rano z tem do pana wojewody

Spytka z Mielsztyna się udać, dokąd i inni przybędą.

Posłowi tego Semka, który Książ spalił, chciało pokazać może, iż pan na Mielsztynie przez to nie zubożał. Na spodziewane przyjęcie stolnika wydane być musiały rozkazy, gdyż zawsze okazywały dwór wojewody, dnia tego wystąpił w godowych szatach z nadzwyczajnym przepychem.

Lasota z Stawiszyna, jeżeli bywał kiedy na dworze książęcym w Płocku, który za bardzo wspaniały uchodził, mógł się tu przekonać, że Spytek z Mielsztyna nie tylko księciu mazowieckiemu nie ustępował bogactwem dworu, ale go o wiele przewyższał.

Dnia tego całe podwórce zajmowali liczni dworzanie i czeladź wojewody, postrojeni, butni, czując, że ich na okaz postawiono. Począwszy od węgierskiego stroju do francuskiego, żadnego tu nie brakło, od sędziwego marszałka dworu, do paziów i trefnisiów, nikogo z tych co do pańskiego należeli domu.

W wielkiej gościnnej komnacie, zgromadzeni już byli Jaśko z Tęczyna, Dobiesław z Kurozwęk, Jaśko z Tarnowa, biskup Radlica, kilku prałatów, podostatkiem Leliwitów i Toporezyków... Oprócz młodego pana domu, wszystko prawie starszyna wiekiem równie jak dostojenstwem. Grono poważne naokół po ławach rozsiadłe.

Komu innemu może, byłoby to zgromadzenie

odjęło męztwo, ale Lasota należał do tych, którzy rosną na duchu, gdy potrzeba.

Wszedł więc w skromnem swem ubraniu staroświeckiem, obejrzał się dokoła, na powitanie gospodarza pokłonem odpowiedział, i wcale niezmięszany, postąpiwszy kroków kilka, kołpak na stole położył.

— Zaszczycił mnie arcypasterz — rzekł — wysyłając do miłości waszych z poselstwem. Odpowiedziano uroczystem mileżeniem.

Lasota głowę nieco podniósł, zwolna potoczył okiem po przytomnych, którzy siedzieli poważnie, ze wzrokiem ku niemu skierowanym.

— Wzywa on, miłości waszych, na zjazd do Sieradzia, na św. Wit, aby o sprawach utrapionej korony tej się naradzić, a raz im stanowczy położyć koniec. Czas wielki, bo niepokój nam siła krwi kosztuje...

Pasterz nasz, jak ma z urzędu prawo, uprzedmie wzywa wszystkich ludzi dobrej woli.

Stolnik spodziewał się może, iż oświadczenie to wywoła sprzeciwienie się jakieś, namiętne wystąpienie, wyrzuty, sposobił się do odpierania, zatrzymał nieco, czekał.

Wszyscy siedzieli nie okazując, aby ich to bynajmniej obeszło. Lasota wcale nie wiedział, co się gotuje, przyzwolenie czy opór...

Nie odpowiadał nikt długo. Starsi panowie

spoglądali na Jaska z Tęczyna, a ten szeroką dłonią brodę gładził.

Po długim przestanku, stolnik nie wiedząc jak zakończyć, powtórzył.

— Arcybiskup wzywa na dzień św. Wita.

Naówczas kasztelan, poruszył się nieco.

— My tego zjazdu żadnej potrzeby nie widzimy. Radzić niema nad czem. Oczekujemy królowej, która nam jest przyobiecana, ta przybędzie i wszystkiemu koniec. Bez niej zaś nic uczynić nie możemy, próżne rady, zjazdy daremne...

— Królowej niema się co spodziewać — rzekł Lasota. — Jawna rzecz, że królowa dać jej nie chce, zwłócząc od miesiąca do miesiąca. Tymczasem kraj bezpański...

— Przysięgliśmy — odparł krótko Dobiesław z Kurozwęk, — przysięg łamać nie mamy wezwyczajn. Czekamy na królowę.

I dodał w końcu głos podniósłszy.

— Na żadne zjazdy jechać nie myślimy...

Lasota spojrzał po siedzących, czy miał tą rzeką odpowiedź uważać za wyraz ogólnego przekonania.

Nie mówiąc nic siedzący głowami mu zawtórowali. Stolnik stał trochę milczący.

— Zda mi się, że choćby i radzić nie było

co, zawsze wezwanie arcybiskupa poszanować — by należało — rzekł sucho.

— Arcypasterza szanujemy w kościele — odezwał się Jan z Tarnowa. — Kapitułę zwoływać może, a no my do niej nie należymy...

Wystąpienie było trochę ostre i Jaśko z Tęczyna wejrzeniem zaraz uśmierzył siedzącego przy sobie Leliwitę.

Stolnik wása poprawiał.

— Posłem jestem, co mi dano, przynoszę — rzekł. — Wolno jednak może powiedzieć, że gdy zjazd dojdzie, bo z pewnością przybędzie wielu, gdy postanowi co, naówczas ci co nań nie zjadą winni będą sami, gdy się przeciw ich myśli stanie.

— A cóż się stać może? — rzekł dumnie Jaśko z Tęczyna. — Wielkopolscy panosze i władzyki okrzykną sobie Semka może, jako już było? a my, jakieśmy go nie znali, tak znać nie będziemy...

Uśmiechali się niektórzy, stolnik kujawski odparty, nie stracił wcale śmiałości, z jaką przyszedł.

— Jeszcze mi raz wypada powtórzyć, że posłem jestem, co wasza miłość postanowicie, nie moja rzecz, lecz nie należałoby wziąć do namysłu?...

— Do św. Wita czasu dosyć — odezwał się

Spytko z Mielsztyna. — Sprawiliście poselstwo, reszta...

— Nie moja rzecz, tak — przerwał Lasota. — Wiem ci to, proszę tylko o odpowiedź jaką mam zanieść jego przewielebności.

Obejrzeni się po sobie siedzący, a że się rozumieli dobrze i ustnie porozumiewać nie potrzebowali, zgodnie na Jaśka z Tęczyna zdali odpowiedź.

Kasztelan zwrócił się do posła.

— Pokłon od nas zanieście pasterzowi — rzekł — i powiedźcie, że na zjazd stawić się nie możemy. Próżne to są narady, na których nie zyszczemy nic. Nie jedziemy.

— Nie jedziemy! — powtórzyli wszyscy zgodnie.

Lasota stał jeszcze... Nastąpiło milczenie, powolnym ruchem ręki sięgnął po swój kołpak na stole; w tem na znak dany przez wojewodę, służba w barwie jego, z cudzoziemska obcisło ubrana, z włosami trefionemi na ramionach, w kaftanach z rękawami długimi, wniosła dzbany i kubki pozłociste.

Sam Spytek wziął jeden z nich i podał go z uprzejmością gościowi, który popatrzał nań, skłonił się i nie przyjął.

Na twarz wojewody krwawy rumieniec wystąpił, było to obrażającym dla niego. Lasota nie tłumacząc się i nie zważając na gniew Spytko,

w koło się pokłoniwszy, z dumą i obojętną krwią zimną, zwrócił się do wyjścia.

Widział dobrze, że tu już' dłuższe rozprawy nie doprowadzą do niczego, musiał godność swą poselską wynieść stąd bez szwanku. Cisza panowała w izbie, gdy wychodził, gospodarz kubek postawiwszy, po krótkim namyśle przeprowadził go do progu. Tu stolnik zwracając się ku niemu pokłonił się raz jeszcze i kołpak natychmiast na głowę wdziawszy, już się nie oglądając, nie patrząc na dwór wojewódzki, ustawiony na drodze, pojechał do gospody.

Po wyjściu jego, czas jakiś panowało milczenie.

— Bodzantę jak niewolnika trzymają — odezwał się po przestanku długim Jaśko z Tęczyna. — Biedny ksiądz uczyni co mn każą. Wątpliwości nie ma, że Semka obwoła.

— Może go i ukoronować i namaścić — wybuchnął Spytek — przeto on nam królem nie będzie.

— Tego nie uczyni — odezwał się Jaśko zwracając się do biskupa Radlicy. — Wasza miłość pošlijcie do niego z dobrą radą, niech się nie waży... Koronę może dać a infułę stracić.

— Korony przecie niema, bo ta w Budzie — rzekł ktoś z boku.

— Złotnicy w Płocku ukuć mu gotowi nową — odezwał się inny.

— Ks. arcybiskup — przerwał mały Radlica — nie zdaje mi się, aby się na ten krok ważył. Mogą wymódz na nim, ażeby ogłosił go królem, gdy wielkopolskie kożuszki okrzykną, ale korony mu nie włoży... Powołnym jest i słabym, lecz przez to samo do ostateczności tej doprowadzić się nieda.

— Warto duchownego posłać z przestrogą — powtórzył pan z Tęczyna. — Niech się na zemstę królowej nie naraża. W ostatnim razie, Węgrowie przyjsć mogą, a ci dóbr arcybiskupich nie poszanują.

Rozmowa stała się powszechną.

Pomimo tej groźby, którą Lasota przyniósł z sobą i widocznego już zamiaru przyjaciół księcia Mazowieckiego. chcących go królem ogłosić, ninby przybyła królowna, panowie krakowscy zbytniego frasunku nie okazywali.

Poszeptani między sobą poufnie, i zgromadzenie rozpraszać się zaczęło z takim spokojem z jakim tu przybyło.

Stolnik kujawski też wracał do gospody, kręcąc wąsa i nie okazując, ażeby to, co go tu spotkało, było dlań niespodzianką. Mógł się domyślać zawczasu odpowiedzi, znając usposobienie Krakowian.

Nie pozostawało mu nie już do czynienia, oprócz osobnego widzenia się i pomówienia z biskupem Radlicą.

Złecić mu ks. Bodzanta, aby ująć się go starał i wpływu jego użył na panów krakowskich. Wpływ ten wszakże był tak mały, iż wcale nań rachować się nie godziło. Skromny, nance oddany, rodem się nieodznaczający, niezamożny Radlica, więcej tu miał nieprzyjaciół, niż zwolenników.

Duchowieństwo i panowie patrzyli nań, jak na narzuconego im siłą przez nieboszczyka króla, człowieka nowego, niegodnego stanowiska jakie zajmował. Zwykle stolica ta biskupia dostawała się komuś z możliwych, lub krwią z niemi spowirowanych.

Słynny lekarz, znakomity uczony, jak mały był wzrostem, tak mniejszym się jeszcze ludziom wydawał na krakowskiej stolicy. Nie miał prawie przyjaciół, a wrogo nań patrzyło nie tylko duchowieństwo podwładne, ale ta starszyzna, wśród której z urzędu zasiadał.

Prawdziwy męczennik, wziął brzemię na ramiona, *onus pro peccatis*, i nosił je z pokorą, a stałością ducha, jaką mu dawała pobożność i wielkie w nauce zamięłowanie.

Zostając pasterzem, nie wyrzekł się on ani ksiąg, ani powołania, które ukochał. Widywano go szukającego chorych, nawiedzającego ubogich, przewiązującego rany, przyprawiającego leki ręką własną. Człowiek był zacny, cichy, łagodny, wielkiego ducha, lecz wszystkie cnoty jego i przy-

mioty nie mogły przebłagać zazdrosnych i niechętnych.

Z pogardą odzywano się o tym Małym, któremu szyderską nazwę nadano od wzrostu, i pozostał małym dla tych, którzy wielkości jego nie umieli ocenić.

Na dworcu biskupim ks. Radlica, znacznie-szą część większych komnat zostawując pustkami, mieścił się w mniejszych izdebkach, pełnych ksiąg, flaszek, słoików, osobliwości wszelkich, i przejętych wonią medykamentów, którym naówczas wielką moc przypisywano. Całe półki zajmowały tu, jak w aptece, kosztowne balsamy, elixiry, maście, driakwie przywożone z dalekich krajów.

Obok tej farmacyi swej, biskup miał komnatę, w której grubym murze zagłębione okno z ławami i pulpitem, najmilszem dlań było siedzeniem, gdy mógł sam pozostać.

Tu światło mając do czytania dobre, zagłębiał się w dziełach Alberta wielkiego i starych ojców nauki, których rękopisma nabywał. I dostojenstwo, które piastował, tem jednym mu zawdzięczało za wszystko co dla niego ponosił, iż dawało możność kupowania ksiąg, których inaczej nabywaćby nie mógł.

W otwartem oknie tem, przy którym w podwórzu, na krzewach pod nim, ptactwo świergotało, pochylonego nad ogromnym foliantem,

zastał tegoż dnia nad wieczór przybywający Lasota.

Jak każdego z gości, biskup przyjął go uprzejmie bardzo, wyszedł do niego ze swej ulubionej kryjówki, posadził przy sobie i zapytał o zdrowie arcybiskupa.

Sam się natychmiast zadawszy to pytanie rozśmiał smutnie.

— Widzicie, *medicus* u mnie z pod biskupiej sukni zawsze patrzy.

— Jego miłość — rzekł Lasota — dzięki Bogu ma się dobrze, ale trosk ma wiele.

— Komuż na nich zbywa! — westchnął biskup — ludzka to rzecz, ludźni jesteśmy.

— Ks. Bodzanta zlecił mi pozdrowić pasterza — mówił dalej Lasota — i prosić go, abys z urzędu swego i przez wpływ przyczynił się u panów małopolskich.

Biskup nie dał mu dokończyć, mierząc go ciekawem, zdziwionem wejrzeniem.

— Mój wpływ! — rzekł — dziecko moje, któż tego nie wie, iż ja tu żadnego nie mam! Nie żalę się na to, ani narzekam lecz nie godzi się do tego odwoływać co nie istnieje.

— Jednakże... — przerwał Lasota.

— Niema żadnego na to sposobu — mówił biskup. — Ja nie mogę nic, chyba przy łasce Bożej choremu czasem pomódz, a biedaka zdrowego słowem pańskim zagrzać.

— Gdybyś wasza pasterska miłość przemówić chciał do nich.

— Toby był groch na ścianę, dziecko moje — rzekł biskup łagodnie. — Powiedzcie ojcu naszemu Bodzancie, że panów tutejszych pozyskać dla tego, kogo ono prowadzi, żadna siła ludzka nie potrafi: są to mężowie żelaźni i woli niezłomnej.

Westchnął biskup.

— Radziłbym raczej, aby pasterz powagi swej nie narażał, podejmując co się dokonać nie da. Powiedzcie mu poufnie, że Semko nigdy tu królem nie będzie. Lękają się w nim surowego i mało ogładzonego człowieka, boją wpływu Wielkopolan, na tron go nie pnszczą.

— A jeśli Bodzanta ogłosi królem? — spytał Lasota.

— Zważać na to nie będą — odparł biskup. — Dlatego życzę, nicci siebie dla niego nie poświęca. Nie chrześcijańska to rzecz zemsta, lecz jej wielu z serc wyrzucić nie może.

Semko wydał Krakowianom wojnę pałac Książ; tego mu nie przebaczą, lecz gdyby nie postąpił sobie nawet tak mściwie, nie przyjęliby go nigdy...

Lasota milczał słuchając.

— A jednak — rzekł — siła wielka prowadzi księcia mazowieckiego i bądź co bądź, królem go mieć chce.

Biskup spuścił oczy.

— Nie wam dopomódz nie mogę — dodał. — Nikomu źle nie życzę, Bogu wszystko oddaję, ale sam siły nie mam...

Zawieźcie to wyznanie słabości mojej, której się wyznać nie wstydzę, ojcu naszemu.

Zachmurzyło się czoło posłowi — siedział chwilę milczący, wstał powoli i całując rękę biskupa, pożegnał go.

Wszystko co tu spotykało nieszczęśliwego posła, może przewidywanem być mogło, nie spodziewał się on powodzenia. Inaczej jednak wyobrażał je sobie. Sądził, że stoczy walkę burzliwą, że spierać się z nim będą lub grozić. Na to był przygotowany, na ten chłód niemal pogarliwy, jakiego doznał, na dumną obojętność jaką go odprawiono, nie rachował.

Bolało go upokorzenie.

Tem dumniej musiał wychodząc od wojewody i opuszczając dworzec biskupi podnosić czoło, aby ludzic nie widzieli gniewu, który w piersi jego kotłował.

— Cóż dalej! — mówił sam do siebie. — Do ks. Chotka na probostwo!! aby i tam jeszcze zjeść jaki przysmak, jakim innie wszędzie częstują.

Ruszył wprost za Floryańską bramę. Ks. Chotel się go spodziewał, a na wstępie zarzucił pytań o biednego swojego arcybiskupa.

— Zaprawdę biedny jest — rzekł Lasota —

bo mu się nie wiedzie w niczem. Spodziewajmy się jednak, że lepiej będzie, gdy króla dostaniemy.

Wikaryusz ręką machnął w powietrzn.

— Daleko do tego! — zawołał.

— Nam się widzi blisko — rzekł dodając sobie męztwa, którego nie miał Lasota. — Ogłosimy królem Semka, arcybiskup go nim uzna, a panowie krakowscy niech czynią co chcą, uznać będą musieli.

— Znacie ich? — zapytał ks. Chotek.

Na to pytanie dłużnym został odpowiedzi stolnik.

— Nie, nie znacie — dodał żywy ks. wikary. — Mierzycie tutejszych ludzi wielkopolską piędzą; to całc inny ród, obyczaje, serca i głowy. U was liczba rządzi, mrowisko, a u nas jak u pszczoł królowe — panowie. Waszych tysięcy nie starczy, na tutejszą jedną głowę...

Mówił żywo bardzo, a Lasota słuchał, jakby nieprzekonany i niepokonany.

— I liczba też coś znaczy—odezwał się—zobaczmy kto wygra.

— Z góry wam zapowiadam, że nie wy! — zawołał gwałtownie wikary — ks. arcybiskupa radbym wstrzymał, ubłagał, aby się nie posuwał za daleko, i króla nie ogłaszał.

— Nie nie pomoże! — zimno rzekł Lasota.

Ks. Chotek lękając się powiedzieć za wiele, zamilkł całkiem.

Z jakiemi nazajutrz myślami odjeżdżał stolnik

knjawski, popróbowawszy na różne strony, czy mu się nie uda namówić, aby szlachta na zjazd przybyła, można było wnosić z tego, że na ludzi nie patrzył i zapytany nie chciał odpowiadać.

Lecz Kraków i przedniejsi panowie, nie byli dla niego wszystkim. Zdawało mu się, że mniejszą szlachtę, uboższą, owych panoszków i władków, których znał w Wielkopolsce jako żywioł ruchawy i czynny, potrafi zyskać podbudzając ich przeciwko panowaniu wielkich rodów i bogatej starszyny.

Puścił się więc pan stolnik szukać tych małych dworów i mniejszych ludzi, lecz z wielkiem podziwieniem swem, znaleźć ich tu nie mógł. Małopolska a szczególnie te okolice, które przebywał wcale inaczej wyglądały. Pańskie majątności zajmowały obszary ogromne, ubożsi posiadacze do wielkich rodzin należeli i z nimi trzymali, właściciele drobnych kawałków ziemi, szlachty lub pół szlachty, których tyle znajdowało się w Mazowszu i Wielkiej Polsce, tu prawie nie było.

Nie było więc kogo jednać.

Przyjechawszy do wsi, zaczynał od tego Lasota, że pytał czyja była; okazywało się najczęściej, że albo klasztorna, kościelna, lub Leliwy jakiego Topora, Sreniawity, Różyca.

A z temi nie było co mówić. Głowy tych rodów siedziały w Krakowie.

Przewędrowawszy kawał krakowskiego nadaremnie, stolnik knjawski dopiero poznał dowod-

nie, jak wielka była różnica tych ziem od Wielkopolski, izwątpił, aby ztąd na zjazd, on i jego pomocnicy mogli kogo sprowadzić.

Niechcąc się jednak przyznać do chybionego celu podróży, jak był przyrzekł, udał się zdać z niej sprawę do Płocka.

Dawno już tu nie bywał Lasota, mało go pamiętał, lecz dostawszy się do miasta, spostrzegł, że tu musiano na bliskie a szczęśliwe ukończenie sprawy rachować, bo wszystko było w ruchu i niezmiernej krzątaninie.

Płock jeżeli nie na stolicę, to na obóz wyglądał. Rycerstwo przybywało, ludzi spędzano i uzbrajano, broń zakupioną z Pomorza i od Krzyżaków przywożono ciągle. Była ona lichą wprawdzie a drogo kosztowała, ale się bez niej obejść nie mogli.

Nietylko na zamku, ale po za jego murami, w mieście i na przedmieściach, sotnicy, dowódcy, parobków i młodzież dobierali do oddziałów i liczyli. Konie pędzono stadami, a i żywność ściągano z wiosek, bo jej dla tego wojska wiele było potrzeba.

Stary wojewoda Socha, chorąży równie posiwiały pod hełmem, inni starzy dowódcy, młodych wdrażali do wojennej sprawy.

Im bliżej zamku, tem ruch stawał się większy i żywszy. W podwórcach, które nigdy za dawnych czasów zbytku nie widziały, stali teraz po-

strojeni rycerze, dwór poprzybierany kosztownie, tłumy czeladzi na nowo ściągniętej, niezbyt zręcznej, ale już postrzyżonej, pomytej i poodziwanej.

Przyszły król musiał się okazać, jak przystało na możnego pana.

Nie było to nigdy w obyczaju książąt mazowieckich, u których patryarchalna panowała prostota, lecz w chwili tej koniecznością się stało występować tak, aby w ludziach wzbudzić poszanowanie.

Nalegał na to Bartosz z Odolanowa, który wszystkim władał...

Semko już zaszedłszy tak daleko, cofać się nie mógł.

Młody pan nie był rad ani z siebie, ani z wypadków, ani z obrotu sprawy, lecz raz dawszy się wciągnąć, musiał iść do końca.

Bartosz i inni panowie starali się go przekonać, iż cel niezawodnie osiągniętym zostanie. Semko czasem dawał temu wiarę, niekiedy przeczucia miał złe i dręczył się niemi.

Janusz po przestroгах bezskutecznych nie dawał znaku życia. On do niczego mięszać się nie chciał.

Książę od pierwszego wystąpienia, rzucony w ten wir i zamięszanie, niewiele miał czasu do rozmyślenia. Wypadki powiązane z sobą, jak łańcuch nierozzerwany się plotły. One go wyrzy-

wały z Płocka, i nazad tu pędziły; naprzemiany wprawiały w gniew okrutny, jak pod Krakowem i Książem, to w dumę i nadzieję, jak w tej chwili po o władnięciu Kujawami.

Bartosz umiał wszystko, nawet to co najmniej pomyślnem było, wystawić w świetle najlepszem. Miał moc zaszczerpenia swojego męztwa i zapалу w drugich.

Stolnik kujawski zajechawszy na zamek, tłok tu zastał tak wielki, iż ledwie z ludźmi swemi wcisnąć się potrafił, a jemu samemu do księcia było trudno się dobić.

Szlachty pełne były izby, stoły dla niej nieustannie musiano zastawiać. Właśnie dnia tego wielka się rada odbywała. Bartosz przybywał od arcybiskupa Bodzanty z zapewnieniem, iż nie będzie się wahał, po okrzyknięciu królem Semka, koronować go.

Nie zważał i lekcewżył to, że korony owe stare z Rzymu niegdyś przywiezione, w Gnieźnie się nie znajdowały, i że je chyba nowemi trzeba było zastąpić.

O przybyciu Lasoty, wprzód nim go do księcia dopuszczono, dowiedział się Bartosz z Odolanowa i wybiegł przeciwko niemu. Spojrzeli na siebie, starosta odprowadził go na stronę, gdzie w wielkiej sieni rozmówić się mogli, nie zwracając na siebie oczów.

— Coście sprawili? — zapytał żywo Bartosz, mierząc go bystrem wejrzeniem.

— Na konium się strząśł, głębiej sobie wystrzępiłem, słońce mnie napiekło. pył mnie nadusił — rzekł stolnik — a no, więcej podobno nie.

Bartosz słuchał nie przerywając.

— W Krakowie o zjeździe ani chcą słuchać, ni wiedzieć, wszyscy odradzają ogłoszenie króla, lękają się, a Małopolanie znać go nie będą.

Namordowałem się dużo bez skutku: biskup Radlica, duchowieństwo, wszyscy nam źle wróżą.

— A ty myślisz, stolniku, że ja, gdyś w poselstwie jechał do nich, spodziewałem się, że nam przywieziesz co lepszego? — odparł Bartosz. — Wiedziałem, że się nas boją i nie chcą. Trzeba iść przebojem.

— Z Małopolski żywa dusza nie przyciągnie na zjazd — dodał Lasota.

— Kto wie! — rzekł Odolanowski pan. — Ktoś się tam znajdzie przecie, o to się postaramy.

— Cóż księciu powiem?

— Żeś poselstwo sprawił i że Krakowianie milczkiem je przyjęli — rzekł Bartosz.

Gdy we dwu potem do wielkiej izby weszli, gwar w niej panował i ścisł taki, że u drzwi musieli się wstrzymać, nim się cizba przerzedziła. Stoły stały nakryte, a pomimo okien pootwieranych, nieznośna woń jadła, napojów i tylu zgromadzonych ludzi, powietrze czyniło ciężkiem.

Gorąco też było dla wielkiego ścisku. Szlachta siedziała, stała, chodziła, podnosiła kubki, ciągle wznosząc zdrowie księcia i odkazując się przeciw nieprzyjaciółom jego.

Wśród ciżby tej książę Henryk dziwacznie przystrojony, snuł się od jednej do drugiej gromadki podsłuchując, wyśmiewając gości, drwiąc z nich, zabawiając się z nimi i kubki wypróżniając. Pozwalał sobie wiele, ale jako młokosowi i bratu książęcemu uchodziło wszystko.

Semko, który w poważniejszym gronie siedział na wysokim krześle, w postawie dumnej, w bok się wzięwszy, spoglądał czasami na brata z gniewem w oku, lecz nie próbował go odciągać ani naganiać, bo wiedział, że temby do nowych pobudził wybryków.

Semko nie był tym młodym chłopakiem, jakim go widzieliśmy przed kilką miesiącami, wahającym się jeszcze, czy ma się poddać marzeniom, czy przykładem ojca i brata precz je odtrącić.

Z twarzy widać było upojenie, rodzaj szału i rozpromienienie nadziejami. Przybyło mu wiary w siebie.

Nie mówiono tu o niczem innem, tylko o dalszych podbojach i zabieraniu zamków w Wielkopolsce, o ujmowaniu sobie dowódców, tak jak Jakusza Kuligę w Kruszwicy ujęto; o przyszłym zjeździe w Sieradzu, i co po nim czynić należało, aby Małopolan zmusić do poddania się.

Kalisz i Łęczyca były według Bartosza najpilniejsze, i te naprzód opanować musiano.

Na pomoc brata Janusza nie rachował nie Semko, lecz Konrada księcia Oleśnickiego spodziewał się ująć sobie książe, a Bartosz gotów był nawet Odolanów mu dać za kopijników kilkuset do prowadzenia dalszej wojny.

Jedni utrzymywali, że Domaratowi już się nie będą śmieli porwać, drudzy przewidywali uparte trzymanie się ich, a nawet przywołanie Zygmunta w pomoc.

Wśród żywej tej rozmowy książe postrzegł zdala stojącego z Bartoszem Lasotę i zwrócił się ku niemu, znak dając, aby się przybliżył.

Szedł z nim i Bartosz czujny, aby Stolnik ze zbytnią się nie zdradził goryczą.

Wyprzedził nawet odezwanie się jego, chcąc mu wskazać, w jaki sposób mówić należało.

— Stolnik wraca — rzekł — sprawiwszy do brze poselstwo. Panom krakowskim nie chce się do Sieradzia, ale bodaj będą musieli.

— Cóż mówią? — przerwał pochylając się książe.

— Ba, żebyż oni mówić chcieli — odezwał się Lasota — ale oni milczeć wolą, a może i nie wiedzieli co powiedzieć...

Semko czekał na jaśniejsze tłumaczenie, gdy Bartosz wtrącił.

— Dosyć na tem, że się im oznajmiło, niech

czynią jak im lepiej, my się na nich oglądać nie będziemy.

Niezupełnie odpowiedzią tą zaspokojony, książę wstał z siedzenia, i skinąwszy na stolnika, wprowadził go do bocznej komnaty.

Bartosz byłby poszedł za nim chętnie, lecz wstrzymał go stary Socha, który o załodze jaką trzeba było wzmocnić Kruszwicę, chciał się z nim naradzić.

Lasota mając już skazówkę daną, wiedział co ma mówić, a co zataić.

— Panowie krakowscy źli są i niechętni — rzekł — ale to najlepszy dowód, że się słabemi czują. Wszyscy tam potrwożeni zjazdem w Sieradziu, więc tem mocniej trzeba się nam gotować. Widzą, że uledez będą musieli.

Książę, którego Bartosz w złudzeniach utrzymywał, skłonnym był wszystko widzieć teraz składajacem się po myśli. Nie zachmurzył się wcale.

— Widziałeś tego wroga mojego, Spytkę? — zapytał.

— Jakby na umyślnie, u niego poselstwo mi sprawiać przyszło — rzekł Lasota.

— Złościł się! narzekał! — podchwycił Semko.

— Nie — rzekł Lasota — przeciwnie, chciał po pańsku lekce sobie ważyć. Mowy o tem nie było.

Książę się rozśmiał.

— O! dojadłem temu młokosowi! — zawołał — i nieprędko strąę wydycha.

Lasota poczał potem w ogóle mówić o swej podróży, nastając na to, że się Semka lęcano, co było znakiem, iż siłę w nim czuli.

Pochlebiało to księciu, który po niedługiej rozmowie, powrócił razem z posłem do izby. Wszczęły się znów przerwane rozprawy i do trwały do późna.

Semko w końcu znużony, a zniecierpliwiony dokazywaniem Henryka, który jadalni do nocy nie opuszczał, wysunął się do sypialnej komnaty i rygle za sobą zamknął.

Potrzebował spoczynku i obrachowania się z samym sobą.

Przez cały ten czas prawie nie dano mu rozmyśleć się i rozważyć własnych czynności... Miał ciągle przy sobie kogoś, który mu ostygnąć nie dozwalał...

Odetchnął wolniej znalazłszy się w samotności, chłodzie i ciszy. Padł na siedzenie u stołu, nie wołając o światło, nie oznajmując służbie. W ustach i w głowie brzmiały jeszcze wykrzyki, które go cały dzień karminono, proroctwa ja-kiemi mu się przypochlebiano.

W ciągu dnia wszystko to podnosiło go i rozgorączkowaływało, teraz następowało nieuchronne znużenie i cisnące się wątpliwości. Przypominał słowa i przestrogi Janusza...

Smutno mu na duszy było...

W tem zwolna uchyliła się zasłona we drzwiach, sądził, że Ulina przychodziła go nawiedzić, ale w miejscu jej ukazała się Błachowa.

Szła powoli, z rękami na piersiach założonemi i głową zwieszoną smutnie.

Semko przywykły był temi czasy widywać ją prawie zawsze smutną, lecz tego dnia wydała mu się jeszcze bardziej w myślach pogrążoną i strapioną.

Stała przed nim patrząc długo i nie odzywając się, jakby nad zmęczonem dzieckiem się litowała.

— Co tobie Błachowa? — odezwał się książę.

— Mnie? Cóż ma być? — zwolna zamruczała stara wzdychając. — Mnie? albo to o moją dolę chodzi teraz? Ja się troskam i płaczę nad waszą.

Książę przymuszonym przerwał jej śmiechem.

— Jest czego płakać! — zawołał szydersko.

Zżymnęła się stara.

— Ale bo ciebie tem królestwem zaślepili — rzekła — a co u nas się dzieje! czy ty wiesz?

Pomileczała i niedoczekawszy się odpowiedzi ciągnęła dalej.

— Ta gawiedź wszystko wypila, wyjadła, rozniosła... Niema nigdzie nic, ani w śpichrzach, ni w gumnach, ni w spiżarniach... Zapytaj co się w skarbcu zostało! Jak wymiótł. Nigdzie

grosza, nigdzie ziarna, nawet srebrne naczynia w zastawie u żydów.

Konie, wozy, żelaztwo, rozchwytyją rozbójnicy.

Semko się rozgniewał trochę i zwrócił żywo do niej.

— Cóżes ty chciała, aby ludzie darmo służyli? aby przyszły bez wojowania Kujawy i zamki? Wojsko kosztuje... przyjaciół ujmować trzeba.

Błachowa głową potrząsała.

— A jak z tego posiewu nie będzie ziarna? — odezwała się — co naówczas?

— To być nie może! — gorąco zaprzeczył Semko. — Nic nie wiesz... nie rozumiesz nic... Tylko co nie widać jak mnie królem ogłaszają.

Spojrzała nań długo stara.

— Wszak już raz tak było? — odparła — daj Bóg, by znowu gęby im kto nie zamknął, gdy będą mieli okrzyknąć...

— Naówczas inni ludzie byli tam — zawołał Semko.

— A teraz gdzie się oni podzieli? — zapytała Błachowa.

Książę rozmowę tą był rozjątrzony, strzepnął rękami i nagle spytał.

— Ułina gdzie?

— Siedzi w oknie podparta na rękę — poczęła stara tęsknie — albo i z tej co się to zrobiło! Miły Boże!!

Cieszyła się, radowała, padła teraz na nią tęsknica czarna i przygniotła. Dziecka niepoznać, oczy jej zapadły, liczko do reszty wybielało, słowa z niej nie dobyć, a zechce zaspiewać, to się rozplacze...

Ona, ona też — dodała Błachowa po małym przestanku — czuje coś złego!

Jakby wiedząc, że o nią pytano, powolnym krokiem, niosąc kaganek zapalony w rękę, wsunęła się Ułina do izby. Szła powoli, zadumana, zmieniona, z włosami rozplecionymi, z wianuszkiem zsuniętym na czoło, odziana bez starania, opuszczona i zboląła.

Książe i matka patrzyli na nią.

Nie mówiła nic, kaganek postawiła na stole, potoczyła wzrokiem dokoła, machinalnie poprawiła przywiedły wianek, założyła ręce na pierśsiach i zdawała się czekać, aby matka nazad ją zabrała z sobą.

Semko pilno się jej przypatrywał.

— O! — rzekł cicho — biada mi z wami, dopóki się wszystko nieskończy, oczy sobie wypłaczecie. I w porę, właśnie gdyście się radować powinny.

Ułina ramionami ruszyła.

— Niech, niechby się to skończyło — rzekła smutnie — lepszy najgorszy los niż ciągła bojaźń pioruna, który ma uderzyć a nie bije!

— Z jasnego nieba? — zawołał, wesolość chcąc udać książę... .

Obie niewiasty milczały; popatrzały na siebie tylko, Semka niecierpliwiły te obawy i skargi.

— Jakbyście się zmówiły — rzekł — aby mi psuć serce i odejmować odwagę. Wicie, że wszystko mi się powodzi, że rychło musi się dokonać, co postanowiono.

— A co potem dla nas będzie lepszego! — odezwała się Ułina. — Do księcia teraz dostać trudno, cóż to będzie do króla?

Semko wstał żywo, zbliżył się do Ułiny, pogłaskał ją po głowie i przysunawszy się szepnął.

— Nie bądź zazdrośna, wszystko się złoży jak najplej, a Ułina jak była tak zostanie przy mnie z Błachową.

Dziewczę głowę podniosło.

— Albo mi to Ułina w myśli? — odparło obrażone. — My możemy nazad do chaty pójść i tam żyć a płakać, a co będzie z tobą?

Niedowiarstwem tem zniecierpliwiony Semko, odwrócił się gniewny.

Cisza była w komnacie. Ułina oparłszy się ręką o stół, nie ruszała się z miejsca, stara Błachowa powoli poszła ku pościeli i poczęła ją bezmyślnie przygotowywać na noc. Semko dumiał... Kaganek niejasny słabem światelkiem blado sypialnię rozjaśniał... Smutek zawisł nad wszystkimi...

Książę uczuł go też w sercu. Miałoż to spokojne życie jego się skończyć, a wichry i burze roznieść tę domową ciszę. Jak błyskawica mignęło przecucie najazdu, wojny, wygnania, niewoli... lecz natychmiast otrząsł się z tych myśli czarnych, podniósł głowę i śmiejąc się rzekł Ulinie.

— Gdy królem zostanę wydam cię za księcia!

Dziewczyna spojrzała nań oczyma wielkimi, rozszerzonymi, strząsnęła się, jakby dreszcz ją przeszedł i nie mówiąc nic, nie oglądając się wyszła z izby krokiem powolnym.

Matka niespokojna podążyła za nią.

IX.

Na kilka dni przed Świętym Witem, Bobrek znajdował się jeszcze w Toruniu, w domu matki.

Przybył tu niespodzianie, chory, z febrą która go niemiłosiernie trzęsła, wylękły, zmieniony i zbiedzony, tak że stara, której się już zdawało że dla syna niewdzięcznego w sercu niema nic oprócz żalu srogiego, zobaczywszy go, ulitowała się i zapomniawszy ile cierpiała od dziecka tego, przyjęła je jak marnotrawnego syna.

Zwłóknął się milezący do łóżka, dając czynić z sobą co matka rozkazała, poddał się leczeniu, które sprowadzona stara baba rozpoczęła od zamawiania choroby i parę dni leżał w gorączce mało okazując przytomności.

Zamawianie czy ziola, które pil posłuszny, cudownie poskutkowały. Przyczyniła się do tego i troskliwość matki, która od łóżka jego nie od-

stępowała. Dopóki chory był, nie mówił prawie nic i stara cieszyła się, iż może syna odzyskać, tak się jej okazywał powolnym.

Razem ze zdrowiem jednak dawna natura i obyczaj powróciły. Otworzywszy oczy i przypomniawszy sobie gdzie był, zapytał naprzód o dzień tygodnia i miesiąca.

Dowiedziawszy się o nich, zerwał się niecierpliwie i począł mrużyć niezrozumiałe przekleństwa. Chciał spróbować wstać, lecz dnia tego jeszcze na nogach utrzymać się nie mógł.

Matka w rozpacz niemałą, starała się przekonać go, iż długi czas jeszcze nie będzie się mógł ruszyć z jej domu. Bobrek nie chciał tego słuchać.

Dawne zuchwalstwo mu powracało.

— Dla głupiej febry przebytej, jabym tu miał siedzieć? — zawołał — kiedy pilne sprawy każą iść gdzieindziej??

Zaczął się domagać jadła, napoju, potem obwinął się i głowę zatopiwszy w poduszki, zasnął. Drugiego dnia nim matka wstała był już na nogach, odział się, a choć blady, żółty i osłabiony, upierał się jechać. Matka prosiła, by został, na próżno.

— Wy nic nie wiecie — rzekł do niej — mnie już jedno nieszczęście spotkało, jeżeli panom drugi raz źle usłuży, wszystkie moje zasługi przepadły.

Począł chodzić po izbie, mówiąc jakby sam do siebie.

— Kilka nocy w lesie, na deszczu i rosie, w błocie stojąc, śpiąc w błocie, dla tego łotra co się nam wysliznął z garści, żelaznyby człowiek nie wytrzymał. Dwóch nas odechorowało! Żebyśmy go byli wzięli! Ale nie... Przesunął się nam pod nosem... Darmo ludzie stali, a kto będzie winien? Bobrek...

Matka słysząc urywano słowa, zapytała go o te nocne czaty, chcąc się dowiedzieć coś więcej, potrząsnął głową nie mówić nie chcąc.

— Tyle tego — rzekł — że mnie teraz jechać znów trzeba.

Potwierdziło się to co mówił, gdyż tego samego dnia przybył z zamku kompan koutura na zwiady do domu matki. Dowiedziawszy się o chorym, poszedł z nim do izby osobnej i siedział na rozmowie długo. Gdy wyszedł, Bobrek zapowiedział ostro i stanowczo matce, że nazajutrz do dnia jechać musi.

Wiedziała biedna stara, że mocy nad nią niema i zatrzymać go nie potrafi, starała się tylko wyprawić tak na drogę, aby mu nie zbywało na niczem.

Nie okazując najmniejszej wdzięczności, klecha przyjmował to jak należne sobie, na matkę nie spojrzał, a tak był już podróżą swą zajęty, że

nie słyszał co mówiła do niego i widzieć się jej nie zdawał.

Pocieszało ją to nieco, że Bobrek już dnia tego i silniejszym był, i zdrowie odzyskiwał cudownie. Wielka potęga woli działała w nim.

W przekonaniu, iż napój go pokrzepić powinien, poprzedzającego wyjazd wieczora domagał się wina gotowanego z korzeniami, wypił go dużo i zasnął tak twardo, że matka miała nadzieję, iż zaśpi ranek, a podróż odłoży.

Zbudził się jednak do dnia, i jak postanowił, wnet do podróży przygotował.

Zimno bardzo podziękował matce za gospodę, siadł na konia i na zamek naprzód pojechał.

Komtur przyjął go surowo.

— Jedź natychmiast, abyś w Sieradziu był i wszystko widział na oczy, co się tam dzieć będzie. Masz na dworze księcia znajomych.

— Zlecicie mi co?

— Uszy i oczy nastawić — odparł stary Krzyżak.

Klecha chciał mu się tłumaczyć z tego co miał na sercu i rozpoczął uniewinnianie swe, gdy komtur przerwał mu.

— Dość tego, łaska Boża, że nasi ludzie jeszcze nie wpadli sami w ręce nieprzyjaciela. Do zasadzek wyście się nie zdali, niewiele do czego innego, a no, starajcie się sławę swoją naprawić.

Odprawiony tak Bobrek ruszył natychmiast z Torunia, z gniewem w sercu przeciwko światu całemu, nie wyjmując i Krzyżaków, którym służył tak gorliwie. Pocieszało go, że chociaż czyniono mu wyrzuty, przecież się nim posługiwać musiano, nie mając kim zastąpić.

Tym razem nawet, komtur dla bezpieczeństwa dodał mu człowieka, który osłabionemu chorobą miał być pomocą. Mało co spoczywając, nie żałując ani koni ni sługi, Bobrek spieszył tak, że w wigilję świętego Wita w Sieradziu stanął.

O gospodzie myśleć tu co nie było, tak wszystkie domostwa wielkopolscy panosze zajmowali. Wielka ich część leżała obozem naprzeciw zamku. Książę Semko ze dworem swym, na pół siłą wprowadził się do niego i rozgościł.

Bobrek konia i sługę rzuciwszy na łaskę Bożą, powłókł się do zamku, o kanclerza pytać, gdyż spodziewał się, że z księciem jako kapelan przybyć musi.

Lecz dopytać o kogokolwiek bądź, łatwo nie było w tym tłoku ludzi i niezmiernem poruszeniu, jakie się tu czuć dawało.

Na pierwszy rzut oka poznał Bobrek, iż sama niemal drobna wielkopolska szlachta i Mazury składali tłum, wśród którego krakowskich panów i Małopolan wcale widać nie było. Na zamku trafił mu się chłopak od posług ks. kanclerza,

który na ten raz bardzo mu się przydał. Pachole było głupawe, ciekawe i gadatliwe.

— Prowadź mnie do pana swego — rzekł klecha.

— Nie wiem gdzie go szukać — odparł chłopiec — poszedł do arcybiskupa, do Domiuikanów a Bóg wie kiedy wróci.

— Arcybiskup w klasztorze?

— A jakże, i nie sam — dodał chłopak. — Przywiózł z sobą dwu jeszcze, bo tu powiadają, trzech ich musi być...

Uśmiechnęło się pachole.

— Będziemy mieli koronację.

— A korona? — wtrącił żartobliwie klecha.

— Żyd ją przywiózł — szepnęło chłopie cicho, palec do ust przykładając. — Żyd złotnik z nią tu siedzi na zamku.

— Gdzie?

Chłopak wskazał ręką na mury.

— Ciekawaby rzecz zobaczyć! — zamruczał Bobrek.

Na to pacholę głową pokręciło tylko.

— Dziś jeszcze o tem mówić nie wolno.

Oczekując na kanclerza, klecha nie miał nic lepszego do robienia, jak sznurkować po kątach. Chłopak mu izbę pokazał, w której żyd z koroną się miał znajdować.

Śmiało jak gdyby do tego był nprawnionym wtargnął do sklepionej o jednym oknie komory

Bobrek. W kącie jej na ławie, w ciemnym płaszczu, siedział mężczyzna blady, z długą brodą w czapeczce na głowie, którą na widok klechy nieco uchylił i natychmiast nakrył znowu. Lękliwem okiem spoglądał na przybyłego.

Klecha ciekawym był sprawdzić powieść o koronie; nie widział innego środka nad próbę rozpoczęcia rozmowy, w ten sposób, aby zdawać się mogło żydowi, iż on o wszystkim jest zawiadomiony.

— Wy tu sami myślicie nocować? — zapytał — mając przy sobie takie drogocenne rzeczy. Żyd drgnął, pomyślał.

— No? a gdzie bezpieczniej być ma jak na zamku?

— Oddalibyście lepiej podskarbiem — dodał Bobrek.

Zamiast odpowiedzi siedzący na ławie głową potrząsnął znacząco.

— Boicie się o zapłatę? — uśmiechając się rzekł klecha, zwolna zaczynając przechadzać po izbie.

Niechętny do rozmowy, głową tylko dał znak potwierdzający. W twarzy jego niepokój malował się wielki.

— A wy kto? — zapytał.

— Do dworu należę i do ks. kanclerza — rzekł Bobrek.

Po chwili milczenia żyd pocichu się odezwał.

— Jak myślicie? będzie ona potrzebna?

Spojrzał nań bystro klecha, nieprzygotowanym będąc na to pytanie, ramiona mu drgnęły.

— Ci co ją gotować kazali, musieli być pewni, że się przyda.

Parę razy przeszedł się jeszcze Bobrek po izbie. Oko jego dostrzegło pudła ciemnego, które żyd pod płaszczem ukrywał starannie.

Nie było więc wątpliwości, iż koronę nawet przygotowano. Sprowadzenie dwóch biskupów miało także znaczenie to, iż się do koronacyi przysposabiano.

Dla wysłańca Krzyżaków, były to wiadomości niepomysłne, ale ważne. Nie miały się tu znaleźć nikt coby zapobiegł ogłoszenin Semka?? Panowie krakowscy tak sobie to lekceważyli??

W tych myślach zatopiony Bobrek się wysunął z izby w korytarz i otwierając drzwi omało nie potracił żywo przechodzącego człowieka, który się obejrzał. Poznał w nim jednego z wikaryuszów kościoła na Wawelu, znajomego z Krakowa, którego zwano ks. Płazą. Ten równie podobno był zdziwiony, widząc tu Bobrka niespodzianie, jak on, że go tu spotkał.

— Co wy tu porabiacie? — zapytał.

— Ja? alboż to trudno odgadnąć — odparł pokornie Bobrek. — Biedny klecha szuka chleba i roboty, więc gdzie dużo ludzi ciśnie się, próbuje czy go do czego nie użyją, a ks. wikaryusz?

Nie odpowiadając na pytanie ks. Płaza stanął zamyślony.

— Co tu słyhać? — rzekł — ja tylko co przybyłem?

Bobrek rad był się do kogoś przyczepić, zbliżył się więc do wikarego, gotów go objaśnić i razem wybadać.

— Alboż nie wiecie na co się zanosi? — odparł. — Zebrali się królem Senka Mazowieckiego ogłosić.

— Sami! Wielkopole, dla siebie? — odparł wikary. — To nie może być!

— Na pewno się to ma stać — podchwycił Bobrek — bo nawet koronę przygotowali...

— Być nie może!

— Wiem to dowodnie. Arcybiskup dwóch biskupów nawet wezwał, bo ich potrzebuje do assystencyi — mówił klecha.

— A gdzież arcybiskup — przerwał wikary żywo — ja go właśnie szukam.

— Nie na zamku, ale u Dominikanów gospodą stanął — rzekł Bobrek. — Chcecie to was tam zaprowadzę. Potrzebujecie się z nim widzieć?

Ks. Płaza głową tylko potwierdził i szybko iść począł, klechę prowadząc za sobą. Widać było w nim zakłopotanie wielkie.

— Głowy potracili! — począł mówić na wpół do siebie, wpół do klechy, który go nie odstępował. Przez samo poszanowanie dla swojego

księcia, nie powinni go na pośmiewisko wystawiać! Nie dziwię się szlachcie wielkopolskiej, ale ks. Bodzancie...

Boberek słuchał pilno i chciwie.

— Dobrzeby było, żeby go kto przestrzegł— dodał cicho.

— Jeżeli to pomoże! — odparł ks. Płaza, przyspieszając kroku.

Łatwo już było zmiarkować klesze, iż ks. wikaryusz musiał być posłanym z Krakowa w tym celu, aby arcybiskupa, jeżeli się da powstrzymać od narażenia się na prześladowanie, na skargi, które przeciw niemu, pójść mogły do Rzymu. Inaczej bytności jego tutaj wytłumaczyć sobie było trudno.

Doszli tak do klasztoru ks. Dominikanów, równie zapełnionego gośćmi, jak zamek. Szła starszyczna witać Gnieźnieńskiego pasterza, około którego gromadziło się duchowieństwo, z miasta i okolicy. Mazury swojego Biskupa plockiego szukali. Był tu już Bartosz z Odolanowa i wiele rycerstwa, przyprowadzonego przez niego. Chciano arcybiskupowi okazać, jak licznych miał Semko zwolenników.

Arcybiskup przyjmował gości w refektarzu, wraz z dwoma biskupami zasiadając. Cisnęli się wszyscy do niego, całując po rękach i prosząc o błogosławieństwo. Bodzanta pomimo tej czi,

jaka go otaczano, twarz miał smutną i zakłopotaną. Oglądał się niespokojnie.

Ks. Płaza kleknie zostawiwszy w korytarzu, sam wśliznął się do refektarza, lecz wprędce się przekonał, że tu z arcybiskupem na osobności, jak sobie życzył, rozmówić się niepodobna będzie.

Musiał czekać. Ze dworn ks. Bodzanty nieznał nikogo, oprócz jego kapelana, ale i tego tu wyszukać łatwo nie było. Zwrócił się więc na korytarze, pytał i błądził póki kapelana tego nie wynalazł.

— Mój ojcie, — szepnął mu, jestem posłany umyślnie z Krakowa, dla widzenia się z ks. Arcybiskupem. Rzecz niemalej wagi, dzisiaj koniecznie na osobności z nim mówić muszę... Proszę was, abyście jego miłości o mnie donieśli.

Kazano się ks. Płazie w celi, która była przeznaczoną dla ks. Bodzanty, zatrzymać, lecz dobra godzina upłynęła, niżeli się go tu doczekał.

Arcybiskup wszedł, znużony niezmiernie rzucając oczyma do koła, a ujrawszy ks. Płazę, obrócił się zaraz ku niemu.

Byli sami, bo kapelan wyszedł, aby drzwi zamknąć i nie dopuszczać nikogo. Po ucałowaniu ręki, wikary zbliżył się do siedzącego arcybiskupa, który pot z uznojonego czoła ocierał i wzdychał.

— Jestem wysłany z Krakowa — rzekł

— Od kogo?

— Bez mała od wszystkich, co tam rej wodzą, — odparł ks. Płaza — ks. Radlica razem z panem krakowskim, z wojewodą i innemi przysłali mi do was...

Arcybiskup spojrział strwożony.

— Nikt z nich nie będzie! — spytał.

— Nikt — odparł ks. Płaza. — Wiedzą dobrze, iż Wielkopolanie królem chcą obwołać Semka, a na to się oni nigdy nie zgodzą. Wiadomo i to, że wasza miłość jesteście w ich rękach i że możecie zmuszonym być ogłosić kogo oni okrzykną.

Z boleścią Bodzanta, oglądając się trwożliwie, ręce podniósł ku niebu.

— Tak jest, niestety! — zawołał stłumionym głosem. — Nie mogę się opierać, zajądą mi Łowicz, zniszczą dobra, samo Gniezno niepewne...

Co ja mam czynić? co czynić?

— Ojciec a pasterzu — przerwał Płaza — ale toż samo grozi wam od Margrabiego brandenburgskiego, od Małopolan, którzy górę wezmą nieuchybnie... byle siły zebrali...

— Rozum każe bliskiego naprzód uniknąć niebezpieczeństwa — odezwał się rozpaczliwie arcybiskup. — Co czynić? Widzicie sami! Jestem przymuszony! Nóż mam na gardle!

Ks. Płaza westchnął.

— Rozumieją to dobrze w Krakowie, sądzą że w. miłość oprzeć się nie możecie — począł —

lecz, na miłościwego Boga, za daleko się nie posuwajcie.

Bodzanta załamał ręce . . .

— Ale jak i gdzie, możliwy kres i miara? Niedosyć, że go będę musiał ogłosić, bo to się i bezemnie stanie że go okrzykną, lecz chcę, bym koronował!

Płaza pokłękł przed arcybiskupem.

— Na Boga, zaklinam was, tego nie czyńcie— zawołał. — Znajdzie się tysiąc środków do odroczenia koronacyi. Korona królewska w Budzie.

— Koronę inną zrobiono i przywieszono tu; dwóch biskupów przywołano, wszystkie przygotowania poczynione.

— Lecz korona niebłogosławiona w Rzymie, nieprzysłana przez Papieża, nie jest koroną — zawołał ks. Płaza.— Nikt dotąd nigdy bez zezwolenia Stolicy apostolskiej, nie włożył jej na skronie!

Możecie i powinniście odroczyć ten obrzęd, a zyskawszy na czasie, ocalicie samego księcia od wstydu, i siebie od prześladowania. Nigdy Małopolanie go nie uznają. Składają się przysięgą uczynioną królowej . . . czekają na córkę jej Jadvigę.

— Może być małżeństwem połączoną z ks. Semkiem, gdy królowa w Koszycach Wilhelma się rakuzkiego wyrzekła . . .

— Semka panowie krakowscy nigdy na tronie nie ścierpią! — zawołał ks. Płaza.

Biskup rękami twarz zakrył sobie, drżał cały. Szanując wzruszenie jego, ks. wikary milczał czas jakiś.

— Miłość wasza—dodał—znajdziecie jakikolwiek bądź powód do odroczenia. Z tem mnie posłano, błagam o to, aby smutnych następstw i strasznego rozdwojenia na kraj nasz nie spowodził niebaczny krok Wielkopolań.

— Jawna jest rzecz, że albo oni przewodzić chcą i prawa dyktować, lub zamierzają się oddzielić od Krakowa i reszty ziem polskich...

Znowuby więc monarchia ta, tyłą krwi i trudu zlepią i połączona, rozsypała się i poszła na łup wrogom...

Bodzanta słuchając łzy ocierał.

— Bracie mój — rzekł — wszystko to, niejednemu raz ja sam mówiłem sobie, w godzinach utrapień moich, lecz jak się oprzeć przemocy? Oni mścić się będą.

— Gdyby się nawet ośmielili — rzekł ks. Płaza — nie potrwa to długo...

— Straszne brzemień na ramionach moich — zajęczał arcybiskup. — Biskup Ścibor Płocki nie oprze się, owszem mnie jeszcze przynaglać będzie; Mikołaj z tem tu przybył, aby być Semkowi posłusznym, ja jeden! jeden...

Ks. Płaza słuchał bacznie.

— Do obrzędu koronacyi wiele braknie, a gdyby cokolwiekbądź wedle zwyczajów kościola i kraju nie dostawało, byłaby nieważną. Tem się miłość wasza obronicie...

Ogłoszenie króla, gdybyście byli do niego zmuszeni, bez namaszczenia nie ważyć nie będzie..

Musicie, ojcze i pasterzu, oprzeć się koronacyi. Od Łokietka już koronowali się wszyscy w Krakowie. Nie dopuszczono drugiej koronacyi Łoisowi w Gnieźnie, w Sieradziu co ona znaczyć będzie?

Arcybiskup uderzony był ostatnim argumentem.

— Więc chyba odłożyć ją do Gniezna? — wyjąknął wahając się.

— Odłożyć w jakikolwiekby sposób, zyskać na czasie — wołał ks. Płaza.

Zadumał się ks. Bodzanta. Utrapieniem arcypasterzowi ta zwłoka była pożądaną Gniezno mogło do niej być dobrym pozorem.

— Tak—rzekł—uprę się przy Gnieźnie, lecz jeśli zażądata natychniast go tam prowadzić?

— Gniezno nie jest bezpieczne — odparł ks. Płaza. Domarat i siły margrafa poruszają się. Oni nie wążą się do Gniezna, wy obstawajcie przy nim. Jeżeli nie Kraków, to Gniezno.

Bodzanta, pomimo zachmurzonego czoła, odetchnął wolniej.

— Zdaje mi się — dodał ks. Płaza — iż za-

wczasu tego warunku objawiać nie potrzeba, dość będzie wystąpić z nim w ostatniej godzinie.

Ukoronowanie musi się odbywać w stolicy, jeżeli nie w królewskiej, to choć arcybiskupiej, u grobu św. męczennika Wojciecha.

Przekonanym zdawał się ks. Bodzanta, milczał, westchnął raz i drugi.

Rozmowa byłaby się przeciągnęła jeszcze, gdyby kapelan nie oznajmił przybycia kujawskich kasztelana i stolnika, którzy z innemi powitać Pasterza spieszyli...

Cofnął się więc ks. Płaza przykląkwszy do pocałowania ręki, a arcybiskup pochylił się mu do nucha i szepnął.

— Bądź spokojny, a daj mi świadectwo, żem zmuszony! Nie władam sobą. Bezpieczeństwa kościoła i mienia duchowieństwa mojego bronić muszę.

Wikary wychodząc we drzwiach się rozminął z nadciągającemi Kujawiakami. W korytarzu przyczajony czekał na niego Bobrek, rad mu z oczów wypatrzyć, co z sobą przynosił. Niełatwem to było, gdyż ks. Płaza, mimo energicznego charakteru, dosyć był w sobie zamknięty.

Gdy z klasztoru wyszli, klecha zagaił ubolewaniem nad uciskiem, w jakim arcybiskup zostawał, lecz wikary zamruczał coś niewyraźnie i nie nie odpowiedziawszy, udał się do Fary, gdzie spodziewał się znaleźć na probostwie pomieszczenie.

Na zamku przecz całą prawie krótką tę noc czerwcową, światła nie wygasaly, sposobiono się na dzień jutrzejszy, a książę do późna u siebie starszyznę przyjmował, dla której stoły zastawione były.

Na dzień następny wszystko zawczasu zostało obrachowane. Z goryczą przekonali się przyjaciele księcia Mazowieckiego, że Krakowianie, nawet dla zaprotestowania przybyć nie raczyli, i jak poprzednio, spierać się o wybór nie myśleli, chociaż łatwo go mogli przewidzieć.

Był to rodzaj wzgardy i lekceważenia, który szlachtę wielkopolską, w jej miłości własnej ranił boleśnie.

Czuli wszyscy, iż wybór przez to, pod zupełną niebytność tych, którzy znaczną część kraju przedstawiali, tracił na wadze i znaczeniu, — gniewał się i odgrażał Semko, nadrabiał ufnością w swe siły Bartosz, lecz w duchu pojmowali to, że ciężkie na barki wzięli zadanie. Cofać się już nie mogli. Semko mniej niż inni skłonny był do tego, dla sromu samego, choć widział jasno, że przyjaciele, czyniąc go narzędziem swoich namiętności, nad niebezpieczny skraj go zaprowadzili.

Jak dziecić poruszać się wszystko zaczęło... W kościele dominikańskim po rannem nabożeństwie przygotowywano wszystko na przyjęcie księcia uroczyste. Obok tronu arcybiskupiego

ustawiono drugi dla niego, pozłocisty i okazywały...

Wedle myśli Bartosza, Semko nie miał go zająć przybywszy do kościoła, lecz dopiero po okrzyknięciu jako wybranego króla, podnieść miano uroczyście na ten tron dla niego zgutowany.

Szlachta, której pilno było zająć miejsca najbliższe biskupów, zawczasu kościół napelniać zaczęła...

Bartosz z Odolanowa i co było ze starszyny a urzędników, przyszedli też dla nakazania i utrzymania porządku... Wszystkim pilno było, i na wszystkich twarzach, niecierpliwość się malowała.

Książę w orszaku okazałymi, we zbroi, w płaszczu szkarłatnym, przybył konno, a dla natłoku wprowadzono go przez zakrystyę.

Na widok swojego wybrańca, szlachta niecierpliwa już była gotową, okrzykiem go powitać, lecz kierujący nią Bartosz, dał znak i szmerem tylko znaczącym pozdrowiono wchodzącego.

Arcybiskup z towarzyszami czekał na to, by mu znać dano. Błady i drżący wszedł otoczony duchowieństwem i modlitwą do Ducha świętego obrady zagał...

Zaledwie się ona skończyła, gdy... zasiadłszy na tronie Bodzanta głos zabral, ale z początku mówił tak cicho, drżący i niepewien, że nikt go, oprócz najbliżej stojących nie słyszał.

Uroczysta, grobowa niemal cisza, panowała w kościele... Arcybiskup mówił o nieszczęśliwym położeniu kraju, który się domagał pana i rządu, wspominał o poprzednim zjeździe, o zwłokach, któremi królowa napróżno ich uwodziła i wczwał zgromadzonych do obmyślenia dla ojczyzny ratunku.

Po nim w rubaszny a rzezki sposób odezwał się Bartosz z Odolanowa, przypominając uchwałę zjazdu, i naglącą potrzebę wybrania głowy. Zalecał Piastów krew, potem wyraźnie Semka, książęcia Mazowieckiego i Kujawskiego...

Szmer i okrzyki mowę mu już przerywały, znajdowano jednak właściwem przedłużyć narady pozornie, nimby do uchwalonego i umówionego proklamowania króla przyszło...

Mówiło kilku, nikt nie przeczył, żaden głos ani zwłoki, ani nowej narady, ani nicobecności Małopolan nie wspomniał... Spozierano po sobie. Hasło było dane, aby dopiero na znak Bartosza huknął tłum cały, jako jeden mąż, Semka królem ogłaszając...

Ten i ów wtrącił coś: skarżyli się na bezkrólewic, bezrząd i wojnę domową...

Bodzanta siedział błędniejąc w miarę, jak się stanowcza zbliżała chwila... Bliżej niego stojący duchowni widzieli, jak mu się ręce trzęsły i wargi drżały... Oczyma o litość błagającemi bojaźliwie oglądał się do koła...

Na ostatek po przeciągnięciu pozornych onych obrad, gdy wszyscy na jedno zgodni byli, Bartosz podniósł głos zapytując tłumu, kogoby królem mieć chciał...

Zatrząsał się kościół od wybuchu zgodnych głosów.

— Semko królem naszym! Semko!

Wykrzykiwano jeszcze, gdy z pierwszych rzędów kilkunastu się wyrwało przygotowanych biegnąc do księcia... Wstrzymali się jednak, gdyż arcybiskup powstał...

On jeszcze raz słabym głosem, zapytał zebranych o wolę narodu, i okrzyk powtórzył się po raz drugi, z nową siłą.

Naówczas Bodzanta podniósł rękę do góry, nakazując milczenie, i wśród chwilowego uciszenia — ogłosił.

— Książęcia Ziemowita Mazowieckiego i Kujawskiego królem Polski...

Okrzyki radosne, szalone wtórowały mu, kapłani szli ku wielkiemu ołtarzowi, aby rozpocząć pieśń dziękczynną, gdy przygotowana szlachta rzuciła się ku Semkowi, na swoim miejscu stojącemu jeszcze, i pochwyciwszy go na ręce, wzniosła nad głowy... z wołaniem — Niech żyje król nasz Semko! — Nieśli go tak do przygotowanego tronu, i uroczyście posadzili na nim...

Biskupi z Bodzantą śpiewali już pieśń dziękczynienia . . .

Stało się tedy — król został nroczyście ogłoszonym przez arcybiskupa, okrzykniętym, na tron wzniesionym . . .

Około tronu stanęli wszyscy znakomitsi panowie mazowieccy, kujawscy i wielkopolscy, tworząc mu orszak wspaniały . . . Choraży mazowiecki rozwinął nad głową księcia chorągiew o dwóch orłach i dwu pułaczach . . .

Na twarzy Semka widać było dumę zwycięzcy i radość doścignionego celu — wielką siłę a razem i troskę wielką, choć pokrytą pozorem wesela . . .

Dla niego nie był to koniec starań o koronę, lecz dopiero krok pierwszy do jej zdobycia, a razem wypowiedzenia wojny tym wszystkim, którzy odwracali się od niego . . .

W tłumie radość była nie do opisania — bo dla szlachty znaczyło to zwycięstwo odniesione nad współzawodniczą Małopolską; zwycięstwo gromady nad wybrańcami, ubogich koźuchów władczych i panoszących, nad złotogłowy pańskimi.

Pomimo iż wszystko skończonem się zdawało, nie odchodził nikt, tłum się nie rozpraszał.

Arcybiskup z dwoma towarzyszami i klerem, po odspiewaniu hymnu wszedł do zakrystyi . . .

Bartosz z Odolanowa czekał tu już na niego... Pocałował go w rękę cały przejęty i uniesiony...

— Ojciec nasz dobrothwy—zawołał—dokonajmy rozpoczętego dzieła... Na co zwlekać... Koronę mamy przygotowaną, obrzęd włożenia jej na skronie wybranego, natychmiast się odbyć może... Prosimy cię, błagamy!

Arcybiskup stał blady...

— Dziecko moje — odezwał się — to jest niepodobieństwem... Koronacya ma swe prawa i formy przepisane, my do spełnienia ich nie jesteśmy przygotowani. Niepodobieństwo!

Spojrzał na asystujących sobie biskupów, którzy, sprzeciwiać się nie śmiejąc, milczeli. Znać było jednak po nich, że niekoniecznie w zupełności zdanie arcypasterza podzielali...

— Niepodobieństwo! — szepnął ks. Bodzanta.

Bartosz stał chwilę w niepewności wielkiej...

— Zatem jutro! — przebaknął z pewnem rozdrażnieniem w głosie...

— Jutro! ale to ani czas, ani miejsce — dodał wahając się Bodzanta. — Koronacya w Sieradzu nie miałaby znaczenia... Musi się ona odbyć, jeżeli nie w Krakowie, to w Poznaniu, lub w Gnieźnie.

Bartosz poruszył się tak gwałtownie, że zbroja na nim szczyknęła.

— W Poznaniu! w Gnieźnie! powtórzył roz-

paczliwym głosem... Zwłokaby była niesłychana. Ojcie, to także niepodobieństwo...

Stali wszyscy milezący. Ścibor biskup płocki, po cichu coś Bodzancie szeptać zaczął, lecz arcybiskup zdawał się nie słuchać i nie słyszeć.

Drżał i powtarzał — Niepodobna! nie żądajcie niemożliwych rzeczy...

Cóżby znaczył ten pospiech? jak gdybyśmy nie byli pewni swego? obawiali się? Koronacya nie może się tak odbyć... W Gnieźnie...

Jak skamieniały stał Bartosz z Odolanowa. Był on prawie pewien, że skłoniwszy arcybiskupa do ogłoszenia króla, z koronacyą najmniej nie będzie mieć trudności. Namyslał się co miał począć.

— Nad tem się naradzić potrzeba,—zawołał w końcu — odroczyr zgromadzenie do jutra.

Arcybiskup się nie sprzeciwiał. Obejrzał się tylko dając znak oczekującym klerykom, ażeby z niego zdjęli obrzędowe szaty... i wzdychając do modlitwy uklęknął.

Starosta, który łatwo męztwa nie tracił, po małej chwili z pogodnem prawie czołem wyszedł do kościoła i poszeptawszy coś z księciem, siedzącym jeszcze na tronie, odczuwał się do szlachty zwracając, iż zgromadzenie do jutra odraeza...

Z nowem wołaniem, czapki podrzucając wesoło, tłum zwolna z kościoła poczał odpływać.

Niektórzy szli pierwsi panu się swojemu pokłonić do kolan i życzyć szczęśliwego panowania.

Semko skłaniał się ku nim i dziękował, uśmiechał uprzejmie, lecz brwi miał namarszczone groźnie i troskę na czole...

Ruszyli się wreszcie otaczający księcia i on sam nazad przez zakrystyę, gdzie u bocznych drzwi kościoła stał pysznie przystrojony, pod złotem szytą deką, wierzchowiec nowo ogłoszonego króla...

W zakrystyi Bodzanta i biskupi pierwsi złożyli powinszowania, ale książę niezatrzymał się tu długo, z powagą, milczący wyszedł w podwórze, dosiadł konia, i do koła otoczony wiernymi swemi, wśród okrzyków, które na widok jego wznosiły się, pociągnął ku zamkowi.

Przez całą tę drogę zasianą ludźmi, powtarzało się—Żywie! niech żywie!—i towarzyszyło mu aż w progi zamkowe.

Semko nie mówił nic do swych towarzyszków. Wszystko to wydawało mu się, jakby snem jakimś dziwnym, niemal strasznym. Radość tłumil zrodzony z nią razem niepokój.

Bartosz choć tryumfował i wiedział że wszystko to jego dziełem było, jechał także posepny. Opór Bodzanty zepsuł mu wszystko. Odłożenie koronacyi samo obwołanie zachwiać mogło. Należało ubłagać, przekonać, zmusić bodaj arcybiskupa, ażeby natychmiast do niej przystąpił. Dopiero

wpadłszy na zamek, gdy mu znowu kłaniali się jako panu swemu, ci co go tu przeprowadzili, Semko usta otworzył.

— Mówiliście z Bodzantą? — zapytał z pewną nieśmiałością Bartosza.

— Krótco bardzo, gdyż czasu na to nie było — odparł pan Odolanowski — ale natychmiast jadę do niego.

Semko znużony wszedł do drugiej komnaty. Sam chciał być chwilę z sobą. Siadł na ławie. Trwoga jakaś ogarniała go mimowoli.

Przez okna otwarte dochodziły zdala wesołe, szalone, powtarzane knpkami, rozlegające się do koła okrzyki; słuchał ich i drgał.

Wszystko teraz zależało od Bodzanty, potrzeba było na nim wymódz koronację niezwłoczną... Polska namaszczoneму królowi poddać się musiała...

Bartos z Odolanowa czasu do narad i rozmysłów nie chcąc zostawić Bodzancie, siadł na koń i z jednym sługą pobiegł do klasztoru Dominikanów.

Arcybiskup odpoczywał, był cokolwiek osłabiony, nie wpuszczono go do niego. Wszedł do płockiego biskupa Ścibora, którego znalazł krokami wielkimi przechadzającym się po celi... Biskup płocki był duszą i ciałem oddany Semkowi, lecz nie dosyć miał energii, aby mógł wystąpić stanowczo, przeciw arcybiskupowi.

Musiał go oszczędzać.

— Ojcie — zawołał od progu Bartosz — ogłosiliśmy króla, nie dosyć na tem, musimy go ukoronować i namaścić, inaczej nie zechcą poszanować wyboru Małopolanie.

Zżymnął ramionami ks. Ścibor, okazując że to nie zależało od niego.

— Na Boga! cóż się naszemu arcypasterzowi stało — zawołał Bartosz — w połowie dzieła niedokonanego rzucić je...

— Nie moja to rzecz — odparł żywo Scibor. — Macie mnie tu, gotów jestem przy koronacyi służyć, lecz nie do mnie ona należy. Mówcie z arcybiskupem.

— Cóż powiada Bodzanta?

— Że w Sieradziu ani czas jest, ani miejsce potemu...

Bartosz cały się rzucił, ręce łamiąc.

— Nicpojęta rzecz! To są zabiegi czyjeś, w tem tkwi zdrada! — krzyknął poruszony.

— Umawialiście się z nim wprzód o koronację? — zapytał biskup.

— Mowy nie było o rzeczy, która musiała nastąpić jako dopełnienie aktu ogłoszenia. Arcybiskup wiedział, żeśmy przysposobili koronę...

Ks. Ścibor głowę spuścił, nie odpowiadał.

Rozgorączkowany Bartosz nie ustępował. Postanowił czekać bodaj u drzwi ks. Bodzanty, ażby go wpuszczono do niego.

Tymczasem upływały godziny, wieczór nadchodził. Pukając i naprzykrzając się starosta, w końcu został wpuszczony.

Bodzanta siedział z zaciśniętymi ustami, blady, przygotowany widocznie już na to przyjęcie.

W imieniu swem i księcia Bartosz zaklinać go począł. Bez tej korony włożonej na skronie, bez błogosławieństwa kościoła, bez namaszczenia, wszystko co się dokonało, nie miało znaczenia!!

Bodzanta zawsze słaby, wahający się, bojaźliwy, tym razem okazał siłę przekonania nie wzruszoną.

Odpowiedział łagodnie, pocieszając, lecz dowodząc razem, że koronacya była w Sieradziu niemożliwą, a w Gnieźnie odbyć się tylko mogła, gdy Wielkopolska uspokojona zostanie. Nie tał tego, iż żadnego od niego ustępstwa spodziewać się nie mogli.

Bartosz próżno uniżał się i groził, narzekał. straszył gniewem króla, ks. arcybiskup milczał, lecz ugiąć się nie dawał.

W końcu, odkładając naleganie do jutra, Bartosz musiał na zamek powrócić, gdzie książę na niego czekał z gorączkowym niepokojem.

Ukrywać postanowienie Bodzanty nie było podobna. Starosta starał się tylko wytłumaczyć Semkowi, iż zwłoka ta, nie nadwerężała wyboru, i wcale mu szkodzić nie mogła.

Semko prawie nie słuchał.

Nie chciał się poniżyć do zebrania u arcybiskupa o ten obrzęd, do którego zmusić się go spodziewał.

Wyrozumiawszy opór Bodzanty, wydał po królewsku rozkaz Bartoszewi, ażeby się nie ważył więcej mówić z nim o tem, ani go prosić.

Na zagładzenie przykrego wrażenia, jakie uczyniło nagłe cofnięcie się arcybiskupa, przyszła nazajutrz wiadomość radosna, iż Pietrasz Małocha poddał zamek łączycycki.

Semko postanowił podziękowawszy szlachcie, nie widząc się z arcybiskupem nawet, natychmiast z Bartoszem ciągnąć pod Kalisz.

Dumne to znalezienie się względem Bodzanty, dawało wyobrażenie o charakterze Semka, dla którego mała wina zacierała pamięć wielkich zasług.

Nie mógł mu przebaczyć książę tego zawodu, który uczuł boleśnie.

To powołanie na tron, wydawało mu się teraz niemal krzywdą wyrządzoną i pozbyciem się tylko umiejętnem nalegań Bartosza.

Raz powziąwszy myśl ruszenia pod Kalisz, książę ani godziny zwlekać jej nie chciał. Zostawił szlachcie Bartosza, aby jej wyjazd nagły koniecznością wojenną wytłumaczył, a sam tejże nocy z całym orszakiem swoim wyciągnął z zamku.

Szlachta tymczasem uctowała okrzykując króla swojego, ciesząc się, spodziewając koronacyi i jak piorun spadła na nią wiadomość rano, że Semko biegł Kalisz zdobywać...

Arcybiskup przebudzony dowiedział się o tem z ust kapelana, zdumiony stał chwilę, bo go strach ogarnął zrazu, lecz klął na modliwą spokojniejszy, nie potrzebował się już naleganiom opierać.

Tegoż dnia, Wielkopoleanie trochę zawiedzeni w nadziejach, widząc że w Sieradziu robić już co nie mają, rozjeżdżać się zaczęli.

Wszystko pierzechało ztąd z pospicchem większym jeszcze, niż przybyło.

Ks. Płaza po mszy u fary, uspokojony odjazdem księcia, natychmast wybierać się zaczął z powrotem do Krakowa.

Na wsiadanem już przywłókł się do niego Bobrek. Twarz miał wesołą, ale mówił smutnie.

— Tom się darmo trząśł, aby do tego Sieradzia dobieć — rzekł szydersko — nikt nawet jednej modlitewki u mnie nie kupił... Te władki wielkopolskie grosza przy duszy nie mają. O zielonej paszy, na chudych szkapach się tu przywlekli, krzyknęli raz i drugi, napili się piwa, i jazda nazad do swych zagród.

A i księcia czy króla nagle nie stało — do-

dał z uśmiechem. — Niewiedzieć teraz jak go zwać, a i on sam niepewien czem jest...

Zniżył głos Bobrek i dodał.

— Złamanegobym denara nie dał za tę jego koronę.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.